

# Ród Indian Algonkinów

Fiedler Arkady



calibre 0.9.43

ÿp

Arkad Fiedler Marek Fiedler

ROD INDIAN ALGONKINÓ1AI

i

WYDAWNICTWO

POZNACSKIE

1984

OpracowaB graficznie ZBIGNIEW KAJA

Fotografie ze zbioru .autorów

3 Copyright by Arkady Fiedler and Marek Fiedler, PoznaD 1984 ISBN 83-230-0392-3

# 1. CHAOPAK ZWANY RUSK

W Ba[ciwie nie wiadomo, jak mu naprawd byBo na imi: Iwan, mo|e Wasyl, mo|e Fiodor. Ale raczej Iwan. Gdy którego[ roku angielska brygantyna wpBynBa na Morze BaBtyckie, marynarze porwali Iwana z karczmy w którym[ tam porcie - gaBgaDskie Botrostwo wtedy, w drugiej poBowie siedemnastego wieku, byBo pospolite w zachodniej Europie - i oszoBomionego dwudziestoletniego chBystka przemoc zabrali jako chBopca okrtowego do Anglii. JeDca nazwali Rusk i traktowali jak niewolnika. W Londynie wpakowali go na inny statek, d|cy jeszcze dalej na zachód, do Ameryki PóBnocnej, a byB to statek obsBugujcy Anglików, ludzi tak zwanej Kompanii Zatoki Hudsona. Tam, w Ameryce PóBnocnej, bryg, na którym trzymano Ruska, dobrnB do samego poBudniowego skraju owej Zatoki Hudsona, gdzie u uj[cia rzeki Abitibi do James Bay, Zatoki Jakuba, od kilkunastu lat istniaBa warowna

faktoria Moose.

Tu, w Moose Factory, agenci Kompanii skupywali od okolicznych Indian Kri cenne skórki zwierzece za bezcen, za bByskotki, zgrzebne sukno i rum. Skórek za[ owych, tak|e tych najcenniejszych w [wiecie, bobrowych, lisich, kunowatych, byBo w tych stronach co niemiara. W Moose Factory mo|na byBo Ruska uwolni i nawet wypuszcza troch na ld, bo nie byBo dla niego uciezki. Pobliscy Indianie, wojownicy z plemienia Kri, byli sojusznikami Anglików i ka|dego zbiega zBapaliby natychmiast; natomiast caBe ogromne wntze kraju pokrywaBa wroga puszcza, zupeBnie nieprzebyta, chyba wzdBu| rzek i jezior, ale do tego konieczne byBy Bodzie.

Rusk nie miaB Bodzi, za to miaB nieustraszon natur i byB waleczny. Pewnej ciemnej nocy grzmotnB Indianina kijem w Beb i zabraB jego kanu. Jak szalony wiosBowaB w gór rzeki, a gdy zaczBo [wita, ukryB si i swe kanu w nabrze|nym gszczu. Nastpnej nocy, gdy oddaliB si od James Bay ju| o kilkana[cie mil, czterech Indian go do[cignBo i zBapaBo. Anglicy wyznaczyl cen na jego gBow, ale |yw gBow, wic Bowcy nie zgBadzili go, jeno powizali jak dzikiego zwierza.

DziaBo si to na rzece Abitibi latem 1686 roku. Indianie chcieli ju| wraca z jeDcem do Moose Factory, gdy dobiegB ich z góry rzeki podejrzany plusk i zanim zdoBali si schroni, ujrzeli nadpBywajc flotyll kilkunastu du|ych Bodzi ze zbrojnymi biaBymi ludzmi. Byli to Francuzi pod wodz Chevaliera de Troyes i gBo[nego wojaka d'Iberville'a, którzy z poBudnia, z francuskiej kolonii Ouebec nad rzek Zwitego WawrzyDca przywdrowali tu w tym celu, by wypdzi lub wytBuc wszystkich Anglików nad Zatok Hudsona i zburzy-ich faktorie. Francuzi w Quebecu uwa|ali caBe te ostpy lasów za swoj wyBczn domen, a bezprawnie wdzierajcych si Anglików za wrogich najezdzców.

Czterech Indian szybko pojmano i na razie trzymano ich jako jeDców, natomiast ów Rusk przydaB si Francuzom znakomicie. W czasie niewoli na statkach liznB nieco sBów angielskich, wic teraz okazaB si wcale po|ytecznym sojusznikiem. ZnaB w pobl|u Moose Factory niedu|y wdóB, którym niepostrzezenie mo|na byBo dosta si do samej faktorii. Zanim zaBoga Moose si zmiarkowaBa, napastnicy wzili wszystkich Anglików do niewoli. W Moose Factory byBo ich wtedy szesnastu.

Gdy przybysze zaccli penetrowa faktori, osBupieli na widok spichlerzy pcziejcych od caBych stert

skórek zwierzcych, które tej wiosny wytargowano od Indian. , .- %

- To| to ogromny majtek! Dranie wszystko zrabowali tu w naszych lasach! - biesili si Francuzi.

Oczywi[cie zagarnli ów caBy zapas skórek i poza tym wszystko, co miaBo jakkolwiek warto[, po czym faktori spalili do szcztu. Zrównana z ziemi, przestaBa istnie.

Tak samo sprawnie i gBadko poszBo z dwiema innymi faktoriarni Kompanii Zatoki Hudsona le|cymi niedaleko, mianowicie z Albany i z Fortem Ruperfs House. Francuzi, uradowani tymi osigniciarni, wracali Bodziami ku swym siedzibom na poBudniu. Anglikom pozostaBa ju| tylko jedna faktoria. York le|cy nad sam Zatok Hudsona, lecz le|aBa zbyt daleko, by mo|na j byBo w tej kampanii zdoby! zburzy.

Francuzi zaBadowali tgi lup na zdobyte Bodzie, którymi wiosBowa musieli wzici do niewoli Anglicy. Po kilku dniach przedostali si przez dziaB wód midzy Zatok Hudsona a dorzeczem Zwitego WawrzyDca. W górnym biegu rzeki Zwitego Maurycego flotylla dobrnBa do pier—

6

wszej siedziby zaprzyjaznionych Algonkinów\* i u nich Francuzi postanowili przez kilka dni odpocz.

Rusk pBync z Francuzami podziwiaB w tych lasach ogromne, wrz nieprzebrane bogactwo wszelkiej zwierzyny - Bosi, niedzwiedzi, bobrów, lisów, przeró|nych kun, a tak|e wilków i rosomaków, przede wszystkim za[ zajcy i Bownych ptaków. A gdy w tym wypoczynkowym obozowisku Algonkinów napotkaB w pierwszym dniu mBodziutk, |yczliwie u[miechnit Indiank o pontnych ksztatbach, poczuB do

niej wiele ciepBa.

- J ak ci na imi? - zapytaB j j akim[ zrozumiaBym tylko dla mBodych

zakochanych jzykiem.

- Kwitnca GaBz.

- Czy masz ju| kogo[? Jeste[ z kim[ zwizana?

- Nie.

- Czy chcesz by moj?

- To zale|y... *Odpowiedz jasno: czy chcesz by moj?*

- Chc. > Tak mu przypadBa do gustu, |e postanowiB pozosta u tych Indian

dBu|ej i poj dziewczyn na staBe. ZawiadomiB o tym francuskiego

kapitana.

Chevalier de Troyes, majcy Ruska w czasie caBej powrotnej rzecznej wdrówki nieustannie przy sobie w Bodzi, przekonaB si, |e to chBopak na schwaB i |e mu dobrze i bystro patrzy z oczu. Wic byB mu |yczliwy. W pamici miaB jego zasBugi przy zdobyciu faktorii Moose, a teraz przecie| widziaB, jak tej powabnej Indiance i Ruskowi iskrzyBy si [lepia

wzajemnie ku sobie.

- Eh bien! PozostaD tu! Zgadzam si! - rzekB Chevalier de Troyes do

### *Etnonim*

Algonkinowie” ma podwójne znaczenie. Algonkinowie w szerszym rozumieniu -to rozlegBa indiaDska rodzina jzykowa naleca do najbardziej rozprzestrzenionych w Ameryce PóBnocnej. Liczne plemiona posBugujce si dialektami tej rodziny w drugiej polowie XVII w. zajmowaB” - poza terenami zasiedlonymi przez Irokezow - caBy niemal obszar midzy Oceanem Atlantyckim, Zatok Hudsona, Wielkimi Jeziorami Kanadyjskimi i rzek Ohio. jak równie| zamieszkiwaBy preri, np. Czarne Stopy, Szejenowie. Plemiona te reprezentowaBy ró|ne kultury, np. w póBnocnych lasach |yBy wyBcznie z my[listwa i ryboBówstwa - Kri, Montagnais. Naskapi, podczas gdy w Krainie Wielkich Jezior i nad Atlantykiem zajmowaBy si cz[ciowo kopieniactwem

(m. in. Delawarowie). .

Algonkinowie - to równie| jedno z algonkiDskich plemion, które do dzi| |yje po[rodku le[nych obszarów midzy Zatok Hudsona a rzek Zwitego WawrzyDca. Im wBa[nie po[wicono jest niniejsza opowie[.

7

Ruska'. - Ale nie darmo tu pozostaniesz! Bdziesz miaB wa|ne zadanie!

- Rozkazuj, kapitanie! - zawoBaB mBodzian.

Chevalier de Troyes dobrze znaB dzieje angielskiej Hudson's Bay Company, istniejcej ju| kilkana[cie lat, od 1670 roku, i wiedziaB, |e Anglicy w Londynie pomimo zadanej im obecnie nad James Bay pora|ki nie poniechaj my[li o tym kraju. Wielkie ilo[ci cennych skórek zwierzcych w owych póBnocnych lasach Kanady i sowite std zarobki bd Anglików nadal wabiBy w te strony.

- To obozowisko zwie si Obid|uan i tu pozostaniesz w[ród Algonkinów - rzekB oficer do Ruska, trzymajc go mocno za rami. - Tu bdziesz czujnie pilnowaB, a|eby |aden Anglik nie wtargnB na nasz teren. A naszym terenem s wszystkie tu dokoBa lasy a| po Zatok Hudsona, nad któr wkra[ si chc Anglicy. Nie mo|na ich tu wpu[ci! Wara im od tego! Czy[ mnie dobrze zrozumiaB?

- Tak jest, kapitanie!

- Dam ci trzech wypróbowanych ludzi do pomocy. Jeden z nich nauczyci francuskiego jzyka, bo tu

nikt oprócz mnie angielskiego nie zna, a tych dwóch będzie gośćmi na wypadek pojawienia się tu Anglików. Wtedy gość przyjdzie do mnie rzek Złoty Maurycego do Trois Rivières, nad rzeką Złotą Wawrzyńską, gdzie moja siedziba, i powiedz mi, co się u was dzieje...

- Przysięgam, panie! Sześciem wszystkim, co mi mówisz! Chevalier de Troyes serdecznie uśmiechnął się do młodzieńca:

- Wiem, że mogę na ciebie liczyć. Dostaniecie strzelby, pistolety i inną broń oraz amunicję, a także prowiant, byście nie byli zależni od polowania. Obowizkiem was czterech, a głównie twoim będzie zaprzyjaźnić się ze wszystkimi tutaj Indianami i namówić ich, żeby przyjeżdżali do nas nad rzeką Złotą Wawrzyńską i tylko nam sprzedawali skórki zwierząt, nikomu innemu...

- Rozumiem!

Tu Chevalier de Troyes umilkł i po chwili rzekł artowitowym tonem:

- Chłopcze, do diabła, jesteś, jak mówisz, Rosjaninem, ale jak wam cię mamy nazywać? Przecież nie Roskiem!

- Na imię mi Iwan, panie, Iwan Iserhoff.

- Iserhoff? - zdziwił się Francuz. - To niemieckie nazwisko, nie rosyjskie, o ile się nie myl?

- Tak, panie, niemieckie. Nosię je po moim przybranym ojcu, który przygarnął mnie i wychował jak syna, gdy w dzieciństwie odumarli

mnie rodzice. Ten mój dobroczyńca był niemieckim marynarzem przebywającym na statku rosyjskim. - Dobrze, będziesz Iwanem Iserhoffem!...

Osobliwymi, a nieraz i cudacznymi [ciękami toczyły się dzieje Ameryki Północnej. Choćby ta wyprawa kawalera de Troyes. Przecież równa z ziemi trzy najważniejsze faktorie angielskie, najdalej na północy położone i najniebezpieczniejsze dla Francuzów, przekonany, że dokonał dobrego dzieła. Ale musiał wracać szybko do swoich, gdy zbliżała się zima, zawsze tu bardzo groźna, a daleko na północnym zachodzie, o jakie dziewięćset mil oddalona, położona u ujścia rzeki Nelson do Zatoki Hudsona, pozostała w rękach angielskich ostatnia, czwarta faktoria, York, trudna na razie do osiągnięcia. Niktby punkcik, nieznaczny maczek w bezmiarze kanadyjskich lasów. A jednak ów pozornie mały fakt, że paru gubernatorów, wydzianych Anglików przetrwało przez kilka lat w Yorku, ów drobny fakt tak silnie zaciął w dwadzieścia siedem lat później przy podpisywaniu traktatu pokojowego w Utrechcie, że Anglikom przyznano na wieczną własność północną Kanadę, kilka dobrych milionów mil kwadratowych niepołączonych obszarów leśnych.

A gest Francuza, Chevalier de la Salle, który dotarłszy na brzegi rzeki Missisipi do jej ujścia jako pierwszy Europejczyk, wywiesił tam na brzegu flagę francuską i wygłosił kilka patetycznych słów, którymi przysporzył swemu królowi, Ludwikowi XIV, Luizjan, krainę chyba dziesięciokrotnie większą niż sama Francja?

A podróż dwóch [miałków, Lewisa i Clarka, w latach 1805-6 na zachód poprzez amerykański

kontynent do samego Pacyfiku, czy samo ich zwykłe pojawienie się tam nie pozwoliłoby zobaczyć Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej obszarami północno-zachodnimi, stanowiącymi niemal trzecią część dzisiejszego ich państwa?

Jakże wtedy łatwo byłoby bogaci się w ziemi prawem kaduka!

## 2. PIERWSZE KROKI WZRÓD INDIAN

GaBzi, która tak bardzo wpadła mu w oko, chciał go zobaczyć

9

Przedtem wdział na siebie pstrzyciasty kocioł i nowe spodnie z wyprawionej jeleniej skóry; rzeczy te, zdobyte na Anglikach, otrzymał od Francuzów. Sposób się do rozmowy, był raczej pewny swego: tutejsi Algonkinowie przecie wiedzieli, że Chevalier de Troyes mu sprzyja i darzy go zaufaniem. De Troyes ponownie dał wyraz temu wysyłając jednego ze swych ludzi, by szedł razem z Iwanem do Indian. Ów towarzyszył mu Francuz widać trochę językiem angielskim i znał również trochę mowę Algonkinów; miał zatem dopomóc w pomysłnym ubiciu sprawy.

Ojciec Kwitnej GaBzi zwał się Orli Puch i przewodził licznemu i dumnemu rodowi Czajczaj. Stanawszy przed nim, młody człowiek w ukłonach - przekładanych na język indiański przez towarzysza - wyłożył mu cel swej wizyty. Mówił, że chciałby osiedleć się wśród Algonkinów i dzielić z nimi ich losy w tych lasach. Przede wszystkim chciałby dzielić swe życie i pomysły z Kwitną GaBzi. Dziewczyna ta od pierwszych chwil przypadła mu do serca. Także i on - o czym wie - nie jest jej obojętny. Zatem prosi, aby Orli Puch oddał mu córkę.

Indianin zrazu nic nie odpowiedział; miał twarz nieprzeniknącą, nieruchomą, trudno byłoby wnikać w jego myśli. Gdy wreszcie po dłuższej chwili przemówił, w głosie jego brzmiała niechęć:

- Ty jesteś, z dalekich stron... Nikt z naszych nie zna ciebie. Jesteś nam obcy.

Młody człowiek zgoła nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Wykrzyknął:

- Jakże to! Czyby Orli Puch nie wiedział, że przybyłem do was

z oddziałem Chevaliera de Troyes, wielkiego wodza Francuzów, który

był dla nich tak przyjazny do Algonkinów? Moje zamiary są uczciwe!

Orli Puch chwilę wahał się, a potem zaczął jakby z innej beczki:

- W tych lasach łatwo się wariuje.

Iwan już coś wiedział, że w niektóre lata sroży się tu głód, wszystko zamiera, zwierzęta przepada na całe miesiące. Wówczas jeno najdosłowniejsi myśliwi zdolni są utrzymać jako tako przy życiu rodziny...

- Zdobam utrzyma sw rodzin! - zaperzyB si junak. - Przecie| w drodze znad Zatoki Jamesa sam jeden ubiBem niedzwiedzia i Bosia! Chyba tylko kiepski my[liwy - dodaB zadziornie - mo|e martwi si w tych lasach o Bown zwierzyn!

10

Przez twarz Orlego Pucha przemknB cieD ponurego u[miechu.

- A jednak ginB tu z gBodu nieraz zim i dobry my[liwy, na pewno lepszy ni| ty! - rzekB Indianin, po czym uchylilB si od dalszej rozmowy. O oddaniu Kwitncej GaBzi nie chciaB sBysze.

Iwan nie ukrywaB swego rozczarowania. Na szcz[cie tBumacz, który byB razem z nim, miaB dBugi jzyk i doniósB o jego sercowych tarapatach Chevalierowi de Troyes, a ten, bdc przecie| |yczliwej natury, postanowiB caBy ambaras zaBatwi na krótkim toporzysku. WezwaB Orlego Pucha do swego namiotu i prosiB go, by rzdzc si rozumem, nie traciB najpikniejszej okazji, jak daB mu Manitu.

- Przecie| ten Iwan to jeden z najdzielniejszych moich ludzi! -oznajmiB gromkim gBosem kapitan.

.- Ale za wiele gada o sobie - odmruknB z k[liwym u[miechem Orli

Puch. - MBody, a gaduBa!

- Ale mimo to dzielny wojownik! - upieraB si de Troyes. - MBody,

a ju| dobry |oBnierz...

Indianin spogladaB na kapitana z ledwo ukrywanym niedowierzaniem i nawet drwin. j

- Dzielny wojownik? - parsknB rozbawiony. - Dobry |oBnierz?

A tyle gada, gada?...

- A jednak zapewniam ci - rzuciB kapitan - |e nie po|aBujesz, gdy

dasz mu córk...

Stanowczo[, z jak dowódca Francuzów braB stron mBokosa, zastanowiBa troch Orlego Pucha i zrobiBa swoje. Indianin ju| nie kiwaB gBow. v,

- Czemu, do licha, robisz jemu i mnie tyle trudno[ci? - nalegaB

kapitan.

Orli Puch odetchnB gBboko:

- Ju| nie robi, okemaw, biaBy wodzu! - odrzekB. - Nie robi, je[li za nim wstawia si taka siBa, taki mo|ny poplecznik. Ale...



- Jakie znowu ale?

- On tak strasznie obcy... Nie zna lasów ani ludzi, ani nawet jzy-

ka!...

- Ale umie jedno! - Był de Troyes wesołym okiem ku Indianinowi.

- {e dobrze strzela?...

- Nie tylko. Umiał zadurzyć się w twojej córce...

Prawem wszystkich leżących plemion indiańskich przyszedł mi will

nien złoży przysięgę temu ciociemu godziwy okup za łon, a Orli Puch widział, że Iwan nic nie posiada, że jest gołcem. Ale tu znowu wdał się Chevalier de Troyes. Ofiarował tak szczodre wynagrodzenie w zamian za dziewczynę, że powściągliwy zazwyczaj Orli Puch z trudem tylko ukrywał swe zadowolenie.

Kuszy widok czterech angielskich strzelb, sporego zapasu prochu i kul, kilku wędziaków :>AC V jeszcze beczki smalcu, worka mki i cukru był nie do odparcia. Była to część Bupu zdobytego na Anglikach nad James Bay.

- Zgadza się! - kiwnął głową Orli Puch.

Wic młodzi pobrali się. Ona przeniosła się do jego-wigwamu.

Iwan szybko poznał, jak dobrze trafił: Kwitnica Gałz była nie tylko smukła i miła, lecz również rezolutna i pracowita, a przede wszystkim okazała się niezmiernie mu oddana i pomocna w nowym, obcym dla otoczeniu. Wszakże szczerzy młodeńców pewnej rzeczy nie dostrzegł: tego, że podczas gdy wszyscy bliscy w czasie ucztowania okazali radość i zadowolenie, jeden z młodych Indian, który trzymał się na uboczu, był chmurny i spozierał na niego ponuro. Zwał się Czarny Wilk i należał do rodu Abaszisza. Był wciekawy, bo od dawna zawracał sobie głowę Kwitnicą Gałzi i chociaż ona była mu niechętna, to jednak obiecywał sobie, że ją zdobędzie.

Obozowisko Obiduan, którego indiańska nazwa znaczyła Zwłona Rzeka, leżało na wysokim brzegu rzeki Zwitego Maurycego i liczyło wtedy około trzystu mieszkańców, Indian z plemienia Algonkinów. Mieszkańcy Obiduanu należeli do dwóch głównych rodów, Czajczaj i Abaszisz, rodów, które nie zawsze były sobie przyjazne, choć nigdy wrogie.

Nadszedł dzień wyjazdu Chevaliera de Troyes z Obiduanu. Wcześniej wybrał on spośród swoich ludzi trzech dzielnych, którzy mieli zostać z Iserhoffem. Owej trójce i Iserhoffowi zostawił dwadzieścia strzelb oraz moc innej broni i prowiantu. Przy pożegnaniu de Troyes wziął Iwana na bok i patrzył mu uważnie w oczy, rzekł:

- Pamiętaj o wszystkim, co ci mówię. Anglicy to parszywi wrogowie! A te lasy są nasze i pozostaną nasze! Mam do ciebie, Iwanie, jeszcze jedno. Spróbuj założyć tutaj oddział młodych, zbrojnych Algonkinów pod twoim dowództwem. Taki niewielki, a bitny hufiec mógłby się nam tu przydać w

razie potrzeby. Pamitaj, chBopcze, licz na ciebie!...

- Panie, nie bd szczeniB siB! Wszystko wykonam! - wzruszony

12

mBodzieniec zBapaB rk Francuza i bez wahania do ust przycisnB. CzuB tak ogromn wdzierno[ za wszystko, co ten dla niego uczyniB, |e w ogieD za nim by poszedB.

Nie zwlekajc, nastpnego dnia po wypBynicu francuskiego oddziaBu przystpiB z werw do dzieBa. SzBa ju| jesieD i dowiedziaB si, |e niebawem Obid|uan opustoszeje, a Indianie rozprosz si w ostpach le[nych, by podj polowanie na swych Bowiskach. Je|eli chciaB zjed-.. na sobie junaków do oddziaBu, musiaB si spieszy. Poduczony przez Kwitnc GaBz, znaB ju| wiele sBów indiaDskich. RozgBosiB w[ród wigwamów, |e szuka mBodych wojowników, którzy zechcieliby do niego przystpi. ZapowiedziaB te|, |e ka|demu chtnemu gotów bdzie odda jak[ porzdn broD, mo|e nawet strzelb.

Zapaleniec mniemaB, |e znalezienie grupy skorych do wspóBdziaBania z nim wojowników nie nastreczy wikszych trudno[ci. WidziaB przecie|, jak Algonkinom pBonBy oczy do broni palnej.

Indianin tych stron, jeszcze do niedawna posBugujcy si tylko wBóczni i Bukiem, wraz z przybyciem tu biaBego czBowieka wnet poznaB, j ak bardzo broD palna góruje nad jego dotychczasowym or|em, jak uBatwia zdobywanie misa czy obron przed wrogiem. Otd ka|dego Indianina my[liwego paliBo przemo|ne pragnienie zdobycia tej broni, za któr pBaciB biaBym handlarzom wielkie sumy w cennych skórach. Angielskie rusznice, które Iserhoff obecnie przyrzekaB junakom, nale|aBy do najprzedniejszej broni w tych pÓbnocnych lasach. Chocia| ci|kie i do[ nieporczne, jak zreszt i inne ówczesne strzelby, jednak z reguBy biBy celniej i pozwalaBy ubi Bosia z odlegBo[ci nawet stu

kroków.

MinB dzieD, i drugi, i nastpny, a |aden Indianin nie zgBosiB si do mBodzieDca, coraz bardziej tym zaniepokojonego. M|czyzni w wiosce wyraźnie stronili od niego i byli gBusi na jego sBowa.

Iwan zaczB sobie u[wiadamia bBd, jaki popeBniB, liczc na Batwe pozyskanie mBodych Indian.

- ByBem naiwny, niemdry! - powtarzaB sobie. Kwitnca GaBz, widzc jego niepowodzenie, chciaBa mu pomóc. ZwróciBa mu uwag na swych dwóch braci, Szarego Jastrzbia i BiaBego ObBoka. Obydwaj nieco starsi ni| Iwan, byli rosBymi zuchami, którzy jeszcze nie pozakBadali swych rodzin. Iserhoff czsto ich teraz widywaB w swym wigwamie. Chtnie rozmawiali i od nich usByszaB, |e jest w obozie kto[, kto wszczB cich wojn przeciw niemu. To Czarny Wilk,

13

ów odpalony rywal. ChodziB w[ród mBodzie|y, gadaB zle o nim, mciB wod.

Którego[ dnia Iwan szedB w stron niedalekiego jeziora, by Bowi ryby, gdy ujrzaB przed sob grup kilku mBodych Indian, w[ród których byB Czarny Wilk. Powodowany nagB przekor czy te| chci sprawdzenia, jak bardzo Czarny Wilk byB mu niechtny - zbli|yB si do , ” gromady. Stanwszy przed

Indianami, gBo[no zagadnB Bamanym j zy-kiem, czy który[ z nich gotów byBby z nim wspóBdziaBa. Indianie unikali wzroku przybysza i milczeli. Iserhoff powtórzyB pytanie. Wówczas jeden z tamtych odezwaB si niechtnie:

- Po jakie лихо mieliby[my si z tob zadawa? Mamy si zbroi przeciwko Anglikom? Oni nie s nam wrodzy, chc z nami tylko handlowa...

- Handlowa równie dobrze mo|ecie z Francuzami! - odparB Iserhoff. - Anglików ju| nie ma nad James Bay.

Raptem Czarny Wilk zmierzyB go wrogim spojrzeniem i wycedziB gniewnie:

- Ty chcesz dowodzi Indianami?

- ChciaBbym...

- Wiedz zatem - warknB tamten - |e u nas, je[li kto[ chce przewodzi innym, najpierw musi dowie[, |e na to zasBuguje! A ty, kim ty jeste[? Umiesz cho strzela? - spytaB pogardliwie.

- Umiem - odrzekB spokojnie Iwan.

- No to pewnie trafisz z tego miejsca w ten tam drg, wbity w ziemi, do którego uwizaBem mojego psa? - na twarzy Czarnego Wilka pojawiB si zBo[liwy u[miech.

Ów drg, który wskazaB, byB trudnym celem: oddalony o dobre trzydzie[ci kroków, byB cienki i kiepsko widoczny.

- Czemu|by nie? - odpowiedziaB Iserhoff cigle spokojnym tonem.

- Wic strzelaj! - rzuciB który[ z Indian stojcych z boku.

- Dobrze, id po broD.

Wkrótce-wróciB ze sw rusznic. Indian staBo tam teraz ju| kilkunastu. DobyB zza pazuchy woreczek z prochem i kulami. Nabijajc strzelb, starannie wsypaB miark prochu, wepchnB pakuBy, ubijajc dokBadnie stemplem, potem wprowadziB kul i znowu pakuBy, i jeszcze raz bez po[piechu ubiB. Na koniec podsypaB [wie|y proch na panewk. W owym czasie nadeszBo jeszcze kilku zaciekawionych Indian i wszyscy otoczyli go póBkolem.

14

Iserhoff wreszcie zBo|yB si do strzaBu. Opu[ciB jednak broD i zwróciB si do Czarnego Wilka:

- Spróbuj trafi w powróż zawizany na palu.

- Nie gadaj tyle, strzelaj - sarknB tamten. RozlegB si huk. Pies pod drgiem skuliB si i przypBaszczyB do ziemi.

A potem daB susa i jB wrywa ile siB w stron lasu, za nim po ziemi sunB powróż rozerwany kul.

Ten i ów po[ród obecnych chrzknB z uznaniem.

Iserhoff bez sBowa podniósB woreczek, schowaB go za pazuch i ze strzelb w gar[ci oddaliB si.

Szary Jastrzb i BiaBy ObBok, przyjazni mu bracia Kwitncej GaBzi, donie[li nazajutrz, |e Czarnego Wilka krew zalewaBa. Na domiar jego pies, którego trzymaB dotychczas na uwizi, przepadB gdzie[ w lesie i ju|

nie wróciB.

- Wszak|e kilku naszych w obozowisku - dodaB Szary Jastrzb -

chwaliBo ciebie jako dobrego^ strzelca.

- Czy szdysz - zagadnB go Iwan - |e teraz który[ z nich do mnie

przystpi?

Szary Jastrzb przez chwil jakby si wahaB i nie wiedziaB, co odpowiedzie.

- Nasi ludzie - rzekB wreszcie cichym gBosem - chadzaj wBasnymi [cie|kami. Nie w ich naturze ulegBo[, poddawanie si komukolwiek... Niekiedy bywa jednak, |e id za kim[. Ale musi on prze[cign innych jako wielki my[liwy albo zasByn szczególnie walecznym czynem...

### 3. IROKEZI

Niedaleko byBo do [witu, a nad rzek Zwitego Maurycego snuBa si sBaba mgBa. Na dwóch brzozowych Bodziach wypBynBo ich z obozowiska Obid|uan sze[ciu, Iwan Iserhoff i jego picu przyjacióB: Szary Jastrzb, najstarszy z nich, BiaBy ObBok, Du|y OrzeB, Krwawa Rka i najmBodszy, mBokos jeszcze, Czerwony Mokasyn. ZapowiadaBa si dobra zabawa, pomy[lne polowanie. Przed kilku godzinami, wieczorem o zachodzie sBoDca, Szary Jastrzb odkryB na bBotnistej Bce przy rzece, nie dalej ni| póBtora mili od Obid|uanu, trzy spokojnie |erujce Bosie, dalej ujrzaB [wie|y trop niedzwiedzia. Muskwa byB gdzie[ w pobli|u.

15

Uzbroili si rzetelnie nie tylko w strzelby, mieli ze sob i pistolety, i Buki, siekiery-tomahawki, nawet wBócznie, oczywi[cie tak|e i no|e. Z niedzwiedziem sprawa nie byBa Batwa. Wic teraz dziarsko wiosBowali, peBni dobrego ducha. W ka|dym kanu trzymali po dwa najlepsze psy my[liwskie, cite jak sto rosomaków na niedzwiedzia.

OkoBo trzystu dBugich, bo cichych uderzeD wioseB od ostatnich wigwamów Obid|uanu przepBywali obok miejsca, gdzie rosBy na brzegu rzeki gste szuwary, a las dochodziB do samej wody. Tu nagle ich psy zaniepokoiBy si. ZaczBy groźnie, acz gBucho warcze, wyszczerza kBy, je|y sier[ na grzbiecie.

- Czego si tak zBoszcz? - szepnB Czerwony Mokasyn.

- Pewnie rosomaka poczuBy! - kto[ zaszemraB.

- A mo|e niedzwiedzia? - mruknb kto[ inny.

I pBynli dalej. Noc si koDczyBa, mgBa nad wod wyraźnie rzedBa.

Gdy oddalili si prawie o mil od swych sadyb, doznali wstrzsu: w opuszczonym przed póB godzin obozowisku wybuchB po|ar i Buna o[wietliBa niebo. A zaraz obok w drugim miejscu wystrzeliBa nowa Buna i w trzecim miejscu jeszcze jedna. I potem coraz ich wiecej.

Sze[ciu my[liwych zdjBa zgroza: to byB wrogii napad! BByskawicznie zawrócili kanu i jak szaleni zacзли wiosBowa ku osiedlu.

ZahamowaB ich Iwan.

- BroD! - krzyknB na caBe gardBo. - Przygotowa wszelk broD do walki! Mie j pod rk!...

I dalej pdzili, ile siB w ramionach.

Ju| dochodziBy ich z daleka okrzyki i jki, ju| widzieli w blasku palcych si wigwamów gwaBtowny ruch, frenetycznie migajce postacie. Poznali: to byli Irokezi. ZdradzaBy ich znamienne czuby wBosów na gBowach i zawzita, niesBychana ruchliwo[. \

Irokezi! Najwaleczniejsi w[ród Indian, nieposkromieni wojownicy w[ród wojowników, przerałajcy napastnicy, najupiorniejsi mordercy i nieubagani zabójcy, specjali[ci zadawania okrutnych tortur pojmanym jeDcom. {yli na poBudnie od rzeki Zwitego WawrzyDca i byli wiernymi sojusznikami, wiecej: przyjacióBmi Anglików i Holendrów, przeto [miertelnyimi wrogami Francuzów i ich indiaDskich sprzymierzeDców - to oni napadli znieacka wie[ Algonkinów Obid|uan.

MBodych my[liwych przypBywajcych z mrocznej rzeki byBo sze[ciu, tamtych znacznie wiecej. Gdy obydwie Bodzie dotarBy do brzegu, Iwan pierwszy wyskoczyB na ld i z rusznic w gar[ci pdziB co siB ku najbli|-

16

Lzemu wigwamowi. Wigwam ju| si dopalaB, dwóch Irokezów za[ jbestialsko dobijaBo tomahawkami konajcych mieszkaDców.

Iwan w odlegBo[ci kilkunastu kroków przystanB i strzaBem w *Beb ,owaliB pierwszego z napastników. Gdy drugi spostrzegB niebezpieczeD- %stwo, zd|yB tylko krzykn. Zanim si zmierzyB do obrony, Iwan niby rozjuszony |bik przyskoczyB do niego i rbnB go kolb w gBow.*

DziaBo si to wszystko tak szybko, |e dopiero teraz inni Irokezi w pobli|u, wci| zajci paleniem wigwamów i zabijaniem ludzi, podnie[li gBowoy i zauwa|yli Iwana. Nie zd|yli zada mu ciosu, gdy| niemal jednocze[nie huknBo kilka strzaBów z rusznic picu przyjacióB, którzy dobiegli do Iwana. Palba skuteczna: najbli|si Irokezi, trafieni, i padli jak [cici. Ale taka byBa zajadBo[ strasznych wojowników, |e nawet [miertelnie ra|eni, jeszcze resztk sil starali si zabija. Ranili |u|ego OrBa.

Ci z Irokezów, którzy zapdzili si dalej do [rodka obozowiska, natychmiast dostrzegli to, co rozgrywaBo si w pobli|u rzeki, i hurmem l rzucili si na pomoc swoim. Ale ogieD z pistoletów sze[ciu przyjacióB ! powaliB ich dwóch, trzech, a innych nieco powstrzymaB. Na szcz[cie | dla Iwana i jego towarzyszy w tej chwili zwaliBo si z gBbi osiedla | kilkunastu Algonkinów uzbrojonych w co kto miaB pod rk, w strzel-” MC, dzidy, Buki i tomahawki, nawet w drgi - i rozgorzaBa straszliwa rbanina. Krew tryskaBa na wszystkie strony.

Irokezów byBo chyba dwudziestu, a walczyli jak w[ciekBe wilki, ale mieszkaDcy Obid|uanu, którzy tymczasem oprzytomnieli, przybywali j zewszd i walczyli jeszcze zacieklej ni| tamte wilki. Walczyli do upadBe-,0, chodziBo o [mier albo |ycie. To ju| nie byB grozny bój, to byBa burza, o byB szaB. Tak|e kobiety cBwytaBy za broD. Zgraja Irokezów, gromiona ;ewszd, kurczyBa si szybko i dBugu nie trwaBa ich walka. Wikszo[ >adBa trupem, byBo tak|e kilku ci|ko rannych.

Algonkini chcieli dobi tych pÓB|ywych, lecz obecni Francuzi nie dopu[cili do tego. Cala ich trójka, Hebert, Lafiteau i Noyons, broniba dotychczas osiedla równie brawurowo jak inni, jednak teraz dobijaniu rannych ostro si przeciwstawiBa.

- Nie zabija ich! - krzyknB rozkazujco Hebert. - Potrzebujemy akBadników!

- ZakBadników? Po co nam zakBadnicy?! - gniewnie |achnB si Orli uch, ojciec Kwitncej GaBzi.

- Gubernator w Quebecu potrzebuje ich |ywych!! - huknB Hebert.

Rod Indian..

Gubernator w Quebecu byB wielkim wBadc, z którym Algonklnod To w} za|arty Irokez. Algonkinowie co tchu podpBywaj cy na kilku woleli nie zadziera, wic ulegli, cho opornie, |daniu Heberta i piej

j^ach, ze zgroz ujrzeli, jak on zdrow rk uzbrojon w nó| zabieraB rannych Irokezów zachowano przy lyciu. j 40 zabijania pozostaBych chBopców. Najbli|szemu ju| przebiB gardBo.

W ogólnym rozgardiaszu i zamcie, jaki wci| panowaB, uszBa uwi je wicej nie zdlyB. Kto[ z caBych siB zdzieliB go wiosBem, kto[ inny ucieczka dwóch Irokezów w Bodzi, do której wrzucili kilku zwizanej }5czni przeszyB mu pier[.

i na pób odurzonych maBych chBopców. ZBapali ich podczas napa[ci! ^^ zakoDczyBa si walka. NastpiBa grobowa cisza. To byl ostatni wigwamy, by zabra do niewoli do swych siedlisk na poBudniu. Dopii

:>?0?C napastnik.

gdy zbiegowie wypBynli z przybrze|nych zaro[li na otwart rzel wBa[nie wyrzaBo poranne sBoDce sponad wierzchoBków puszczy odkryto ich, aBe byli ju| zbyt daleko, by kul ich dosign. 1 3[wietliBo urzekajcy krajobraz rzeczny. ByBo tu tak piknie i zacisznie,

Iwan staB najbli|ej brzegu rzeki. SkrzyknB Szarego Jastrzbia i Bia jj gdyby tej uroczej przyrody nigdy nie nawiedziBa ludzka niedola ni go Oblok, bo ci byli najchy|si, i razem rzucili si do swej Bódki. I [eska.

Uciekajcy Irokezi, wytkowo barczy[ci wojownicy, dobywali na podczas gdy jedno kanu odwoziBo uratowanych chBopców do Obi-ludzkich siB i wiosBowali jak szatany. Szybciej prali wod ni| ci, któr ZUanu, reszta obecnych Algonkinów przetrzsaBa szeroki pas nadr|e-ich teraz [cigali. Tak zbiegowie przez pierwsz mil wyraznie wypr mej kniei w poszukiwaniu maruderów. Nie pominito |adnego ost-dzali gonicych. Ale potem znulenie jBo dawa im si we znaki. u chaszcy, ale nikogo nie znaleziono. Zapewne wszystkim napastni—

Irokeskich zbiegów byBo dwóch, natomiast w Bódce Iwana wiosBow 0m przypadB zasBu|ony los. Bo trzech, i ta przewaga uwidaczniaBa si coraz bardziej ju| na drug

mili. Na trzeciej mili odstp midzy uciekajcymi a po[cigiem tak i iwan Iserhoff |yB w[ród Algonkinów dopiero niespeBna rok, wci| zmniejszyB, |e jeden z Irokezów uznaB, i| mo|na byBo strzeli. Wypa 45A byB rdzennym Europejczykiem i na razie maBo przyswoiB sobie ale nic nie dziaBaB: kula chybiBa. Wówczas odBo|yB strzelb, chww ech indiaDskich. Wybicie przez Irokezów kilkunastu mieszkaDców jednego z malców i cisnB go do wody. W chwil potem znów 1 ibid|uanu, w tym kilku przyjaznych mu dusz, gBboko odcierpiaB pochyliB i drugi chBopiec zniknB za burt. Szelma odci|aB w ten sposj dopiero powoli uczyB si od Algonkinów, |e [mier, nawet [mier Bódz i chciaB toncymi

nieszcz[nikami zaabsorbowa [cigaj cy a ajbli|szy eh, to rzecz zwykBa, powszednia. W tych lasach między doli-Kolejnego nieboraka nie zd|yB ju| wrzuci do rzeki. Oto Iwan L rzeki Zwitego WawrzyDca a Zatok Hudsona, w lasach tak boga-dziobie swego kanu wsypaB do strzelby nieco wiksz ni| zwykle @>< ych w zwierzyn iryby, co kilka, czasem co kilkana[cie lat zjawiaBo si prochu i wygarnB do niego. Irokez, trafiony [miertelnie w piec widmo gBodu; zwierzta wymieraBy, a wraz ze zwierztami marli z glo-stoczyB si na spód Bodzi. u ludzie. Tylko najsilniejsi prze|ywali. Zmier byBa tym Indianom

Drugi wróg przycupnB, by od kul schroni si za burt. Z tej zym[ bliskim, ukrycia niezdarnie mu byBo macha wiosBem, wic Bódk, teraz niesp Wie[ o zupeBnym pogromie watahy Irokezów, wojowników nad ro si poruszajc, skierowaB wprost na brzeg rzeki. Tam w zaro[Bac wojownikami, zawsze zwyciskich, rozeszBa si lotem bByskawicy po widocznie spodziewaB si uj[ pogoni. ] wszystkich lasach. Od Labradoru a| po dalekie prerie na zachodzie

Tymczasem Iwan i jego towarzysze spieszyli na pomoc dwóm ma apanowaBa rado[. Irokezi byli wrogami wszystkich |yjcych dokoBa com. Szcz[ciem obydwaj, jak wikszo[ chBopców indiaDskich, pByw lich plemion, tote| podziw szedB ku tym nad rzek Zwitego Mauryce-li niczym ryby, wic chocia| skrpowani powrozami, bez trudu utn ;o, |e potrafili tak walecznie si obroni. Kim byli ci chwaccy obroDcy? mywali si na powierzchni wody. Wkrótce wcignito ich do kan kim byli nienawistni napastnicy?

Natomiast uciekaj cy Irokez nie przepBynB i póB szlaku dzielcego Przecie| to Irokezi przed czterdziestu laty, w poBowie siedemnastego od brzegu, gdy Algonkinowie zagrodzili mu drog. Z odlegBo[ci dzies wieku, niemal doszcztnie wypili silny ongi[ lud Huronów, wielo-ciu s|ni przestrelili mu wiosBujc rk i tak go unieruchomili, rotnie liczniejszy ni| Algonkinowie nad rzek Zwitego Maurycego!

19

A wypili dlatego, |eHuronie przyjaznili si z Francuzami, IrokezB ulegali zBowrogim podszczuwaniom Anglików.

tem, ubiB tgiego niedzwiedzia i kilka Bosi, dowodzc tym sprawno[ci y[liwskiej. W jego wigwamie byB zawsze dostatek |ywno[ci i zawsze

Nie ma skutków bez przyczyny, deszczu bez chmury, a bezmy[ffrczaBo jej dla ssiadów, a szczególnie dla rodziny zony.

gBupi gubernator zawsze si znajdzie, i nad rzek Zwitego WawKyfBracia |ony, Szary Jastrzb i BiaBy ObBok, stali si jego najbli|szymi

nad sam Sekwan, nawet czasem nad WisB. Takim szkodtoEyjacióBmi i towarzyszami wypraw my[liwskich. Zona miaBa taKze

- - etr, Wiotk Trzcina, o dwa lata mBodsz ni| ona, i pewnego dnia,



%v byBa w siódmym miesiącu ci|y, wprawiBa Iwana w niezmierne

Tziwienie: poprosiBa go, by Wiotk Trzcina przybraB jako drug |on.

Ale|ja ciebie kocham! Ciebie! - zawoBaB zakBopotany, nieomal

Na to Kwitnica GaBz z wyrozumiaBym u[mieszkiem zapewniBa go, bd si zawsze tak samo kochali, ale |e zwyczaj Algonkinów

H \_\_\_\_\_

gubernatorem w Kanadzie w owe czasy Nowej Francji byB ni Denonville.

Gdy Irokezi w drugiej poBowie siedemnastego wieku doszli do szczytu swej potgi, a wahali si przez długi czas, czy stan po stronie Anglików, czy Francuzów, ów niepo czytany Denonville popełniB i wiel|urzony gBupstwo, i wytkow nikczemno[: do swego fortu Frontenac

jeziorem Ontario zwabiB na pozornie przyjacielski narad kilku \L

vt, - ; %

nych wodzów irokeskich, a gdy ci przybyli, kazaB ich porwać, zalczwała m|owi, je[li jest dzielny i my[liwym, mie dwie żony i wysBaB do Francji na haniebn |mier we francuskich lochach. Dziei si to w roku 1687. Ju| nastpnego roku Irokezi napadli na Algonków nad rzekę Świętego Maurycego, a w dwa lata później, w roku 1689, dokonali sBynnej rzezi Francuzów w Lachine, przedmie[| Montrealu, zabijajc lub biorc do niewoli kilkuset mieszkaDców ^^^^^^^

Dopiero przybycie w 1689 roku mdrego gubernatora Fronteni opaB i gotowa straw dla m|a wybawiBo jako tako kanadyjskich Francuzów od biedy

## 4. DWIE ZONY

*A ty jeste[ przecie| dzielny! - u[miechnBa si rozbawiona. -izecie| to prawda, jeste[ dobrym my[liwym!...*

A ja nie chc, chc mie tylko jedn |on! - parsknB.

Jeste[ samolubny! - bknBa. - Pomy[l, |e nosz w sobie dziecko, | rzeki trzeba codziennie przynosi ci|ki kubeB wody, z lasu drewno

Pomy[l o tym, dzielny my[liwy!...

|ielny, a tak niemdry!... Iwan zwierzyB si Szaremu Jastrzbowi i BiaBemu ObBokowi z tej izmowy i ze swych kBopotów, a oni w [miech.

Kwitnca GaBz ma sBuszno[! - orzekB Szary Jastrzb. - Musisz

ie drug |on!  $p >$

I powiniene[ wzi Wiotk Trzcini! - zapewniB BiaBy ObBok. - Nie

Iwan Iserhoff byB bystry, inteligentny i |dny wiedzy, miaB praB a innej rady! Musisz! ^

charakter, a ludziom chciaB pomaga. MiaB dwadzie[cia jeden lat, i - A czym zapBac jej ojcu, Orlemu Puchowi? - zawrzaB Iwan. Nie umysB (a tak|e i ciaBo) nad wiek dojrzeBe. Wszyscy nad rzek Zwite am majtku!

Maurycygo darzyli go wkrótce |yczliwo[ci, nawet stary zrzda, A Przyjaciele jeszcze bardziej si u[miali, równik Dwa Kruki, byB mu, od chwili napa[ci Irokezów, przychyri - A ty, Iwanie. Ty? - podniósB brwi Szary Jastrzb, a mBoda |ona Kwitnca GaBz (zreszt niebawem brzemienna) wpro - Co ja, do diabBa? - prychnB Iwan. go ubóstwiaBa I *Czy ty, Iwanie, sam nie jeste[ wielkim majtkiem?*

Iwan w cigu kilku miesicy nauczyB si niezle dwóch jzykói Orli Puch, ojciec dziewczyny, zagadnity w tej sprawie przez Iwana algonkiDskiego od przyjacióB indiaDskich i francuskiego od swego ma nierzyB ostro mBodego czBowieka wzrokiem prawie karccym  $V >?5=$  tor, Francois Heberta. Ale czym ludzi szczepu wyjtkowo ujB, to tyl 3chle, |e ci dwaj, jego synowie, nie myl si: Iwan musi wzi WiotK |e w czasie pierwszej zimy razem z nimi poszedB w lasy, nauczyB Srzcini i tym samym pomóc Kwitncej GaBzi i jej dziecku.

sporzdza sidBa i potrzaski, stawia je w odpowiednich przesmykad i na wiosn przywiózB |onie wielki stos zwierzcych skórek. Późniq

20

To bdzie syn! - o[wiadczyB. - A czy Wiotka Trzcina zechce przyj[ do mnie?

21

Orli Puch na takie pytanie tylko wzruszyB ramionami i bez sBój odszedB.

Wiotka Trzcina bardzo chciaBa by u Iwana i rychBo wprowadziBaj do jego wigwamu jako druga |ona.

Francois Hebert, który nie tylko uczyB Iwana języka francuskie!

ale staraB si mu doradza w ró|nych innych sprawach indiaDski woim wBasnym terenie? Nic do gadania w sprawie wrogów, których

i w ogóle |yciowych, po pierwszych tygodniach zapaBu jak ‘gdjj stFaciB ochot. Prawdopodobnie rosna za|yBo[ i powodzenie Iwa u Indian nie byBy w smak Francuzowi. Coraz bardziej zaniedbyfl lekcje, ale Iwan tym si zbytnio nie martwiB, gdy| dwaj inni, Loi Lafiteau i Jacues Noyons, ludzie pro[ci i serdeczni, chtnie z mBody czBowiekiem gawdzili i obeznawali go z językiem francuskim

Napa[ Irokezów na Obid|uan nastpiBa późnym latem tego roB gdy Kwitnca GaBz byBa w siódmym miesiecu ci|y. Na szcz[cie

:go wojownicy pokonali? - oburzaB si Iwan.

- Merde! Merde! - krzyczaB rozsierdzony Francuz.

A|eby za[ staBo si zado[ jego woli, doskoczyB z no|em w rce do ajbli|szych zwBok Irokeza i drug rk uchwyciB jego czub na gBowie. Stój! - wrzasnB Iwan, ale daremnie: tamten zabieraB si do obci-ania skalpu.

Wtedy Iwan daB znak swoim ludziom, by powstrzymali przemoc eberta. Do szaleDca doskoczyBo trzech, Szary Jastrzb, BiaBy ObBok

ród Czajczaj, maj cy swe wigwamy nieco z ubocza, wyszedB caBo, gc -zerwony Mokasyn, i chwycili go za ramiona, a z rki wydarli mu nó|. napastnicy nie zd|yli tam jeszcze wtargn. Zarówno obydwie |o afa\ w[ciekle si szarpaB, wic Iwan kazaB go zwiza sznurami

Iwana jak ich ojciec, Orli Puch, nie odnie[li |adnych ran Gdy zabierano si do zakopywania zwBok Irokezów, powstaB przyk

zatarg z Hebertem. On ju| od dBu|szego czasu zachowywaB si, j wiza.

gdyby nurtowaBa go coraz dotkliwsza zazdro[ i niech do Iwana, Algonkinowie byli mu tak przychylni. Teraz oto Hebert za|daB, a|e wszystkich polegBych Irokezów oskalpowa na znak pogardy i z czerepów zedrze no|ami skór z wBosami.

- To barbarzyDski zwyczaj Irokezów i Indian gdzie[ na daBek zachodzie - sprzeciwiB si Iwan wschodnich lasów...

Rozdra|niony Hebert uniósB si zBo[ci:

- {dam, żeby tych Bajdaków Irokezów oskalpowano!
- To niepotrzebny objaw barbarzyństwa! - rzekł z naciskiem Iwan - Zreszt po co nam to?
- Skalpy! - fukną Francuz - pochl do Quebecu na dowód naszego zwycięstwa!. Wszystkie skalpy...
- Oni w Quebecu i bez tego uwierz! - oświadczył Iwan
- A ja rozkazuję!! - wrzasną nagle Hebert z całym siłą i ku Iwanowi
- Zapytajmy się Orlego Pucha, co myśli o tym skalpowaniu! On przecież rozważny i doświadczony...
- Orli Puch nie ma tu nic do gadania! - hukną Hebert. Iwan teraz zaczął już tracić cierpliwość i podniósł głos:
- jak to? Orli Puch nie ma nic do gadania tu, we wsi? Na

zawołano do Noyonsa i Lafiteau, by byli świadkami tego, co się dzieje. - Przecież widzimy! Widzimy!  
- przyświadczyli. - Trzeba go było

Iwan polecił wykopać dla zwłok irokeskich głęboki wspólny grób, żeby trudno było do nich się dostać. Niestety zwłok Algonkinów było niemal tyle samo co irokeskich, bo ci okrutni wojownicy mordowali wszystkich, którzy w wigwamach wpadli im w ręce: nie tylko mężczyźni, także kobiety, dzieci, starców, Dopiero przypłynięcie Iwana i armii Algonkinów, myśliwcy i pitki przyjaciele odsiecz pozwoliła kres rzezi, bo napastnicy

musieli walczyć o własne życie. Tymczasem Francois Hebert stał przy swoim i uspokoił się, wobec czego Iwan przeciw mu sznurzył i grzecznie pomógł mu wstać.

- Musieliście pana powstrzymać - rzekł Iwan przepraszając. - lardzo mi przykro...

- Czy musieliście - odparł ponuro Hebert - to się jeszcze okaże przedem! Nie zapominaj, chłopcze, że jesteś na ziemiach Nowej Francji. p Francuzi panują...

Był wściekły i rozdrażniony. Gdy słyszał jego usłyszał Orli Puch, wo-

ła nie panował nad sobą.

z równowagi. Dławił za wszelką cenę do zabagodzenia kłótni:

22

wyciągnął zaciętnie piłę, jakby mu groziła. Był już tak rozdrażniony, że stateczny, nalejący do grona poważnej starszyny Obiduanu,

szedł do swego wigwamu i przyniósł dla Heberta wsparcia, zBotem

Tym bardziej Iwan miał się na baczno[ci, by nie da się wyprowadzić dobień szpad zdobyty tego poranku na jednym z Irokezów. Wyczyt

^ Francuzowi.

23

- Biały czy Bawieku! - powiedziały uroczy[cie. - Zabierz tę broń ze sobą 5. BITWA W ZATOCIE HUDSONA jako nasz upominek i opu[ć nas w ciągu trzech dni. My, Algonkinowie

nie przepadamy za ludźmi lubiącymi skalpowanie wrogów... 8BB.;

B<sup>^</sup>-<sup>^</sup>iaoah?

Ale to przecie Bajdactwo.. Niezmierne było bogactwo lasów wokół Zatoki. «~~~~» 0 stó

- Milcz, nie mów, biały zwolenniku skalpowania! Milcz i wyjdź tam najzasobniejsze Bawiska, o jakich do <sup>^</sup>! <sup>o</sup> fT<sup>^</sup>. \

, A

.t handlarzom futer. Tedy zarówno Anglicy, jak i Francuzi pBonli

daj od nas!... ,

Iwanowi wydało się ważną rzecz, a żeby picie rannych Irokezów dowieziono cało, bez przygód, do Trois Rivieres, gubernatorskiej mi<scowoci u uj[ęcia rzeki Złotego Maurycego do Złotego WawrzyDd Tote postanowił wykonać to zadanie sam, mając przy boku na i

nawet handlarzom futer. Tedy zarówno Anglicy, jak i Francuzi pBonli Ldź aby zawładnąć owym skórkowym eldorado. A le zarówno jedni, iak i drudzy uważali te ostpy za sw wyBczn domen, przeto nie szczydził wysiłków, by przepędzić stamtąd zniechęconych rywali. Pierwsi uderzyli Francuzi: znany nam Chevalier de Troyes |uchwa—

Tote postanowił wykonać to zadanie sam, mając przy boku na Bo Pierwsi uderzyli rancim. HH, “«- ” T“

“^ Alpe nie dziach kilkunastu algonkiDskich towarzyszy z Szarym Jastrzębiem Bym atakiem zniszczył trzy faktorie angielskie nad James<sup>^</sup> fctZ i Białym Obokiem na czele. Był koniec sierpnia, należało się [piesz do BaB dosign czwartej, odległej] placówki wroga York LOAN C by dowieźć jeDców do celu przed nadej[ściem przymrozków. Udało się u uj[ęcia rzeki Nelson od Zatoki Hudsona. . Vnm.n(nr

zły! na czas Anglicy nie my[śleli pogodzić się z ci[łymi stratami. Komandor

Gubernator w Trois Rivieres, dostojny dygnitarz Pierre Bouche Grimington, ich do[wiadczony dowódca;Pr”!owaLw<sup>^</sup>YorkFactory dowiedziawszy się o przybyciu Iwana i jego luli, wezwał ich do

swę i wiosn 1693 roku wyruszyB na czele trzech okrętów de Bay. grodu, by ich pozna, a przede wszystkim im pogratulowa: wybiTam dzwignB z ruin faktori Albany i na powrót osadziB w me, zgrai Irokezów w Obiduanie rozeszBo si, jak ju wspomniano, grorangielsk zaBog.

, \_\_\_\_ . \_\_\_\_ % .i . ' i i i . .ii \_i \_r- \_\_\_\_\_ u

u ' 33&\ vakntln

kim echem po wszystkich lasach i osiedlach francuskich.

Boucher wiedziaB ju wiele o Iwanie od kawalera de Troyes i m wielkiego wojaka d'Iberville'a, którzy - zapewniaB gubernator - nr mieli do[ sBów pochwaBy dla mBodego przyjaciela przybyBego z daleka Rosji.

- Ale byB jeden taki - u[miechnB si dyskretnie Iwan - który mnf wcale nie chwaliB...

- Kto taki?

- Francois Hebert. .

- Co[ tam sByszaBem o nim - wyrozumiale u[miechnB si BoucheJ - To cymbaB! Wolno psu i na Pana Boga szczeka...

Gdy gubernator legnaB swych go[ci, [ciskajc im serdecznie dBonie spowa|niaB i rzekB:

- Znosi si wkrótce na waln rozpraw z Anglikami na poBudniu Dlatego wy, na pÓBnocy, gdzie wciskaj si do Zatoki Hudsona nieprj szeni go[cie angielscy, miejcie oczy i uszy otwarte. Jeste[cie tam w 1 sach nasz awangard.

- Nie zawieziemy... % Gdy Iwan wróciB do Obiduanu, dowiedziaB si, |e Kwitnca GaBa

urodziBa synka

24

LglC15ft.q icuv&y.

Z kolei zakotBowaBo si u Francuzów, którzy wiedzieli, |e je[li chc zwycily, musz za wszelk cen opanowa York, kluczow placówk wroga. I rzeczywi[cie, ich dwa okrty niebawem wziBy York wszak|e tylko na krótko: Anglicy wkrótce odbili wa|n faktori. To utwierdziBo Francuzów w przekonaniu, |e York Factory nale|y bezwzgdnie i ostatecznie zdBawi. Plan rozstrzygajcego natarcia poparB król

Ludwik XIV.

SzBa wiosna roku 169 7. Do Zatoki Hudsona wpBynBa eskadra trzech okrętów francuskich; dowodziB ni Sieur d'Iberville. Kim|e byB ów d'Iberville? Francuzi, stawiajc w owej przeBomowej

chwili wBa[nie na niego, wiedzieli, co czyni. Równie nieustraszonego i twardego, peBnego zuchwaBej fantazji i brawurowego oficera próno byBoby szuka w caBej ówczesnej Nowej Francji. Ju| jako kilkunastoletni mBokos, rojc o wielkich czynach, wyrywaB si w dzik kniej, w daleki [wiat. Potem towarzyszyB ochotniczo kawalerowi de Troyes w wyprawie nad James Bay i walnie przyczyniB si do bByskotliwego zwycistwa. Nastpnie jako mBody, ale ju| wytrawny dowódca on wBa[nie odebraB Anglikom York. Niestety niebawem musiaB pozostawi faktori Wrogowi na pastw, bo wzywano go na inne fronty zmagaD z Anglikami.

Ów szlachcic, który tak zwycisko potrafiB razi

‘oga, z równym

£)24—

25

powodzeniem podbijaB serca piknych panien w Quebecu i MontrealJ Jednak tu powinBa mu si noga: pewna mBoda szlachcianka z Mori trealu, Jeanne Picote de Balestre, zniewa|ona niestaBo[ci kochanka publicznie oskar|yBa go - ni mniej, ni wicej - tylko o uwiedzenie )i i zniewolenie. Za takie przestpstwo karano wówczas dBugoletnim galerami, a nawet [mierci. Ratujc skór, d’Iberville na jaki[ czai zniknB z Kanady - co skBoniBo poniektórych do zBo[liwego gadania, |fl krzepki wojak tym razem zrejterowaB z pola walki. Ostatecznie gBo[na awantura rozeszBa si po ko[ciach: sd w Quebecu, pomny wielkicM zasBug swawolnika, byB pobBa|liwy i zobowizaB go jedynie do Bo|enie na utrzymanie narodzonego dziecka pokrzywdzonej panny de Balestrej Ona za[ okryta wstydem, poszukaBa schronienia w klasztornej celi

Oto wic niezastpiony d’IberviBie |eglowaB ponownie do York Fal tory, a|eby raz na zawsze rozstrzygn przynale|no[ pÓBnocnycr ostpów. Wszelako zBe wiatry i gste mgBy w Zatoce Hudsona rozpro szyBy jego eskadr i fregata dlberville’a

Pelikan” pierwsza samotnie] stanBa u celu. Francuz wstrzymaB si z atakiem na faktori, oczekujc] rychBego przybycia pozostaBych okrtów.

Jako| niebawem na nieboskBonie ukazaBy si maszty nadpBywaj -l cych jednostek. Lecz zaskoczeni Francuzi spostrzegli, |e to pByn nie icrl fregaty, trzy okrty wroga. Anglicy wida zwachali niebezpieczeD-j. stwo i w czas wysBali komandora Grimingtona, dowódc znajcege wybornie Zatok Hudsona, by ochraniaB York Factory.

D’Iberville w ci|kim poBo|eniu nie straciB zimnej krwi i m|niej wypBynB naprzeciw wrogom. Anglicy ju| z daleka jli gsto wali! z dziaB do [miaBka - jednak nieskutecznie. SzBa burza i na rozkoBysanej] wodzie trudno byBo celowa. Francuzi lepiej mierzyli: ju| pierwsza ich] salwa zniosBa grotmaszt na

Deringu”, flagowym okrcie komandora! Grimingtona. A pociski z nastpnych salw byBy jeszcze skuteczniejsze -wyr|nBy w [ródokrcie

Hampshire”, czynic na tej jednostce wroga] du[e spustoszenie.

- Goddam you! - zaklB Grimington, zirytowany nieoczekiwanymi biegiem wypadków.

Komandor miaB cigle wielk przewag, postanowiB przeto gwaBtow-1 nym uderzeniem zakoDczy zanadto przecigajc si walk. DaB roz-j kaz do ataku aborda|owego. D’Iberville w mig odgadB jego zamysB, kazaB wic spiesznie zaBadowa falkonety, dziaBa strzelajce siekaDcami na maBe odlegBo[ci, szczególnie skuteczne w walce aborda|owej.

Okrty Grimingtona

Dering” i

Royal Hudson’s Bay” podchodziBy do francuskiego

Pelikana”; zdawaBo si, |e jeszcze chwila i Anglicy rzuc haki, by szczepi si z nim i wtargn na jego pokBad. Wtedy raptem grzmotnBy falkonety

Pelikana”, zasypujc morderczym gradem pokBady wrogich okrtów i ludzi na nich. Nim Anglicy ochBonli, d’Iberville wykonaB zrczny manewr i oderwaB si od nich na bezpieczniejszy dystans. Pod jego dziaBa nawinB si

Hampshire”, ten który oberwaB tgo ju| w pierwszych chwilach i otd staraB si trzyma na. uboczu. Piekielnie celny ogieD z niewielkiej odlegBo[ci okazaB si zabójczy:

Hampshire” gwaBtownie przechyliB si na burt i rychBo poszedB na dno, a wraz z nim caBa zaBoga - dwustu dziewidziesiciu chBopa. Tymczasem burza rozptaBa si na dobre, morze pieniBo si i huczaBo. A upiorna walka na [mier i |ycie trwaBa dalej. Grimington miaB jeszcze cigle przewag dwóch okrtów przeciwko jednemu - ale Anglicy jakby upadli na duchu. Nie oni d’Iberville’a, lecz on ich trzymaB cig- *Bym ogniem w szachu. Skutecznym ogniem: bo oto na*

Royal Hudsonu Bay” wybuchB po|ar. W tej sytuacji okrt poddaB si Francuzom, a caBa zaBoga jBa tBumi pBomienie.

Grimington, widzc klask, zBamany, z dusz na ramieniu umknB na

Deringu” z pola walki i zaszyB si u uj[cia rzeki Nelson nie opodal

York Factory.

Tak tedy w owej najwikszej bitwie na wodach Zatoki Hudsona d’Iberville ze sw niewielk fregat zdumiewajco pobiB na gBow siln eskadr Anglików. I pomy[le, |e dziaBo si to w czasach, kiedy ci wBa[nie Anglicy sigali tward rk po pierwszeDstwo na morzach [wiata, kiedy chlubili si rozgBo[nie sBynnymi dowódcami, jak admiraB Robert Blake i wielu innych...

Tymczasem dalszy, niefortunny rozwój wydarzeD w Zatoce Hudsona sprawiB, |e zwyczajcy Francuzi wpadli niespodziewanie w opaBy. Bo oto wichura przeszBa w huragan i rozptaBo si prawdziwe



piekBo na wodzie. Dziki wiatr porywaB w powietrze caBe grzywy i tyle pyBu wodnego, |e widoczno[ prawie caBkiem si zatarBa. Ogromne fale jBy miota z furi

Pelikanem” i pojmanym okrtem angielskim, a| BaDcuchy kotwiczne ich obu pozrywaBy si jak nitki. RozszalaBy |ywioB nieuchronnie spychaB bezwolne okrty ku brzegowi i nastpnie w[ród trzasku rozBamy wanych kadBubów rozbiB je doszcztnie o je|ce si tam

skaBy. Rozjuszona kipiel pochBonBa kilkudziesiciu ludzi - w tym dwudzie—

26

27

bvBob/ daleko wiCe4 Iberville’a przedzierajcych si do brzegu. Ofiar rozpa^liweJchwihJ’ ^dyby nie pomoc, która nieoczekiwanie w tej kilka f^stacimskij WeszBa °d ldu. Z mroku wyBoniBo si dwadzie[cia[ niebe^ieczenstw0 J; owi tajemni przybysze - nie bacz na wBasne z topi^1-krzepkim ramieniem wydostali wielu rozbitków

JulfO wszystkie d, brodata, najwyrg Iberville przystpujc do zdyszanego barczystego do niego zdumiony.^iej przywódcy owych ratowników, wykrzyknB

- Ja^ie Baskawe h

czBowiek? \\*0 Was H sprowadziBy? Kim|e jeste[i dzielny

- Isej>h0ff Iwan

sdy, przed l^rn°ff” A wy, panie, przecie| chyba mnie pamita-Kusk? Iserhoff? *V, nazywali[cie mnie Rusk.*

kim yf mu Si^ wPrancUz Jeszcze bardziej przybli|yB si do tamtego

im g osem: q0 yt|onym zaciekawieniem. Naraz zawoBaB grom-

<?- °! nielicho S| katów! Przecie| oczy mnie nie myl, pamitam

z de lntyesem garbQ zmieniBe[, zm|niaBe[! Ty byBe[ z nami, gdy[my

teraz si tutaj znaI Jvali skór Anglikom! Ale mów, jakim sposobem

A o Wszystko m^e[ z tymi ludzmi? Maurycego i dwaj i Przyjaciele, Algonkinowie, znad rzeki Zwitego iwan wizujc na^uhowie Francuzi, Noyons i Lafiteau - odparB g^nator Fr0rit: bjcych opodal towarzyszy. - A przybyli[my tu, wsparli ciebie, parujc w Quebecu prosiB nas o to. ProsiB, aby[my D’Jh -?( B°g )&> W tej decydujcej walce tutaj.

Tamt UjB IWati^ W Sam P°r dotarli[cBe! Dziki... - rzekBszy to, am e^ pochleb^ mocno za bary i serdecznie nim potrzsnB.

5' biBe[ 3^# nBe taiB Podziwu dla Francuza: trzem... Vvszystko wJlików, |e dech zapieraBo! Sam jeden przeciwko 10 VT koniec! “^zieli[my!

wienl^k^ FmncU2;i ^raZ ^kurzymy ich z faktorii!... p . . rtu °dpowj naJdowali si w niewesoBym poBo|eniu: pozba-naza4rt iezmo|otly ledniej broni' byli na razie bezsilni wobec wroga. Ju rz z samego ^,53&5 wcale si tym nie frasowaB. I sBusznie: P ° >:3^# fra^a, gdy burza ju| przycichBa, dobiBy do niego dwa

f kt n'd B Przet^^uskie. D'Iberville kazaB raznie [cign z nich i D°n^ir astcpnie 3^zy w dogodne miejsca, skd mo|na byBo razi lu ik0ttiandora Q^^daB °d Anglików kapitulacji. Ci, wzmocnieni

imingtona, stanli najpierw okoniem, ale ju| po 28

,-ikunastu ostrzegawczych strzaBach gotowi byli kapitulowa. Pod . jjiym tylko warunkiem - |eby d'Iberville pozwoliB im wszystkim pByn na

Deringu”. Francuz okazaB wielkoduszno[ i przystaB

na to-co zwycistwie d'Iberville wezwaB do siebie Iserhoffa i jego towarzy-v V wyra|ajc im sw wdziczno[, rozdzieliB pomidzy nich kilkadzie—

t zdobycznych strzelb, moc prochu i kul, a tak|e sto worków mki Sltvle| cukru oraz kilkaset koców i weBnianych ubiorów. Po czym wziB T ehoffa na stron i rzeki:

^ Ta faktoria teraz nam bdzie sBu|y. Obsadz j moimi ludzmi, . ^y tu handlowali - d'Iberville zawiesiB na chwil gBos i bystro zajrzaB fanowi w oczy. - Ty znasz Indian, jeste[ dzielny, ciebie wic uczyni , jjiendantem tej placówki!

\$padBo to na Iserhoffa tak nieoczekiwanie, |e a| zakBbiBo mu si w gBowie i nie wiedziaB, co odpowiedzie.

,- Bdziesz miaB niezgorszy udziaB w zyskach - zachcaB Francuz. -p0my[l, najdalej za kilkana[cie lat bdziesz bogaczem caB gb!

To nie dla mnie, panie - przemówiB wreszcie cichym gBosem taInten. t Mnie nie potrzeba bogactwa. Moje miejsce w[ród Algonki—

0mv, tam moi przyjaciele, dwie oddane |ony, dzieci...

- {ony mo|esz sobie tu sprowadzi! A je[li zechcesz, to i dwie nastpne nie gorsze ci wyszukam! - huknB dowódca, rozdra|niony, bo nje spodziewaB si odmowy. - A wic jak, zostaniesz tu?

- Nie, panie, nie mog!

Wzicie York Factory przez dlberville'a srodze poraziBo Anglików w tej cz[ci Ameryki; wygldaBo na to, |e szala zwycistwa w póBnocnych lasach ostatecznie przechyliBa si na stron Francuzów. A jednak bezwzgdna rywalizacja dwóch mocarstw ku innym rozstrzygniociom zlnierzaBa. Anglia i jej

europejscy sojusznicy w zarętej wojnie z Francją tak zwaną sukcesją hiszpańską w latach 1702-1713 mocno nadwładniała sobie wroga i w traktatach pokojowych podpisanych w Utrechcie ^ 1713 roku osiągnęła dla siebie znaczne korzyści. A więc między innymi w Ameryce Północnej Francuzi ustąpili musieli z niezmiernych obszarów nad Zatokę Hudsona i oczywiście z York Factory. Utracili również Nową Fundlandię i Akadnię, zwaną od tego czasu Nową Szkocją - posiadłości strategicznie doniosłe jako wrota Kanady. Co do Indian postanowiono w Utrechcie, że żadne z dwóch mocarstw nie będzie się wtrącało w sprawy plemion-sojuszników przeciw—

29

stu trzech łobnierzów d' Iberville'a przedzierających się do brzegu. Ofiar byłoby daleko więcej, gdyby nie pomoc, która nieoczekiwanie w tej rozpaczliwej chwili nadeszła od lądu. Z mroku wyboniło się dwadzieścia kilka postaci męskich; owi tajemni przybysze - nie bacząc na własne niebezpieczeństwo - krzepkim ramieniem wydostali wielu rozbitków z topieli.

Jul po wszystkim d' Iberville przystępuje do zdyszanego barczystego brodacza, najwyraźniej przywódcy owych ratowników, wykrzyknął do niego zdumiony:

- Jakże Baskawie nieba was tu sprowadziły? Kim jesteście, dzielny człowieku?

- Iserhoff. Iwan Iserhoff. A wy, panie, przecieście chyba mnie pamiętacie? Wtedy, przed laty, nazywaliście mnie Rusk.

- Rusk? Iserhoff? - Francuz jeszcze bardziej przybliżył się do tamtego i przyglądał mu się z wyjątkowym zaciekawieniem. Naraz zawołał gromkim głosem: - Do stu katów! Przecieście mnie nie myl, pamiętam ci, choć niechętnie się zmieniłeś, zmieniłeś! Ty byłeś z nami, gdyśmy z de Troyesem garbowali skór Anglikom! Ale mów, jakim sposobem teraz się tutaj znalazłeś z tymi ludźmi?

- To wszystko moi przyjaciele, Algonkinowie, znad rzeki Świętego Maurycego i dwaj druhowie Francuzi, Noyons i Lafiteau - odparł Iwan, wskazując na stojących opodal towarzyszy. - A przybyliście tu, bo gubernator Frontenac w Quebecu prosił nas o to. Prosił, abyście wsparli ciebie, panie, w tej decydującej walce tutaj.

- Jak mi Bóg miły, w sam por dotarliście! Dziki... - rzekłszy to, d' Iberville ujął Iwana mocno za bary i serdecznie nim potrząsnął.

Tamten, pochlebiony, nie miał podziwu dla Francuza:

- Panie, bądźcie Anglików, że dech zapierał! Sam jeden przeciwko trzem... Wszystko widzieliście!

- To nie koniec! Teraz wykurzymy ich z faktorii!...

Jednakże Francuzi znajdowali się w niewesołym położeniu: pozbawieni okrętu i odpowiedniej broni, byli na razie bezsilni wobec wroga. Przecieście niezmotywny d' Iberville wcale się tym niefrasował. I śpiesznie: nazajutrz z samego rana, gdy burza już przycichła, dobiły do niego dwa pozostałe okręty francuskie. D' Iberville kazał raznie [ciągnąć z nich działka na ląd i przetoczyć w dogodne miejsca, skąd można było razić faktorię. Następnie zażądał od Anglików kapitulacji. Ci, wzmocnieni ludźmi komandora

kilkunastu ostrzegawczych strzaBach gotowi byli kapitulowa. Pod >dnvm tylko warunkiem - |eby dTberville pozwoliB im wszystkim odpByn na

Deringu”. Francuz okazaB wielkoduszno[ i przystaB

nVo zwycistwie d’Iberville wezwaB do siebie Iserhoffa i jego towarzysz i wyra|ajc im sw wdziczno[, rozdzieliB pomidzy nich kilkadziesit zdobycznych strzelb, moc prochu i kul, a tak|e sto worków mki i tyle| cukru oraz kilkaset koców i weBnianych ubiorów. Po czym wziB Iserhoffa na stron i rzekB: . ‘

- Ta faktoria teraz nam bdzie sBu|y. Obsadz j moimi ludzmi, ebv tu handlowali - dlberville zawiesiB na chwil gBos i bystro zajrzaB Iwanowi w oczy. - Ty znasz Indian, jeste[ dzielny, ciebie wic uczyni komendantem tej placówki!

SpadBo to na Iserhoffa tak nieoczekiwanie, ze az zakBbiBo mu si w gBowie i nie wiedziaB, co odpowiedzie.

- Bdziesz miaB niezgorszy udziaB w zyskach - zachcaB Francuz. -Pomy[l najdalej za kilkana[cie lat bdziesz bogaczem caB gb!

- To nie dla mnie, panie - przemówiB wreszcie cichym gBosem tamten. - Mnie nie potrzeba bogactwa. Moje miejsce w[ród Algonkinów, tam moi przyjaciele, dwie oddane |ony, dzieci...

- {ony mo|esz sobie tu sprowadzi! A je[li zechcesz, to i dwie nastpne nie gorsze ci wyszukam! - huknB dowódca, rozdra|niony, bo nie spodziewaB si odmowy. - A wic jak, zostaniesz tu?

- Nie, panie, nie mog! %’ ‘ Wzicie York Factory przez d’Iberville’a srodze poraziBo Anglików

w tej cz[ci Ameryki; wyglldaBo na to, |e szala zwycistwa w pÓBnocnych lasach ostatecznie przechyliBa si na stron Francuzów. A jednak bezwzgdna rywalizacja dwóch mocarstw ku innym rozstrzygniociom zmierzaBa. Anglia i jej europejscy sojusznicy w za|artej wojnie z Francj o tak zwan sukcesj hiszpaDsk w latach 1702-1713 mocno nadwtliBa siBy wroga i w traktatach pokojowych podpisanych w Utrechcie w 1713 roku osignBa dla siebie znaczne korzy[ci. A wic midzy innymi w Ameryce PÓBnocnej Francuzi ustpi musieli z niezmiernych obszarów nad Zatok Hudsona i oczywi[cie z York Factory. Utracili równie| Now Fundlandi i Akadi, zwan otd Now Szkocj - posiadBo[ci strategicznie doniosBe jako wrota Kanady. Co do Indian postanowiono w Utrechcie, |e |adne z dwóch mocarstw nie bdzie si wtrcaBo w sprawy plemion-sojuszników przeciw—

plemionami.

Zatem walka o północne obszary zakończyła się ostatecznie porażką Francuzów. Natomiast rywalizacja handlowa o zasoby leśnych ostępów rozgorzała z nową siłą.

## 6. WODA OGNISTA

Po owych przeBomowych wydarzeniach roku 1713 dla Hudsonu Bay Company nastaBa era niesBychanego rozkwitu. Otdt Kompani byBa absolutn wBadczyni peBnych zwierza ostpów le[nych, porastaj jcych olbrzymie zlewisko Zatoki Hudsona. Co rychlej potroiBa swóf kapitaB handlowy i w przecigu kilku zaledwie burzliwych lat rozrosBa si do niebywaBej potgi. Jej akcje byBy rozchwytywane w Londynie, a zyski osigaBa tak bajeczne, |e a| budziBo to zaambarasowanie wBadz Kompanii. DoszBo nawet do tego, |e zakBopotane wBadze, a|eby nie [ciga na siebie zawi[ci, zaczBy niebawem tai przed opini publicznej rzeczywiBt wysoko[ krociowych dochodów.

Ju| wkrótce trzyna[cie plemion indiaDskich dostarczaBo faktoriom nad Zatok kosztownych skór. Ale nienasycona Kompania zabiegaBa wci| o wspóBprac z dalszymi plemionami. Jako przynty u|ywaBa starego wypróbowanego [rodka: rumu, sprowadzanego dla Indian hojnym strumieniem z Nowej Anglii i Indii Zachodnich. A na zarzuty, |e rozpija Indian, jej agenci obBudnie odpowiadali, |e nawet jednej kropli alkoholu nigdy im nie sprzedali. Bo istotnie: przybywajcego ze skórkami Indianina raczyli rumem niby darmo i zawsze przed wymian - po czym od tgo podochoconego wyBudzanie skórek za bezcen szBo ju| jak z pBatka.

Nadzwyczajne sukcesy handlowe Anglików psuBy krew Francuzom nad Zwitym WawrzyDcem, lkajcym si, |e plemiona pograniczne, jak Montagnais i Algonkinowie, Batwo teraz mogBy ulec zniewalajcymi wpBywom wrogiej, a tak pr|nej Kompanii.

- Brandy! Jak najwiecej krzepkiej brandy sprzedawajmy naszym Indianom! - nawoBywali handlarze w Montrealu, Quebecu, Trois RMeres. - W przeciwnym razie wszyscy oni, Basi jak lichy na ognist wod, bd pili angielski rum!

30

Francuscy handlarze, nie mniej zachBanni od konkurentów znad Zatoki, ju| od dawna stawiali na brandy. Zawsze mieli w tym najgorliwsze poparcie wBadz cywilnych kolonii. Natomiast z caB ostro[ci potpiaB ich niecne praktyki pierwszy biskup Nowej Francji, Laval. On bv| gBuchy na [liskie wywody handlarzy, jakoby brandy sBu|yBa Indianom i chroniBa ich przed zazabieniem, |e byBa dla nich

wod |ycia”,

francuskim mlekiem”. Laval, nieugity rygorysta moralny, czBowiek o wzniosBej duszy i |elaznym charakterze, ogldaB koszmarne sceny rozgrywajce si wiosn podczas corocznych futrzarskich jarmarków w Montrealu. Indianie, pojeni tam bez miary ognist wod, przeistaczali si w zatraceDców, popadali w ndz i choroby.

Biskup zapBonB gniewem i gBosem pot|nym niby dzwon bo|y poprzysigB wojn Bajdackim handlarzom. Wszelako najwy|sze wBadze z gubernatorem na czele, szermujce hasBem racji stanu, twardo ujBy si za gaBganami. NiezBomny LavaB rzuciB tedy na szal caBy swój autorytet moralny - a |e Ko[cióB zajmowaB w Nowej Francji wyjtkow pozycj i miaB rozlegBe wpBywy - krewki biskup doprowadziB bez maBa do wojny domowej nad Zwitym WawrzyDcem.

Rozgorzały zmagania, w których górą raz byłby klika handlarzy z mołnymi poplecznikami, to znowu niepołyty Laval. W okresie jego przewagi ugiął się przed nim sam Frontenac, największy gubernator w dziejach kolonii, i opuścił Kanadę na siedem miesięcy lat.

Koniec kołdsem jednak Laval przegrał. W niecodzienną awanturę wchodził się stanowczo Paryż i rozstrzygnął ją ostatecznie po myśli handlarzy, dając im wolną rękę. Nagi interes zatriumfował - nie pierwszy to i nie ostatni raz w historii.

Algonkinowie z górnej rzeki Świętego Maurycego wymieniali swoje futra w Trois Rivières. Za czasów Laval kupcy w owym miasteczku powłóczyli się cokolwiek i tłumili w sobie ordynarną pazerność, ale potem było coraz to gorzej.

Któręć wiosny pojawił się tam samotny handlarz nazwiskiem Joseph Bigot. Zrazu przymilnie Basilię do przybyłych Algonkinów i sprzedawał im różne potrzebne rzeczy, najwięcej wełnianych szalików, za które dawał czterech skór bobrowych za sztuk, co było przyjętą ceną. Potem jednak wydobywał butelki brandy i podsuwał ją pod nos co młodszemu junakowi indiańskiemu. Oni, rozochoceni bytnością w ludnym miejscu, błądzą na trunek podługwym okiem. - Posmakujcie mojej brandy! - żądał ich Bigot i czynił zachęcające

31

gesty. - Bodaj mnie zabito, jeżeli którykolwiek z was pił kiedy równą mocną!

- Inni handlarze podobnie gadają, że ich scotiwoj, woda ognia stała, najlepsza - rzucił powątpiewając Jasny Grot, dwudziestokilkulej nie chwyt o szerokich barach, znany z zawiadackiej natury, a taki z tego, że nie stronił od brandy.

- Tedy, zuch, przekonaj się sam, że nie błagaj! - Francuz nalał z butelki pełną szklanice i wcisnął ją w rękę Indianinowi. - Wypij trochę mój rachunek!

Młodzian potoczył wzrokiem po zaciekawionych twarzach otaczających go przyjaciół, po czym wychylił trunek jednym wielkim haustem. Choć starał się tego nie okazywać po sobie, znał, że na chwilę mu dech zaparło.

- Ha, nie mówię, grzeje jak sto diabłów! - zachichotał Bigot. I Niech straci, pocignij jeszcze raz!

Handlarz ponownie nalał do pełnej. Jasny Grot wypił, a gdy odłożył puste naczynie, na jego skroniach pojawiły się krople potu, a twarz nabiegła mu krwią.

- No jak, nalał więcej? - Bigot nie skrywał zadowolenia.

Jasny Grot jakby nie słyszał pytania. Stał jakiś czas wytrzeszczając oczy, potem niespokojnie przestąpił nogi na nogi i raptem zaczął mówić jak osobliwie, przy czym głos jego brzmiał tak ochrypliwy i głuchy, że bliższy był raczej pomrukiwaniu niedzwiedzia niż ludzkiemu dźwiękowi. Zdumienie ogarnęło zebranych Indian, bo wszyscy znali zuchę z tej góry. Nieraz przecież potrafił wytrącić kilka szklanicy wody ognistej, jedna po drugiej, i mało co znał, że po nim jej działał nie. Tymczasem teraz oczy Jasnego Grota błyszczały pijackim obłędem i zdawało się, że nikogo nie

dostrzega. Gdy za[ ruszyB ku wyj[ciu, cigle zawodzc jak w transie chrapliw pie[D, chwiaB si na wielkich nogacb| niby trzcina na wietrze.

- Sami widzieli[cie! - wykrzyknB handlarz do obecnych, gdy tamten zniknB za drzwiami. - W caBym Trois Rivieres nie dadz wam brandy równie ognistej jak moja!

Wie[ o niezwykBej scoutiwaboy Bigota, co to ju| po niewielu Bykach przeniosBa chwackiego junaka w kuszcy [wiat osobliwych doznaD, piorunem rozniosBa si po obozowisku Algonkinów. Szczwany handlarz jeszcze tego samego dnia ubiB wy[mieniony interes: sporo mBodych lekkoduchów nabyBo u niego trunek, pBacc sBono - cztery futra bobro—

12

” ” ” ^A^;

%((L

To obozowisko zwie si

Obid|uan, i tu pozostaniesz w[ród Algonkinów... s. 8

^/2

Istne pobjowisko! Wilków ubito chyba poBow, reszta zdoBaBa umkn... s. 53

we za butelk. Niektórzy z nich nie mieli ju| skór, bo wszystkie wcze[niej wymienili, wobec czego Francuz skwapliwie podsunB im, a|eby pBacili kocami - tymi samymi, które dopiero co od niego nabyli. Niejeden narwaniec poszedB na to.

Wieczorem po zamknięciu sklepu Bigot zacieraB rce z uciechy.

*Ale[my im trafili do smaku nasz mikstur! - zarechotaB do swego pomocnika.^^^ ^^ ^^ .^ tamtego nurtowaBy*

Wt^mpS Oni |Bopi, |eby si ur|n, i tylko to ich obchodzi. Ich zamione Bby nie bd zdolne do |adnych podejrzeD.

- Obv oby... - pomocnik nie byB przekonany.

Kilka dni wcze[niej Bigot wtajemniczyB go w swój plan przyrzdzenia specjalnej brandy dla Indian, ów trunek, rozcieDczony obficie wod dla potanienia kosztów wBasnych, miaB pomimo to zwała z nog najsilmej—

SZe\_gOk^tofbrandy tytoniem do |ucia i plepnem. |eby'nale|ycie paliBa im gardBa - wyja[niaB. - A jej moc spotgujemy sierdziscie szczypt strychniny i miark witriolu do ka|dej butelki.

0 tytoniu i pieprzu sByszaBem - odparB tamten. - Ale strychnina? To ryzykowne, który[ z nich mo|e



kipn.

- DiabBa tam! - zgrzytnB Bigot. - Oni maj zdrowie niedzwiedzia, nic im nie bdzie! Znajomy kupiec z Montrealu tez dodaje strychniny i wychodzi na tym dobrze.

- A jednak strychnina...

- Nie zawracaj mi gBowoy! - warknB Bigot rozezlony. -A nawet, je[li który zdechnie, to cholera z nim! A ty trzymaj jzyk za zbam i rob,

COTEjknót nie byBo spokoju w obozie Algonkinów rozBo|onym za miastem nad rzek. Zgraja zapitych wichrzycieli wszczynaba awantury handryczyBa si o lada co. Swarliwcy nagle skoczyli sobie do, oczu, bBysnBy no|e, pistolety. Dwóch optaDców zostaBo ci|ko ranionych, trzech powierzchownie - a krwi polaBoby si znacznie wiecej, gdyby nie zdecydowana postawa kilkunastu ze starszyzny. Ostro gromic zagorzalców, wkroczyli pomidzy nich i pow[cignli ich dzieie zapdy. Dymice Bby ochBonBy.

Spo[ród starszyzny najenergiczniej wystpiB wan Iserhoff. DobiegaB terazpidziesitki, lecz wiek nie zgarbiB szerokich jego ramion. A ze

i - Ród Indian.

33

sBynB w pÓBnocnych lasach jako wytrawny my[liwy, którego zazwyczaj nie opuszczaBo wyjtkowe powodzenie w Bowach, przeto Indianie wielce go powa|ali i odnosili si doD z nale|nym respektem. Ich szacunek pozyskaB sobie i tym tak|e, |e byB obecnie gBow licznej, mocnej rodziny. DochowaB si piciu synów, zuchów na schwaB jeden w drugiego, bdcych mu podpor we wszystkim, oraz czterech ho|ych cór, z których trzy byBy ju| pomy[lnie zam|ne z Bowcami z Obid|uanu i chowaBy wBasne, zdrowe dzieci.

Poskromiwszy awanturników, Iserhoff ze swymi dwoma nieodBcznymi druhami, Szarym Jastrzbiem i BiaBym ObBokiem, oraz innymi towarzyszami, niezwBocznie opatrzyli rannych. Jeden z przekBut tnic le|aB bez zmysBów, strasznie rz|c; wida byBo, |e walczy ze [mierci. Na szcz[cie mBokos miaB wytrzymaBy organizm i wylizaB si, wszak|e dBugo cherlaB, nim odzyskaB peBni siB.

Tymczasem nowe, ponure wydarzenie poruszyBo Algonkinów w rozbudzonym tej nocy obozie. Otó| dwaj najstarsi synowie Iserhoffa, Fiodor\* i Skory Ao[, poczuli gryzcy swd spalonego misa, snujcy si od rosnej opodal kpy topoli. Gdy poszli tam z kilkoma przyjacióBmi, natknli si na dogasajce w[ród drzew ognisko i ujrzeli Jasnego Grota i dwóch innych Indian. Wszyscy trzej byli szkaradnie popaleni. Utracili najpewniej przytomno[ od trunku handlarza Bigota i zwalili si jak martwe kBody wprost w |ar ogniska. Le|eli w nim dotd, póki ich tamci nie odnalezli.

CaBa lewa poBowa twarzy Jasnego Grota byBa zwglona i przedstawiaBa upiorny widok. Dwaj pozostali byli te| okropnie zniekszt|bzeni.

*Niektóрым synom i wnukom Iserhoff nadawaB imiona rosyjskie, inni za[ jego potomkowie otrzymywali imiona algonkiDskie, które, zgodnie ze zwyczajem tych Indian, odnosiBy si najcz[ciej*

*do zwierzt czy ro[lin, a tak|e przedmiotów.*

Z biegiem lat, w wyniku dziaBalno[ci docierajcych tu francuskich misjonarzy katolickich, coraz wicej Indian w Obid|uanie przyjmowaBo wraz z chrztem imiona europejskie. Pierwszym misjonarzem w pÓbnocnej gBuszy kanadyjskiej byB ojciec Albanel, jezuita, który w 1670 roku z miasteczka Tadoussac nad rzek Zwitego WawrzyDca dotarB po dziesiciomiesicznej podró|y do Zatoki Jamesa.

Misjonarze nawracajcy Algonkinów mieli uBatwione zadanie. W wierzeniach tych Indian centralne miejsce przypadaBo Manitu - wszechogarniajcej, bezosobowej sile, która przenikaBa caB przyrod o|ywion i nieo|ywion. Owa siBa utrzymywaBa Bad w kosmosie i zapewniaBa ludziom pomy[lnó[ w ich poczynaniach. Misjonarze sBusznie obiecywali sobie, |e Manitu, bezosobow siB, Batwo da si przemieni w posta istoty najwy|szej, w Wielkiego Ducha - Boga.

Jednak|e sukcesy misjonarzy u Algonkinów byBy czsto powierzchowne. Owszem, le[ni ludzie uwierzyli w Wielkiego Ducha, lecz to bynajmniej nie przeszkadzaBo wielu dalej wierzy, |e wszystkie rzeczy wokóB nich posiadaj dusz, |e maj j drzewa i zwierzta, woda i ksi|yc, kamienie i trawa, wszystko.

34

Wszystkich ich uratowano; wszak|e pózniej, po powrocie do Obid|uanu, gdy nieszcz[liwców ujrzaBy ich |ony, wybuchBy rozdzierajcymi spazmami i przez wiele dni nie mogBy otrzsn si z rozpaczy.

Algonkinowie pierwotnie zamierzali spdzi jeszcze kilka dni w Trois Rivieres, lecz w obliczu zaszBych wypadków wielu byBo za tym, |eby jak najszybciej wraca. Szczególnie nalegali na to Iserhoff z Szarym Jastrzbiem i BiaBym ObBokiem. Byli jednak w[ród Indian tacy, którym si nie [pieszyBo, bo mieli jeszcze skóry i chcieli handlowa.

- Dobrze wic, uporajcie si z wymian skór do koDca nadchodzcego dnia, aby[my jeszcze przed zmierzchem mogli zwin obóz i odpByn - rozstrzygnB Iserhoff. - To konieczne. Inaczej Bigot dalej bdzie baBamuciB naszych sw trucizn.

- Trucizn, powiadasz?

- Tak, trucizn. Znam ró|ne wody ogniste, i rum, i brandy, i inne, czsto obrzydBe trunki, ale takiego plugastwa nigdy dotd nie kosztowaBem!

- Mo|e w butelkach Bigota mieszkaj zBe duchy? - zauwa|yB pÓBgBosem który[ z Indian.

- To nie duchy s w jego butelkach, ale jad, którym handlarz zaprawia trunek na nasz zgub! - odparB Iserhoff.

- Co to za jad? - spytaB Szary Jastrzb.

- Tego niestety nie wiem. Jest wiele ró|nych trucizn... Iserhoff tak stanowczo nastawa! na rychBy wyjazd, |e w koDcu

wszyscy, tak|e ici ocigajcy si, przyznali mu sBuszno[ i zdecydowali jeszcze tego samego dnia opu[ci miasto.

Od niejakiego ju| czasu Iserhoff z bolesn przykro[ci zachodziB w gBow, dlaczego tylu Indian tak Batwo ulegaBo demonowi pijaDstwa. Przez te wszystkie lata, spdzone w ich kraju, nabraB wielkiego serca do Algonkinów, z|yB si z nimi serdecznie i niejednego z riich miaB za najbli|szego druha. Jednak w wielu rzeczach, osobliwych niekiedy zwyczajach i wierzeniach, zgoBa nie rozumiaB Indian. A ju| szczególnie zastanawiaBa go ich ponura skBonno[ do wody ognistej. Wielu puszczaDskich Bowców, zazwyczaj przecie| peBnych poczucia godno[ci, zrównowa|onych i opanowanych, byBo, zda si, caBkiem bezbronnych wobec zgubnej scoutiwaboy. Dlaczego tak si dziaBo? Dlaczego owi dumni ludzie tak Batwo ulegali jej i przeistaczali si w optaDców skorych do wszelkich bezrozumnych czynów?

Indianie tych lasów z dawien dawna gasili pragnienie o|ywcz wod

f 35

ze zródeB, z najczystszych jezior i rzek. Ale potem zjawiB si tu biaBy handlarz, szarlatan, i rzekB im, |e ma dla nich

wod |ycia”. Oni spróbowali i nazwali j scoutiwaboy,

wod ognist” - wszak|e nie odtrcili jej. Przeciwnie, niektórzy wpadli w uniesienie, krew im zawrzaBa, pili wic dalej, do rozkosznego upojenia, do zatury [wiadomo[ci.

Jak|e Batwo dziki ognistej scoutiwaboy mo|na wstpi w krain snów i wizji nadziejskich! - zachBystywali si.

Wizje indiaDskie! Ka|dy puszczaDski Bowca, przede wszystkim za[ ka|dy chBopak i mBodzieniec, dokBadaB ogromnych staraD, a|eby dostpi tych prze|y. PragnB tego z caBej duszy. W wizjach bowiem szukaB dla siebie dróg mdro[ci i wskazaD dotyczcych najskrytszych tajemnic |ycia. Z wizji czerpaB natchnienie do wybitnych czynów; w nich wreszcie objawiaB mu si jego mistapeo, duch opiekuDczy, który oddt towarzyszyB mu i wspieraB w chwilach dobrych i zBych.

Wszelako, a|eby wywoBa wizje, potrzeba byBo nie lada trudu i niesBychanego napicia woli. Tedy ju| od wczesnych Bat Indianin wyrabiaB w sobie wra|liwo[ na marzenia. A kiedy podrastaB, szedB w ustronie le[ne, gdzie caBymi dniami po[ciB i doprowadzaB si do ekstazy, a| przed paBajcymi oczyma jego wyobrazni ukazywaBy si obrazy, w jego mniemaniu prorocze.

Iserhoff pocztkowo nie mógB si nadziwi, dlaczego Algonkinowie przywizywali tak wielk wag do zgoBa dziwacznych, podBug niego, rojeD. Którego[ dnia, wtedy wBa[nie jego pierwородny syn Fiodor koDczyB trzynasty rok |ycia, przystpiBa doDKwitncaGaBz. PodniósBszy oczy na m|a eicho spytaBa, czy ich syn pójdzie w gBusz, jak to czynili inni dorastajcy chBopcy, by dozna tam wizji.

- Na có| naszymu Fiodorowi jakie[ tam mrzonki czy zwidy?! -odrzekB zbyt szorstko Iserhoff i lekcewa|co machnB rk.

Kwitnca GaBz nie nalegaBa wicej, wszelako Iwan, bagatelizujc spraw, nie domy[laB si nawet, jak bolesn przykro[ wyrzdziB tym swej oddanej |onie.

Dopiero z biegiem lat Iserhoff jB z wolna przenika peBn tajemnic dusz Algonkinów i uzmysBawia sobie doniosBo[ indiaDskich wizji. Równocze[nie zgadywaB, |e ich sBabo[ woli wobec alkoholu zapewne std si wBa[nie braBa. Woda ognista jawiBa si im jako [rodek wzmagajcy wizjonersk podatno[! Po có| byBo zadawa sobie katusze i gBodzi si, kiedy wystarczyBo pocign kilka tgich Byków scoutiwaboy...

36

Tak tedy naj[witszy indiaDski zwyczaj owionB haDbicy, odór alkoholu.

Iserhoff nie zamierzaB spokojnie przygląda si nieszcz[ciu, jakie zawisBo nad jego le[nymi brami. StaB si zaprzysi|onym wrogiem alkoholu. W pogardzie do niego chowaB swych picciu synów - i rzeczywi[cie, |aden z nich nie wziB go nigdy do ust. A Indian |arliwie od niego odwodziB, pochopnym przemawiaB do rozumu. Wikszo[ podzielaBa jego zdanie, ale niektórzy mBodzi popdliwcy byli gBusi, za[lepieni. NiemaBych wic kBopotów przyczyniaBy wiosenne wyprawy do Trois Rivieres. Szcz[ciem po powrocie do Obid|uanu oddech prastarej puszczy przywracaB zachwian równowag, dziaBaB jak balsam kojcy. Tak byBo i tym razem; jeno spalona twarz Jasnego Grota i rany tamtych pozostaBych przywodziBy na pami zaszBe wypadki.

MijaBy dni i miesice: PrzeszBa dBugą, twarda zima, czas wielkich Bowów. A| znowu zapachniaBa wiosna i Obid|uan napeBniB si gwarem wesoBych gBosów. Rozpamitywano przygody my[liwskie, liczono skórki, a tak|e sprawiano kanu z kory brzozonej przed kolejn podró| do miasta Francuzów.

Wszak do wyjazdu nie doszBo. Niespodziewanie na rzece [witego Maurycego ukazaBa si flotylla Bodzi z Trois Rivieres. Byli to handlarze, którzy wbrew dotychczasowym zwyczajom, nie czekali u siebie na Algonkinów, lecz sami do nich wyruszyli. NakBoniBy ich do tego wBadze francuskie, cigle lkajce si Kompanii Zatoki Hudsona.

Przybysze, przyjaznie witani przez wielu Indian, wznie[li niebawem namioty i prowizoryczne stragany opodal wigwamów sioBa. W[ród krztajcych si Francuzów Iserhoff dostrzegB tak|e Josepha Bigota. - Poznajesz tego hultaja? - zwróciB si do Szarego Jastrzbia i twarz jego oblekBa si gniewem. - Spójrz na jego Bodzie, jedna po sam b^rt wypeBniona baryBkami.

Jako| kBopoty nie daBy na siebie dBugę czeka. ZaczBo si od tego, |e Czarny Bóbr, który miaB mir u mBodych, bo byB krzepkim junakiem i uchodziB za wyg w Bowiectwie, uznaB zjawienie si handlarzy za dobr okazj do Byknicia gorzaBki. Inni poszli za jego przykBadem... W[ród rozgrzanych czupryn wzbieraBy krewkie humory przy wtórze ochrypBych wrzasków i zBorzeczeD. Rej wodziB Czarny Bóbr. Nieobliczalny, coraz to zanosib handlarzowi Bigotowi swoje najlepsze skóry w zamian za brandy. Zrozpaczona |ona narwaDca, chce ratowa topniejcy dobytek, ukryBa przed nim reszt skór. Wówczas ten wpadB

37

w szar i stBukB j okrutnie kuBakami. Po czym, rozjuszony, porwaB z wigwamu sw dziesięcioletni córki i zawlókB przera|on do Bigota.

- Dawaj dwie baryBki brandy - warknB - a ona bdzie twoja!

Zaskoczony handlarz zawahaB si, jednak chciwiec prdko zmiarkowaB, |e taka dzierlatka przydaBaby si do posBugi. KiwnB wic gBow na zgod i oniemiaBa nieboga zostaBa u niego.

Kiedy Iserhoff usByszaB od Szarego Jastrzbia i BiaBego Oblok ow |aBosn nowin, zacisnB pi[ci.

- Miara si przebraBa! - rzekB gBuchym gBosem. - Id do Bigota. Dwaj przyjaciele z miejsca o[wiadczyli, |e pójd z nim. Tak|e Fiodor

i Skory Ao[ uparli si, |e nie odstpi ojca. Poszli zatem w picciu.

Handlarz obrzuciB ich nieprzychylnym spojrzeniem spode Bba; Iserhoff bowiem od dawna jawnie okazywaB mu sw odraz.

- Czego chcecie - burknB oschle.

- {damy od ciebie dwóch rzeczy! - przemówiB Iserhoff twardo. -|eby[ natychmiast oddaB dziewczyn i co rychlej opu[ciB Obid|uan.

- Ej|e, ej|e. czBowieku! - Bigot a| poderwaB si z nagBej zBo[ci. - Czy ci si rozum pomieszaB? O czym ty gadasz? Dziewczyna jest moja; oddaB mi j dobrowolnie jej ojciec. A zostan tutaj tak dBugo, jak mi si |ywnie bdzie podobaBo! Mam zezwolenie najwyszych wBadz, samego gubernatora Trois RMeres!

- A jednak znikniesz std! - o[wiadczyB z naciskiem Iserhoff.

- Bo ty mi rozka|esz, h? - parsknB szyderczo handlarz.

- Bo z ciebie nikczemny oszust! - Iwan huknB na Bigota tak ostro, |e ten cofnB si nieco. - Trunek, który sprzedajesz Indianom, jest paskudztwem, trucizn!

- CzBowieku, nie doprowadzaj mnie do ostateczno[ci! - wycedziB tamten. - Prawo jest po mojej stronie!

- Prawo tpi oszustów, wic lepiej zamilcz! A ze trunek twój jest szachrajski, Batwo to udowodni - powiedziawszy to Iserhoff dobyB zza pazuchy dwie przygotowane zawczasu butelki i dwa kubki i zwróciB si do Indian, którzy tymczasem do[ liczni&si zeszli: - Spójrzcie, w tej tu butelce mam uczciw brandy, któr zeszBego roku nabyBem u znajomego handlarza w Trois RMeres. W drugiej za[ butelce jest gorzaBka Bigota; obecny tu Szary Jastrzb kupiB j od niego dzi[ przed poBudniem.

- Zgadza si - potwierdziB Szary Jastrzb - daBem za ni cztery przednie skóry bobrowe.

Iserhoff napeBniB dwa kubki, ka|dy z innej butelki. Nastpnie od

Bojowej lampy, wiszeć na straganie, zapalił Adrewniar<sup>^</sup>dizjazg; Napój w pierwszym kubku zapłonął od niej zielonkawym płomieniem, natomiast trunek Bigota nie zapalił się; drzazga zaskwierczała i zgasła.

- Hej, Bigot, może ty podpalisz swój brandy! - wmieścił się drwico Biały Obok. i/

- Nie ocigaj się, Bigot! Gadał przecie, że tyle w niej ognia... -szydził kilku innych Indian.

Ten stał bez ruchu, a jego nalana gba była purpurowa z bezsilnej

złoty.

- Oszukiwał nas, handlarzu! - zakrzyknął gromko Szary Jastrząb. - Nawet dziewczyn chciały wycygać! Niedoczekanie twoje, ona u nas zostaje. A ty zabieraj się stąd i nigdy tu nie wracaj!

Tak też stało się. Sponiewierana, ale wdzieczna wybawcom, ona Czarnego Bobra zabrała córkę, a Bigot ze swymi pomocnikami jeszcze tego dnia odpłynął. Przedtem zajadło się Iserhoffowi. Istotnie, wystąpił ze skarg do władz - wszakże nic zgoła nie zwojował. Władze w Trois Rivières ciele jeszcze miały w pamięci zasługę Iwana, a także uznawały, że w obliczu konkurencji angielskiej złe byłoby zrazić sobie czymkolwiek Algonkinów. Dano zatem Bigotowi do zrozumienia, by przestał gardłować, a innym handlarzom poradzono, żeby uczciwiej traktowali tych Indian - przynajmniej przez jakiś czas...

W obliczu wielu zatroskanych odetchnęło; wrócił tu spokój, przynajmniej na razie...

## 7. PUSZCZA HOJNA I... GROJNA

Północna puszcza kusiła obfitością wszelkiego zwierza i innego dobra, nie skąpiła Indianinowi smakowitej dziczyzny i cennych futer, dostarczała mu drewna i kory na wigwamy, kanu i opał, darzyła rybami i leśnymi owocami, słowem, była jego szczerą karmicielką i ostoją. Puszcza szczególnie Baskawie obchodziła się z wytrawnym Bowem, on bowiem znał zapadłe uroczyska i wiedział, gdzie tajne ścieżki i przesmyki zwierzyny, rozumiał mowę drzew i nie obce mu były wszelkie odgłosy i szmery kniei.

A jednak bywały chwile, kiedy puszcza - chęć jakby odsłoniła swój potęgę czy może ogarnięta nagłym niezrozumiałym gniewem-odwra—

cała swe hojne oblicze odmyliwego i ciłko go doświadczała, poddawała srogiej, nierzadko śmiertelnej próbie.

W życiu puszczańskim śmiał się, wiadomo, czymś zwykłym, naturalnym. Indianin obcował z nią spokojnie i godnie i dalekie mu było uczucie trwogi, z jak zazwyczaj spoglądał na nią biały człowiek. Leśne moce zsyłały śmiał różnako: oto jakiś gonny śmiał, trafiony ognistym smug

pipruna, waliB si i zabijaB czBowieka. Nieszcz[cie czyhaBo we wzburzonej wodzie czy na skutej lodem rzece bdz jeziorze, gdzie pod warstw [niegu zdradliwe dziury powietrzne pochBaniaBy ka|dego, kto na nie nastpiB. Zmier niósB straszny blizzard, tncy arktyczn [nie|yc jak no|em, parali|ujcy siBy i wol |ycia strudzonego wdrowcy.

Czasem niebezpieczeDstwo zjawiaBo si w chwili najmniej oczekiwanej. Ongi[, byBo to przed laty, Wiotka Trzcina, druga |ona Iwana Iserhoffa, poszBa w kniej opodal Obid|uanu, by nazbiera jagód. Urodzaj ich dopisaB owego roku nad podziw obficie. Wiotka Trzcina wziBa ze sob najmBodsze go syna, niespeBna sze[cioletniego MaBego OrBa.

KoDczyB si sierpieD, dzieD byB ciepBy i osobliwie cichy, w[ród drzew migotaBy zBote promienie sBoDca i rozlewaB si bBogi spokój, jaki jeno w pierwotnym borze napotka mo|na. MaBy OrzeB zrazu staraB si jak mó|gB dotrzymywa matce kroku w zbieraniu, wszak|e szBo mu to niesporo, a przy tym na ka|d gar[ owoców trafiajc do koszyka chBopca, przypadaBa inna, znikajca w jego Bakomej buzi. Niebawem malec obj adB si do syta i poBo|yB si na mchu mikkim j ak poduszka, by po kilku chwilach smacznie zasn.

SBoDce jBo z wolna chyli si ku zachodowi i kosz Wiotkiej Trzciny staB si ci|ki od owoców. ZbieraBa jednak dalej, a o kilka ledwie stóp od jej sprawnych rk gromadka wiewiórek paBaszowaBa sBodkie jagody, a| im si rude ogony trzsBy.

Naraz, jakby tknita zBym przeczuciem, Indianka podniosBa gBow i spojrzeBa w stron, gdzie o jakie[ sze[dziesit kroków od niej spaB MaBy OrzeB. ZdrtwiaBa: midzy ni a dzieckiem byB wielki czarny muskwa! Niedzwiedz zapewne jej ani chBopca jeszcze nie dostrzegB, lecz wida pochwyciB obc woD, bo pomaBu si wyprostowaB na tylnych Bapach i obracajc groznie Bbem podejrzliwie wszyB. Wiotka Trzcina poznaBa po czerwonych sutkach na podbrzuszu, |e to niedzwiedzica. I zdBawiBa w krtani okrzyk przestachu, kiedy ujrzaBa, |e nieco dalej, na [wierku, pod którym le|aB jej synek, baraszkowaBy dwa niedzwiadki. Zwinnie jak koty BaziBy po drzewie i hu|taBy si na gaBziach.

40

Muskwa zazwyczaj obchodzi czBowieka z daleka, lecz niedzwiedzica z mBodymi - wiadoma rzecz - bywa nader niebezpieczna.

Po chwili niedzwiadki spu[ciBy si na ziemi i nie dalej jak o dwa s|nie od MaBego OrBa, nie dostrzegajc go wcale, przewróciBy si na grzbiety i sigaj c Bapkami ku krzewinom jagód, naginaBy je do pyszczków. Ich wielka matka spojrzeBa w tym kierunku i nagle ryknBa ostrzegawczo. Jej nozdrza od jakiego[ ju| czasu dra|niB znieawidzony zapach czBowieka i teraz wBa[nie dojrzaBa MaBego OrBa - tu| obok jej

pociech!

Nad chBopcem zawisBo [miertelne niebezpieczeDstwo. Jeszcze moment, a rozzBoszczony zwierz dopadnie do niego i jednym uderzeniem pot|nej Bapy zgasi mBode |ycie. Jednak wypadki rozegraBy si zgoBa inaczej. Bo oto zdesperowana Wiotka Trzcina porwaBa si na równe nogi i krzyknBa rozdzierajco. Zaskoczona niedzwiedzica odwróciBa si i utkwiBa w niej w[ciekBe [lepia.

Przez kilka dBugich jak caBa wieczno[ chwil dwie matki mierzyBy si straszny wzrokiem. Tak jedna jak i druga gotowe byBy do ostatniego tchnienia broni swego potomstwa. Niedzwiedzica do[wiadczyBa ju| niejednego i dobrze wiedziaBa, |e owe dziwne dwuno|ne istoty siej [mier w lesie. W jej pami wryBo si wspomnienie szarpicego bólu w Bopatce, gdy ongi[ napotkany czBowiek strzeliB do niej i o maBo nie u[mierciB. Tote| obecnie wydaBa nienawistny pomruk, a pod jej zje|onym na barkach futrem st|aBy wszystkie mi[nie.

Wiotka Trzcina byBa bezbronna, jednaK odważnie postpiBa kilka kroków w stron muskwy, jakby chciaBa j wyzwa. W Indiance biBo gorce serce matki i ono kazaBo jej caB uwag i furi zwierza [cign na swoj osob. DostrzegBa bowiem, |e MaBy OrzeB przebudziB si,i oczekiwaBa, |e przera|ony lada chwila wybuchnie pBaczem. To za[ tylko jeszcze bardziej rozjuszyBoby niedzwiedzic i mogBo si dla niego fatalnie

skoDczy.

Wszelako MaBy OrzeB nie rozpBakaB si; by mo|e jaki[ gBos wewntrzny, spadek po pokoleniach przodków, szepnB mu, |e nie pora na Bzy. UsByszaB dono[nny gBos matki, |dajcy, by uciekaB. Tak te| uczyniB: podniósB si i co tchu jB wrywa przed siebie. Lecz niebawem potknB si o wystajcy korzeD i padB jak dBugi na iglisko. W te pdy si pozbieraB, jednak nagBy lk o matk osadziB go w miejscu. UkryB si? za gst jedlin i szukaB jej wzrokiem.

Malec zd|yB zobaczy koDcowy akt krótkiego dramatu w owym

41

23%:F le[nym. OsBabBy mu kolana. Matka zwinnym skokiem próbo-W^a umkn sprzed kBów szar|ujcego zwierza, lecz nie powiodBo si . J-Niedzwiedzica dosigBa j Bap zbrojn w pazury, powaliBa na ziemi 1 chwil nad ni si pastwiBa. Tymczasem nadbiegBy, popiskujc, dwa niedzwiadki. Muskwa porzuciBa Wiotk Trzcina, obwchaBa i liznBa CZule kudBate maleDstwa, po czym popychajc je nosem, przepadBa

%VV w gstwinie.

caBego OrBa przera|aBo milczenie matki. PodbiegB do niej: le|aBa bez “Uchu, zbroczona krwi. Chlipic |aBo[nie, chBopiec przypadB do jej pfsi. Nie dawaBa znaku |ycia. Lecz gdy tak trwaB przy niej peBen rvv°gi, naraz zBowiB uchem odgBos sBabych, ledwie sByszalnych ude-?F jej serca. WstrzymaB Bkanie i oddech i przekonaB si, |e to nie Rdzenie.

s ^o raz wtóry tego dnia obudziB si w nim nieomylny instynkt i pod-

. UtlB mu, co czyni. Do obozu miaB prawie mil, tote| gdy dobiegB tam

PadB do rodzinnego wigwamu, w którym znalazB ojca, przez dobr

Iw1^alk° dm|eJ nie m°8B zBapa oddechu. Z jego urywanych sBów

“n wnet domy[liB si wszystkiego. £ ^ornoc zd|yBa. ByB jednak ostatni czas - stary czarownik Dwa



^V. wielki znawca ziób i innych leków, o[wiadczyB, je jeszcze troch, Ciotka Trzcina umarBaby z upBywu krwi i nawet on nie zatrzymaBby J duszy w ciele. ByBa okropnie poharatana. , .koro ju! najgorsze minBo i powoli jBa przychodzi do siebie, Iwan Olrego[ razu przygarnB mocno MaBego OrBa i rzekB uroczystym gBo-\*\*\*> Jakim jeszcze nigdy dotd do chBopca si nie odezwaB: p^ To dziki tobie matka |yje! Ty przede wszystkim j uratowaBe[,

^WoBujc pomoc na czas! Dzielny jeste[! sz 8 °Pak byB bardzo wzruszony; czuB si troch tak, jak gdyby prze—

A” przez obrzd przyjcia do [wiata dorosBych. 0 ” *Ale mama najpierw mnie ocaliBa! - odparB przejty, podnoszc ^ na ojca. wan jeszcze mocniej przycisnB go do piersi. ByB dumny z maBego*

^

## 8. GAÓD

Podstaw |ycia puszczaDskiego Indianina byio miso. Obfito[ misa oznaczaBa pomy[lnie dni dla ludzi w lesie, jego brak zwiastowaB klsk gBodu. Tropienie zwierz i zdobywanie misa pochBaniaBo niemal bez reszty indiaDskiego my[liwca. Dopiero przybycie biaBego handlarza, Bakomego na skóry, spowodowaBo gruntown zmian w ustalonym od pokoleD trybie |ycia le[nych plemion. Handlarz natarczywie wpajaB Indianinowi, je najwa|niejszym jego zajciem winno by otd Bowienie zwierzyny futerkowej. I rzeczywi[cie, Indianin wnet staB si traperem na usBugach handlarza. Za warto[ciowe skóry dostawaB od niego troch przedmiotów biaBego czBowieka. Bez niektórych z owych rzeczy, czsto maBo co wartych, albo wrz szkodliwych, Batwo mógBby si

oby.

Mo|na by tedy postawi pytanie, dlaczego wolni my[liwi indiaDscy tak snadnie ulegali zachBannym handlarzom i dawali si wciga w krg obcej im gospodarki towarowo-pieni|nej. Czy jednak mieli oni inne wyj[cie? Otó! nie! Handlarze przywiezli ze sob broD paln, której obecno[ z miejsca zagroziBa naruszeniem ustalonej równowagi midzy plemionami. BroD palna zaczBa otd przemo|nie decydowa o sile i pogodzeniu Indian. I biada tym plemionom, które z jakichkolwiek przyczyn pozostawaBy bez tej broni. Jakle Batwo wówczas pa[ mogBy ofiar lepiej uzbrojonych, a nie zawsze przyjaznych, ssiadów. Do[wiadczyli tego na wBasnej skórze na przykBad Indianie, którzy |yli na zachód od plemienia Kri. Zuchwali Kri, zamieszkujcy nad Zatok Hudsona, pierwsi wzili do rk angielskie rusznice i prawem silniejszego jli zwalczali i wypiera zachodnich Indian z ich Bowisk. A czynili to tak skutecznie i z takim rozmachem, je w poBowie XVIII stulecia stali si panami ogromnego obszaru od Zatoki Hudsona a| po rzek Niewolnicz i Góry Skaliste w dzisiejszej prowincji Alberta na zachodzie! Wszystko to dziki przewadze broni palnej!

Zatem ka|de plemi, któremu le|aBa na sercu troska o spokojne jutro, musiaBo - chcc nie chcc - handlowa z biaBymi przybyszami, by nie da si zanadto wyprzedzi przez innych.

Wszelako prócz traperstwa w dalszym cigu pochBaniaBo Indianina my[listwo i zdobywanie misa, bez którego jego dni byByby policzone. Dla misa zabijaB on Bosia, niedzwiedzia, le[ne i wodne ptactwo i inn

zwierzyn - przede wszystkim jednak zajce, które byBy dla niego niczym chleb powszedni. To wBa[nie dziki zajcom Indianin miaB peBn spi|arni albo te| nie...

W krainie Algonkinów zajce mno|yBy si niebywale i zwykle byBo ich tam w bród. WystarczyBo, |e my|liwy wdrujcy w kniei przed udaniem si na nocny spoczynek rozmie[ciB pi wnyków z kory wierzbowej na pobliskich [cie|kach zajczych, co zabieraBo mu kilkana[cie minut, i mógB by pewien, |e dostarcz mu one rano dwa, trzy

koty” na piecyste.

Owa hojno[ lasu byBa niesBychana, rozrzutna - i dlatego zwodna i grozna. Bo oto po okresach szczytowej obfito[ci zajcy, nastpujcyh do[ regularnie co jakie dziesi lat, kiedy to ich liczebno[ wzrastaBa nieprawdopodobnie, do tysica i wiecej sztuk na obszarze ka|dej mili kwadratowej kniei - nastpowaBa straszliwa katastrofa. Zajce, jakby za spraw mocy nieczystych, raptownie i niemal doszcztnie ginBy. Niepojcie rojne ostpy pustoszaBy jak po polarze. Wraz z zajcami przepadaBy na jaki[ czas wiksze i mniejsze drapie|niki |ywice si nimi: rysie, lisy, norki, sowy.

Tak tedy w póBnocnych ostpach sro|yB si co jaki[ czas koszmarny gBód. BywaBo wówczas, |e starcy u Algonkinów po[wicali swe |ycie, odstupjc wBasn resztk jadBa mBodszym, mogcym dziki temu przetrwa najgorsze chwile. Nierzadko starcy wzywali synów, by uderzeniem topora w gBow u[miercali ich i oszczdzili im mki powolnego konania. Synowie czsto speBniali to |danie.

W puszczy drzewa padaBy i stawaBy si |ywicielami innych istot. W|ród ludzi starcy umierali, by mogBy prze|y nastpne pokolenia. Takie byBo odwieczne prawo tego surowego kraju.

Podobnie| dziaBo si u Indian Montagnais i Naskapi na wschodzie. Natomiast pot|ni Kri na póBnocy i zachodzie rozstawali si ze starcami, porzucaj.c niedoB|nych czsto po prostu na szlaku. A w sioBach Kri matki opowiadaBy dzieciom legend o Windigos, osobliwych, ponurych istotach czBekopodobnych. W zamierzchBych czasach owi Windigos na skutek gBodu przeistacza si mieli w potwory polerajce Indian. Czy|by w tej legendzie odbijaBo si mrocznym refleksem wspomnienie kanibalizmu u plemienia Kri?

Iwan I[erhoff prze|yB z Algonkinami trzykrotnie okresy wielkiego niedostatku, kiedy silni sBabli, a sBabi umierali. Po raz czwarty przyszedB gBód za jego |ycia w te ostpy, kiedy I[erhoff liczyB sobie pidziesit

siedem lat. StaB on wówczas na czele znacznego rodu z picioma synami, wielu wnukami, a nawet kilkorgiem prawnuków.

Tym razem byB to gBód naj okrutniej szy w tych stronach od caBych dziesicioleci. Latem nawet ryby w jeziorach i rzekach zawiodBy. Nastpnie przepadBy bez [ladu zajce. Po czym drapie|niki wyniosBy si gdzie indziej, a te, co zostaBy, oszalaBe z gBodu, rzucaBy si na siebie i poleraBy nawzajem. Aosie

zaszyBy si w najtajniejszych bBotnych

matecznikach.

W[ród wigwamów Obid|uanu rozlegaBo si coraz cz[ciej bolesne zawodzenie kobiet po [mierci bliskich. Wyndzniali m|czyzni nieustannie przetrzsal kniej w poszukiwaniu zwierzyny. Na pró|no. Ludzi osaczyB lk.

Psy w wiosce, wychudzone, wyjc |aBo[nie, po|arBy kilka uprz|y, póki ludzie nie ukryli przed nimi wszelkich szlei i innych rzemieni. Cz[ psów, które daBy si zBapa, ubito i zjedzono. PozostaBe, przezorniejsze\* uciekBy chyBkiem w las, lecz i tam nie byBo dla nich ratunku, zdychaBy z wycieDczenia lub padaBy od wilków.

Puszcza staBa jakby martwa. Pospna i straszna. Wkrótce rzeki i jeziora zamilkBy w biaBych okowach, a soki zastygBy w drzewach. Od póbnoy zwaliBa si niezwyczajnie wczesna zima i mrozem [cisaBa ziemi. Zgnbieni Bowcy obid|uaDscy po raz pierwszy od dBugich lat porzucili my[l o wyprawie na tereny zimowych linii sideB i zostali z rodzinami w siole. Nie byB czas po temu, by Bowi zwierzyn futerkow, skoro nad wszystkim zawisBa grozba [mierci gBodowej. -Stary czarownik Dwa Kruki uporczywie sBaB modBy do duchów puszczy i duchów zwierzt. Wci|niosBy si z jego wigwamu tajemne szepty i ponury [piew. Ludzie obozu przystawali peBni bójazni: owo zawodzenie brzmiaBo chwilami niesamowicie, jak pomruk rannego zwierza w pieczarze. Kilka powtarzanych monotennie tonów zlewaBo si ze sob ni to w przejmujc skarg, nie to w grozb...

Czarownik co jaki[ czas wychodziB na zewntz, rozdmuchiwaB maBe ognisko przed wigwamem i rzucaB w pBomienie drobiny sadBa Bosia czy niedzwiedzia. Następnie patrzaB uporczywie przed siebie w ciemno[ za ogniskiem, jakby chciaB tam ujrze doniosBe rzeczy. Jego dr|ce rce zdawaBy si siga ku niewidzialnym [wiatom, jednak zawsze cofaBy si raptownie niczym rce [lepca. PowtarzaBo si to czsto i trwaBo dBugo, a| wreszcie zebrani ludzie, zawiedzeni, z opuszczonymi gBowami rozchodzili si po wiosce.

45

Zatem i czarownik Dwa Kruki byB bezsilny...

Ludzie, doprowadzeni do ostateczno[ci, |eby oszuka |oBdki, jli |u rozgotowane skóry mokasynów i rkawic. Wówczas to po[ród grupy mBodych Bowców - oni zachowali najwiecej siB - powstaBa desperacka, nieoczekiwana my[l. Przecie| na póbnoy, nad Zatok Hudsona, byBy faktorie Anglików! I peBno w nich wszelkich towarów, wszelkiego jadBa! Mki, bekonów, cukru, sucharów! Placówki byBy zawsze suto zaopatrzone przed wiosennym handlem.

- Najbli|ej std jest Ruperfs House! - mówiB z ogniem w oczach dwudziestoletni Wasyl, najstarszy wnuk Iwana Iserhoffa. - Tam pójdziemy i poprosimy Anglików o |ywno[. Inaczej koniec z nami!

Wszyscy dobrze wiedzieli, |e na pomoc Francuzów w Trois Rivieres nie byBo co liczy, Tegoroczna posucha w dolinie nad rzek Zwitego WawrzyDca przyniosBa dotkliwy neurodzaj i ludzie tam nic prawie nie zebrali z pól. Przeto sami bied klepic, ani my[lleli dzieli si z Algonkinami.

- A je[li Anglicy nam odmówi? - zagadnB z wahaniem w gBosie D Buga StrzaBa, rówie[nik Wasyla.

- Nie odmówi! Oni chtnie daj towary na kredyt. A my przecie| za jaki rok, najdalej dwa, zwrócimy im wszystko w skórkach jak nale|y!

- Daj chtnie, to prawda, ale swoim Indianom... - rzuciB powtpiewajco D Buga StrzaBa.

W oczach krewkiego Wasyla pojawiBy si bByski. ZgrzytnB gBucho:

- Pójdzie nas kilkunastu, mo|e dwudziestu zbrojnych. Je[li zajdzie potrzeba, chwycimy za strzelby! I sami wezwiemy, co nam bdzie trzeba!

ZalegBa cisza. PrzerwaB j który[ z obecnych:

- Na czele naszej wyprawy powinien stan nie kto inny, jeno Iwan Iserhoff! On jeden zna Anglików i ich zwyczaje, rozumie ich mow.

- W istocie! - kilku innych podchwyciBo |ywo. - Iwan przecie| nie raz ju| przed laty dowiódB, |e umie radzi sobie z Anglikami! Je[li on pójdzie, wyprawa z pewno[ci si uda!

Jako| niebawem Indianie stanli przed Iwanem Iserhoffem. Na mBodych twarzach zna byBo przejecie, nadziei. Wszelako Iwan, poznawszy ich [miaBy plan, a szczególnie rol, jaka jemu w wyprawie miaBa przypa[ - okazaB wyrazn rezerw. Od jakiego[ ju| czasu czuB sBabo[ nadchodzonego wieku. Ostatnie tygodnie gBodu bardzo podkopaBy jego siBy. CzuB si zmeczony, stary.

46

- Powiadacie, do Ruperfs House? Do tej placówki mamy std blisko trzysta mil ci|kiego zimowego szlaku. Mój czas ju| si koDczy -Iserhoff mówiB gBosem zgaszonym, przytBumionym. - Wy, mBodzi, podoBacie trudom drogi. Gdybym szedB z wami, opóźniaBbym jeno tempo marszu. Ruszajcie tedy sami! Zwa|cie, |e dla ludzi tu gBodujcych ka|dy dzieD zwBoki w waszym powrocie bdzie tortur. Nic po mnie w waszej wyprawie! ,

Odmowa Iserhoffa spadBa na mBodych jak przykry cios. Wszak Iwan hvB zawsze uosobieniem rzutko[ci, pr|no[ci, a ju| zwBaszcza mo|na byBo na niego liczy we wszelkich trudnych chwilach. Indianie odeszli pogr|eni w niewesoBych my[lach. Bez udziaBu Iwana, bez jego do[wiadczenia powodzenie wyprawy, od której tak wiele mogBo zale|e, stawaBo pod znakiem zapytania.

Rozmowie Iserhoffa z mBodymi przysBuchywaBa si jego zona, Kwitnca GaBz. Gdy tamci poszli, zwróciBa na m|a przygasBe oczy wezbrane Bzami i wyszeptBa: - ZmiaBy Bóbr umiera...

Iserhoff straciB w ostatnich dniach ju| trzech maBych wnuków. Wcze[niej zmarBa jego druga |ona, Wiotka Trzcina. Teraz zas przyszBa kolej na nastpnego wnuka, najmBodszeo. Ginli jego najbli|si, a on trwaB w niemocy, byB bezradny. Nie odezwaB si ni sBowem do zony. Le|aB bez ruchu na posBaniu; mijaBy godziny, dBugie i mrocne jak ci|ki

sen.

Al] wreszcie dzwignB si na nogi. Spogldajc na niego Kwitnc GaBz uderzyBa nagBa zmiana w jego twarzy jak i caBej postawie, berce mocniej zakoBotaBo w piersiach przygnbionej kobiety. Oto naraz zdaBo jej si, |e miaBa na powrót przed sob m|a mocnego jak dawniej, |ywotnego. W jego ruchach, zachowaniu zna byBo, |e dojrzaBa w nim ostateczna decyzja: on poprowadzi Indian do Anglików i zdobdzie

|ywno[! ”, c, ” . .

Tak te| si staBo. Wyruszyli nazajutrz, ledwie [wit szarzaB, bzBo VA? dwudziestu dzielnych, osBabBych z gBodu ludzi. Najstarszymi w grupie byli Iserhoff i jego wierny druh, BiaBy ObBok. Poniewa| nie mieli psów sami cignli kilka toboganów, które zabrali ze sob. Na plecach dzwigali toboBy, w których obok niezbdnego sprztu obozowego i amunicji ka|dy miaB tak|e nieco suszonych jagód i borówek. Dostali je od kobiet; innego jadBa w wiosce nie byBo.

Szli po [niegu zgarbieni, z opuszczonymi gBowami. Niektórzy posu—

47

wali si chwiejnym, niepewnym krokiem, nie pozostawali jednak w tyle, siB woli brnli uporczywie naprzód. W chwilach popasu ka|dy sigaB po skp garstk owoców, wydzielan jak najoszczdniej. Jakkolwiek wiedzieli, |e nie posil si nimi, |uli je wytrwale, z wiar.

Zwiat wokóB nich drzemaB jakby dotknity letargiem. Nie spotykali |adnych |ywych istot, jeno z odlegBych przestrzeni niosBo si wycie wilków.

Wieczorem, kiedy legli na skórach wokóB trzech rozpalonych ognisk, wilki, rozzuchwalone gBodem, podpeBzBy blisko i otoczyBy obóz krgiem pBoncych [lepi. BiaBy KamieD, jeden z najmBodszych w grupie, przebudziB si nagle w nocy, bo chwyciBy go bolesne kurcze |oBdka. Skoro ból stpiaB, BiaBy KamieD uniósB si i dojrzaB ksztat wilka na samym skraju koBa [wiatBa od ogniska. Nie namy[lajc si dBugu, porwaB strzelb, któr trzymaB przy sobie w pogotowiu, i wygarnB do zwierz. Ten padB na ziemi. DostaB, lecz |yB jeszcze i szczyrzyB kBy. BiaBy KamieD dobyB no|a, przyskoczyB do basiora i jednym ciosem rozpBataB mu gardziel.

Wszyscy w obozie na odgBos strzaBu zerwali si i ujrzeli, peBni trwogi, jak BiaBy KamieD ze strasznym rykiem opadB na dogorywajcego zwierz. Zanim zdoBali go powstrzyma, ju| chciwie piB juch z broczcego gardBa. ByBo to wbrew [witemu zwyczajowi, surowo zabraniajcemu Algonkinom spo|ywania misa oraz krwi wilka.

Kiedy wreszcie odcignito BiaBego Kamienia, w jego oczach [wieciBo szaleDstwo. yle! Indianie spogldali na niego z niechci. Swym niegodnym czynem mógB sprowadzi na ich gBowoy dalsze nieszcz[cia i przysporzy nowych kBopotów w wdrówce.

Nastpnego dnia ruszyli chwiejnie naprzód. KoBo poBudnia dwóch skrajnie wyczerpanych wdrowców padBo twarzami w [nieg. Nie mog-Irpowsta o wBasnych siBach. Jednym z nich byB BiaBy KamieD. Towarzysze próbowali prowadzi ich, wspierajc z obu stron. Owi dwaj byli jednak zbyt wycieDczeni, by mogli i[ dalej. Tedy zostawiono ich z broni i amunicj, liczc, |e mo|e co[ upoluj i

jako[ dowlok si z powrotem do Obid|uanu. Niestety, nigdy tam nie dotarli...

Trzeciego dnia wdrowcy brnli poprzez skute lodem, rozlegBe jezioro Mesere. Otaczajca ich zewszd [nie]na cisza przygniataBa im my[li, tBumiBa zmysBy. Przeto |aden nie zauwa|yB tego, co w owym czasie dziaBo si w naturze. Dotychczas zBote sBoDce za nimi nabraBo oBowianego blasku. Powietrze z nagBa mocno si ozibiBo i raptem ostro powiaBo nad lodem. Wdrowcy przystanli i spojrzeli sobie w oczy. Nic nie

48

[powili; ka|dy z nich zrozumiaB, co ta zmiana wie[ciBa. NadcigaB blizzard, zabójczy w tych stronach dla wszystkiego, co |yje.

nawaBnica [nie]na za niespeBna kwadrans rozszaleje si nad jeziorem-Wiedzieli, |e je[li uderzy na nich po[rodku pBaszczyzny lodowej -najpewniej tu zgin. Sterani, nie bd w stanie walczy z |ywioBem U|ycie.

- Jedyna szansa dla nas - przemówiB do[wiadczony BiaBy ObBok - to dotrze do zwartego lasu przed nami!

ByBo to zadanie prawie niemo|liwe: przeszBo dwie mile angielskie

I otwartej przestrzeni oddzielaBo ich od pierwszych drzew, a blizzard Jibli|aB si na skrzydBach wichury. Wszelako innego ratunku nie byBo. Dobyli wic ostatnich siB i ruszyli biegiem w drog. Na pÓbnocnym nieboskBonie toczyBy si oBowiane chmury podobne do gstego dymu. T|ejcy z ka|d chwil mróz ksaB ich poryte bruzdami twarze. V oddali pot|niaB szum. Niebawem spadBy na nich pierwsze krysztaBy

fodo we, a potem zawirowaBy wokóB tumany [niegu i dzieD nagle mieniB si w noc. Dono[ny szum przerodziB si w wyjc zamie. Szalejcy blizzard waliB wkróce caB siB na nich. Zlani potem ledwo I przebijali si naprzód. TargaBy nimi straszliwe uderzenia wichru. I l trudem i bólem chwyтали powietrze.

Las pozostawaB oddalony cigle o pÓB mili. Z największym wysiBkiem I itrzymywali si na nogach. Iserhoff chwyciB pod pach jednego ze I iBaniajcych si towarzyszy i razem mocowali si przeciw rozszalaBej I lurzy. Kilku innych, najmocniejszych, uczyniBo tak samo i wsparBo >padajcych z siB. To przesdziBo. Zdyszani ludzie przemogli wreszcie |ywioB i niebawem skryli si w gstwinie le[nej. Zaszyli si o jakie dwie[cie kroków od pegu jeziora Mesere, gdzie impet wichury byB sBabszy, i tam rozbili Bbóz, Cz[/nie zwlekajc, znosiBa suche gaBzie i chrust, inni zwalali ekierami [wierki i jodBy na legowisko. Wkrótce zapBonBy trzy ognika, a koce rozpite równolegle do nich od strony wiatru nie dopuszcza-C podmuchów. Ludzi owiaBo ciepBo ognia.

Blizzard w konarach nad nimi sro|yB si i ryczaB, i BamaB gaBzie -oni le|eli na pÓB |ywi, ale ju uratowani i bezpieczni. I potwornie - fodni...

P»1 Indian.



## 9. ZMIER IWANA ISERHOFFA

*Jest chyba jedno wyjście - odezwać się do przyjaciół - jeśli chcemy opanować cel. A więc, o ile stwierdziłem, są całe i zdrowe i nie wykluczone,*

%e mogłyby nam uciec, spłoszone widokiem Budzi...

Straszliwy blizzard, jakiego najstarsi Indianie nie przypominali - A\* czy nie udaremnimy im tego? Wszystkie wyglądają obd-bie, trwa trzy dni i trzy «D\*\*a "lotó to! Wilki bez wątpienia prędzej czy później rzaszarpie Bosie,

Tf "C^L ile to "stąpi ° krdo dobrych mil std-B wó"la nas

i a ; 7 SvBo msTa 0 ?"5(3VC nie mogli wstać z lego^ ^stałyby jeno ogryzione ko[ci... - Iwan na chwilę zamilkł, po czym ludzi, trudno im było ruszać się, 0 ?V5:N8C s ^[wiadczą cichym, stanowczym głosem: - Jedno wydaje mi się ro—

kmne wyjście. Wszystkie Bosie musimy jak najszybciej zastrzelić! - Na to odległość [piciuset kroków? - da się sbyśże czyj[ urgliwy

ska

Gdy zaczął [wita na czwarty dzień, jeden z myśliwych - a byli Biały Obok - powlókł się na\*brzeg lasu w kierunku jeziora. I riatk chmiast wrócił szybszym krokiem, podniecony tym, co ujrzał na jej

#o

rze

- Zblił się do Bosi na odległość [ strzaBu.

- Iwan! - wołał z cicha przejętym głosem; oczy mu pałały jak w j

rczce: - Iwan!

- Mów, do Ucha! - odezwał się Iserhoff. - Coś tam ujrzał?

- Na łodzi jeziora s Bosie!...

- Do diabła! - Iserhoff zerwał się na równe nogi. one?

Mów, dali

is. - Któż tego dokona?

- Ja - odrzekł spokojnie Iwan.



- A wilki na to si zgodz? Iwan nie daB si zwie[ ze swego pomysBu. Uwa|aB swój pian w tej

Irtuacji za jedynie sBuszny.

- SBuchajcie, co mówi! Pójd na jezioro w towarzystwie tylko mego Bnuka Wasyla, który ma dwadzie[cia lat i do[ siB, by nie[ dla nas

pery strzelby skaBkówki. A dlaczego my dwaj powinni[my i[? pójrzcie na nas: mamy obydwaj odzie[ i kurtki ze skórek biaBych

- 'Niedaleko! Jednak - cignB BiaBy ObBok - jest tam peBno wilki ^^ w ^^ . to ^^ ^ ^ B^-caBa ich chmara! napastujcych je wilkach wstrzsd zauwa|. Wy natomiast, wy wszyscy, skoro tylko usByszycie moje

Wlad°m°& -“t 1 Wb O H “co leszcze le|eli, potrafili w. “£” «^m prdziej przybiegniecie do nas i pomo|ecie nam opanowa

-|ozhwy opór wilków. Oto moj plan! Innego nie widz! isz si! To niebezpieczny zamysB! -Wezcie nas ze sob choby kilku jeszcze, tak bdzie

wiaaomosc ” «?” - —> « % - ‘ . fi1. %

wszystkimi. Nie byBo ju| sBabych, 0 ci co ^^^^0%H^ opór wilKow. Oto mój plan! Innego nie widz!  
%

owBasnychsilach;innijuzmiel^^^^^^ Iwanie> nara|asz si, To bezpieczny zamysB! I Kto[ zawoBaB .

udalisiwstronjezioraigdybiaBataflaloduzaczBaprzesw^d^^

pnie drzew, ’ przystanl

li|onym gBosem izpieczniej!

pnie arzew, pi-ij”>b«”V”. n

0J ‘siecznie]!

OkoBo piciuset kroków od brzegu jeziora u,rahafc(WIgrupej Wykluczone (5 8

n«\*w«Bd.lcA-ta-^bl^-^-^d»^^B La tym stanlo, wszy”

go wilka do [rodka i zatBuc go uderzeniem przednich badyli. & nie|ywych lub dogorywajcych drapie|ników le|aBo juz dokoBa Bfl

Na poByskliwej tafli zamarznitego jeziora byBo zadziwiajco ) wilków, mo|e trzydzie[ci albo i wiecej, w szerokiej rozsypce. Widuj poBczyBo si kilka watah. Niektóre sznurowaBy tu i tam wiW chodem, ’ ale na ogóB byBy spokojne, jak gdyby sparzone w pierw\* próbach, cierpliwie czekaBy na wypadki.

Czsto przystawaBy 11>| spogldaBy w stron Bosiowej grupy. -

Po kilku minutach przypatrywania si Iwan daB towarzyszom j |eby przybli|yli si do niego i szeptem mogli rozmawia ze sob\*

50

I na tym stanBo, wszystkim przemówiBo to do rozsdku. jCzas leciaB, spraw nagliBa, wyraźnie ju dniaBo. Iwan i Wasyl byli %urojeni w pi skaBków, bijcych pewnie na odlegBo[ stu kroków; Ka tym ka|dy miaB po dwa pistolety, jedn wBóczni i nó| my[liwski -ak uzbrojeni wyszli obydwaj z lasu. Wiatr wiaB korzystny, od jeziora, *orupa na [niegu pozwalaBa wygodnie kroczy na [nie|nych rakie-*

^iBka najbli|szych wilków, spostrzegBszy dwóch ludzi, zbli|yBo si do r^cych na kilkadziesit kroków i równolegle z nimi si skradaBo, spuszczac ich ze [lepi.

51

¥

Jednak |aden drapie|nik nie zaczepiB ich. Po niespeBna kwadratJ chodu Iwan stwierdziB, |e byli ju do[ blisko celu, by @30CA8@?0C0? [niegu i zBo|y si do wystrzaBu. Aosie nadal wpatrzone byBy wyBcz! w wilki. Najpot|niejszy z nich padB w ogniu. Migiem Wasyl wymie|"as, z Iwanem strzelb i druga sztuka, niezBa klempa, dostaBa [mier RychBo zwaliB si trzeci Bo[, ale zaczB tak gwaBtownie bi badyli w [nieg, |e dokoBa niego powstaBa istna chmura biaBego pyBu. Opó|j to nieco kolejny strzaB i wtedy wilki pomogBy my[liwemu. Dwie zuchwalone bestie rzuciBy si na Beb ostatniej stojcej ofiary, dosz nie j obezwBadniajc. Czwarta kula Iwana przeszyBa komor' ostatniego Bosia.

Indianie z lasu ju| ruszyli, sBycha byBo zewsz" d ich grol okrzyki.

Natomiast dziwny, niesamowity szaB poderwaB wszystkie will jeziorze. Wikszo[ ich, tych najbli|szych, rzuciBa si na ustrzelone to i |arBocznie jBa je po|era. Inne za[ wpiBy rozjuszone [lepia w posti stojcych opodal dwóch ludzi, dwa nowe smakowite kawaBy mi Wilki zazwyczaj czuj respekt przed ludzmi. Bywa jednak, |e wygi niaBe rzucaj si na ka|dego napotkanego czBowieka, a nawet wdzii j si za dnia do wiosek, poty gotowe gryz ludzi i psy, a| nie zosti ubite. RozlegBo si dokoBa potworne wycie obBkanych z gBodu drap ców. Zgraja kilku [migBych cielsk ruszyBa szaleDczym pdem w stt dwóch strzelców. ^^^^

- Trzymaj si mnie jak najbli|ej! - jeszcze zd|yB ostrzec Iw Placami do pleców! Plecy do pleców!

Ju| wilki byBy przy nich. WaliBy od strony, gdzie staB Wasyl. Na te| pierwszym impetem uderzyBy. Z odlegBo[ci trzech/czterech kr mBodzian kropnB z pistoletu najbli|szego, któremu okrutnie [witj [lepia, a z otwartej paszczki postrach siaBy straszne kBy. Nastpny » równie zaciekBy, dostaB wBóczni, przebity ni na wylot. Gdy W szamotaB si uBamek sekundy ze sw broni, by j wyrwa z tub zwierza, dopadB go trzeci wilk i zatopiB kBy w nodze. Ale w tej ss chwili strzaB z pistoletu Iwana rozwaliB Beb napastnikowi.

WasylbyB wolny, lecz zachwiaB si i upadB. Natychmiast wykor^ Bv to dwa basiory i z gBuchym

pomrukiem skoczył na niego jedno-nie. Wasył, leć, bliższego dzgnął w boczni na [mier, ale W samym czasie drugi wilk dorwał się do jego gardła i zagłębował w niego kły. Szabły, ostatni charkot u konającego człowieka.

52

niedaleko rozległy się potężniej okrzyki odsiecz z lasu, chociaż ian w podnieceniu nawet ich nie słyszał.

Wbił kilkakrotnie myśliwski nóż w szyję wilka, który szarpał gardło

asyła, ale taka mordercza zaciskała się w bestii, że paszcza

nie mogła się zamknąć dopiero wtedy, gdy nóż porzucił na kawałki. Wasył już

nie

Wszystko to działo się piorunem.

Iwan jeszcze nie wznosił się na nogi po zabiciu wilka, gdy zniemacka

ielki ciął się na jego plecy z taką siłą, że przytłoczył go do ziemi.

Mównocze nie wilcze kły niby żelazne kleszcze zanurzyły się w jego

ramieniu. Przybiegający ludzie usłyszeli chrupot miażdżonej kości pancernej—

brzowej. Cóż z tego, że w oka mgnieniu rozsiekli bestię. Był już o ubamek

z kłami za późno.

Kilku przybyszów, pracując ogniem w prawo i lewo, biegł, co im się udało, do zabitych bosów. Tam najwięcej było wilczego łajdactwa. Do-ggnite kul, przeważnie na miejscu ginęły. Którego tylko poprzelono, ten wyrwał się przed siebie, ale daleko nie uchodził. Pistolety i wódek nie spełniały swej roli. Główny dym zalegał nad jeziora, a że wiatr nie był przychylny, dym trwał w miejscu. Gdy dym się rozproszył, co za widok: istne pobojowisko! Wilków chyba było więcej, reszta została umkła.

Walecznego Lisa, najstarszego z rodu Ałaszisz, uznano po śmierci

Irana za wodza grupy myśliwych. On wysłał zaraz kilku posłańców do

Aiduanu, by śpiesznie przybył stamtąd jak najwięcej ludzi z tobozami—

z pomocą zdobytą żywnością. W tym czasie jedni sprawiali bosów, a reszta

trwała przy skórze z zabitych wilków. Większego znaczenia

kie futra nie miaBy, ale przecie| i to byBo dobre -na srogie zimy.

:Waleczny Lis cieszyB si zasBu|onym mirem, wic Indianie go sBucha—

I WydzieliB my[liwym niewielk porcj Bosiny na zaspokojenie pier—

izego gBodu, wszyscy rozumieli: owe Bosie miaBy by dla caBego Obi—

panu zapasem na wiele miesicy zimy i przedwio[nia: oszczdno[

I warunkiem prze|ycia.

Na jeziorze Mesere krztaniny byBo du|o, ale wszystkie my[li i |al, “Rutek kierowaBy si tam, gdzie zwBoki Iwana Iserhoffa i Wasyla !0’# przymocowane do toboganu, ju| gotowe do wyruszenia w drog Wr»tn do Obid|uanu. Iwan Iserhoff: przybyB w te strony Kanady, y °iiaB dwadzie[cia lat; zrzdzeniem losu zbli|yB si do Algonkinów,

?#A, my[liwych |yjcych nad górnym biegiem rzeki Zwitego

53

‘ %

Maurycego, i wkrótce staB si jednym z nich; a byB niezrównani JoWódca wielce rutynowany i’ zasBu|ony. Powierzone mu zadanie Bowc i nieulkBym wojownikiem. Dziki jego pomocy Francuzi zdJ ,graddock postanowiB rozstrzygn jednym decydujcy m uderzeniem, angielski fort Albany nad James Bay; on gBównie pokrzy|owaB p| Lj0sn 1755 roku wyruszyB na zachód przeciwko fortowi Duuesne Irokezów, gdy ci zamierzali wytpi Algonkinów, i walnie przycajZ z dwoma tysiecami regularnego wojska i oddziaBem stra|y z Wirginii, si do wybicia caBej wrogiej zgrai. Iwan Iserhoff miaB bystry HV j^ystu krzepkich drwali rbaBo im drog poprzez pierwotn puszc, wielkie serce i szlachetnie pomagaB ka|demu, kto byB w biedzie. ZJ zalegajc doliny i przeBcze Alleghenów. Z wojskiem cignBy dBugie nB szeroko w pÓBnocnych lasach. Majc lat pidziesit siedem zg| tabory, juczne konie i liczne dziaBa, co niepomiernie opózniaBo pochód, jak bohater, chcc ratowa swego wnuka Wasyla od napastlh^ jecZ zgoBa nie trapiBo pewnego siebie generaBa. Wielk siB wiódB przez wilka. W chwili [mierci ród jego, który okryB si sBaw, liczyB j ten dziki kraj, a w forcie Duuesne-o czym mu doniesiono-siedziaBa trzydziestu potomków, w tym byBo kilku wybitnych. I Liwie garstka Francuzów, najpewniej owBadnitych teraz paniczn

I twog- {e za[ okoliczni Indianie pono przybywali im z pomoc, có| ‘ - Iz tego? - zadufany Braddock wzruszaB jeno pogardliwie ramionami.

10. WA{ SI LOSY KONTYNENTU Nie bdzie zaprztaB sobie gBowy jak[ tam zgraj dzikusów!

WyniosBy generaB nie szcdziB równie| lekcewa|cych gestów towarzyszej mu miejscowej stra|y. Wprawdzie do jego sztabu wszedB Jerzy MijaBy lata. NadcigaB nieuchronnie czas rozstrzygajcych zmag Waszyngton, mBody wówczas, wielce obiecujcy puBkownik z Wir-Anglii i Francji o wBadanie nad bezkresnymi obszarami Ameryki P ginii, który poznaB ju| sposoby walk le[nych, ale

Braddock puszcza nocnej. W połowie XVIII stulecia francuska Kanada liczyła tylko sze mimo uszu jego rady.

dziesiąt tysięcy białych mieszkańców. A w trzynastu koloniach 2 Raptem na maszeruje niefrasobliwie bez koniecznego ubezpieczenia Atlantykiem i półtora miliona osadników angielskich. Przeważała katastrofa. Główna przyczyna strasznego zdarzenia tych ostatnich była zgoła przytłaczająca. Jednak myliłby się ten, kto od palby karabinowej jak od uderzenia gromu. To kapitan Beaujeu sądził, że los kontynentu był już przesdzony, że tylko patrzył i garstk Francuzów i znacznym zastępem Indian zasadił się na rozległe posiadłości Francuzów wpadł w ręce potężnego wroga, Anglików. Przemysłnie ukryci wśród gęstwiny leśnej strzelcy walili Francuzi ani myśleli tanio sprzedawać skóry. W trudnym położeniu: poza drzewa, krzaków, z wykotów i wzniesień do zaskoczonego wroga podnosił ich na duchu wiadomość, że mają u boku liczne akty do zajęcia na polowaniu. Na domiar Braddock, z tym uporem sojusznika. Wszystkie niemal plemiona indiańskie opowiadały się za bóstwem przy swej samobójczej taktyce, ustawił oddziały w zwartym ich stronie. A była to siła nie lada - w gębi przepaścistych boi iżyku - czyste szaleństwo w takich warunkach. Zatem nawet rozpaczyli wojownicy mogli być napsu krwi każdemu przeciwnikowi cała grupa nie wyzwoliła zadufanego z przestankami nikowemu, zwłaszcza gdy obce mu były swoiste arkana leśnej partyzanckiej utny.

Miejsce i powodem krwawych starcia była si bogata dolina fi Ze wszystkich stron grzechotały wystrzały: między szeregami angielsko-Ohio. Francuzi, urzeczony t bujn krain, w 1749 roku zajęli ziemie [mier zbierała coraz obfitsze niwo. Powietrze zgęstniało od formalnie w imieniu króla, a rzekę Ohio nazwali La Bella Rij lymu i zapachu krwi. Co najgorsze za, napastnicy pozostawiali przez Północną Rzekę. Aby umocnić swe władztwo nad tym uroczym krajem aBy czas koszmarnie niewidoczni. Rozpacz zdją Angliki zabadowali jej li wznosi tam forty, z kluczowych placówek Duquesne w widłach Głównymaty i wystrzelili kilkakrotnie w gęste chaszczki. Lecz było to pukanie

Północna dolina przyciągnęła również po długi spojrzenia Anglików, którzy wnet doszli do stanowczego przekonania, że należało w końcu to być już pogrom. Srogo przereźdzone oddziały zafalowały i poszły ci stamtąd Francuzów i wzięli ziemi zagarn dla siebie. Szczęśliwie ratowali się po desperacku z zamtu. Generał

Z Anglii przybył w tym celu generał Edward Braddock próbował ich powstrzymać, miotał się, zwrócił się, a

54 55

wreszcie i jego dopadła celna kula i [mierzelnie ranionego zwałiła z 1 nia na ziemi.

Wszczęł się jeszcze okrutniejszy galimatias. Kto żył, na Bóg na szyję, pryskał. Pod pułkownikiem Waszyngtonem padły dwa wierzchołki kule tak niegorzej rozpruły mu mundur w kilku miejscach, & zdołał uciec z pola walki. Inni mieli mniej szczęścia.

Wynik bitwy był dla Anglików katastrof - przeszło dwie trzecie poległo bądź zostało ciężko rannych. Niedobitki, które dowlokły się do Wirginii, przyniosły wieść o druzgoczej klęsce. Jakby nie do zbieg krzywy upokarzające ślady, że zwycięski oddział francuski był nader szczupły i w samej

rzeczy to Indianie rozgromili wojsko Braddocfc Wprawdzie od pierwszych wystrzelonych na o[lep kul zginB dzieBu kapitan Beaujeu, lecz to w niczym ni ostudziBo bitewnego ferwor i wojennej mdro[ci indiaDskich wojowników.

Poruszona do |ywego brytyjska opinia publiczna mówiBa o haDbi munduru wojskowego i |daBa wyja[nieD. {oBnierze, którzy unie[ gardBa, napastowani pytaniami, tBumaczyli si znkany gBosem!”

- My nie chcieli[my ucieka!... Lecz jak|e mogli[my walczy z wn giem, gdy ten przez caBy czas pozostawaB niewidoczny! Do kogo mieli my strzela?...

Zdumienie byBo ogólne.

Zdziwienie ogarnBo i drug stron: Francuzów i Indian. “C radosne, upojne. Szczególnie dla Indian; rozpieraBa ich duma, to by ich zwycistwo!

Od dBu[szego ju| czasu liczne plemiona coraz ostrzej uzmysBawia sobie, jak wielkie niebezpieczeDstwo groziBo im od Anglików. Kolon angielskie parBy bez po[piechu, lecz nieustannie wci| dalej na zach Zwarta Bawa gBodnych ziemi osadników zagarniaBa coraz nowe teren Owi pograniczni ludzie, bezwzgdni, wyzbyci wszelkich skrupuB wobec napotykanych Indian, za nic sobie mieli ich prawa do ziei przodków. Skoro za[ plemiona w akcji rozpaczy wykopywaBy top wojenny, najezdzczy, uzbrojeni po zby, tpili ich niemiBosiernie j’ dzikie zwierzta, jak szkodliwe chwasty.

A pocztek byB taki: Gdy w roku 1607 powstawaBa pierwsza angi( ska osada Jamestown w Wirginii, konfederacja Powhatan |yBa tam szeS liwie w dwustu ludnych wioskach. Indianie ci przyjaznie powtt biaBych przybyszów i nie skpili im pomocy. Lecz ju| w kilkana[cie później musieli porwa si do or|a w obronie swych [witych pi\*

56

Lówcza rozjuszeni Anglicy poprzysigli im, |e poty nie sp oczn, a| nie yricn z Powierzchni ziemi. I dotrzymani zBowieszcze s Bowa: nieba-Lern konfederacja Powhatan przestaBa istnie.

I yj 1675 roku wielki wódz Wampanagów, Metacom, poderwaB do Lalki zjednoczone plemiona w Nowej Anglii. Wiele miast i osiedli nienawidzonego wroga legBo w popioBach. Niestety i ten desperacki Lyw zakoDczyB si klsk. Metacom, zwany przez biaBych Królem filipem, zginB od zdradzieckiej rki. Jego ludzie, szczuci obBawami, [ostali wybici bdz przepdzeni.

podobny los przypadB w udziale Peuotom, Yamasi, Tuscarora i wielu innym plemionom. Koloni[ci angielscy nie liczyli si z nikim, kto staB na ich drodze.

W obliczu rosneego zagro|enia Indianie wizali daleko idce na-jdzieje z Francuzami. Francuzi byli zgoBa odmienni od Anglików, jakby 9 innej gliny ulepieni. Przede wszystkim nie wypdzali zaprzyjaznio-aych Indian z Bowisk. Przeciwnie, |yBi z nimi za pan brat, nie szczdzili km podarków i innych wzgdów. KryB si w tym ich interes, jako |e btawiali na handel skórami. W pogoni za skórami odkryli niezmiernie tabszary i pokumaBi si z zamieszkujcymi je szczepami.

ByBo jeszcze co[ w naturze Francuzów, czym jednali indiaDskie serca. w ich |yBach pulsowaBa

gorca krew i przepadali oni za burzliwym, jpeBnym fantazji |yciem - lecz równocze[nie kierowali si wrodzonym poszanowaniem uczu innych ludzi, tak|e Indian. Umieli zdobywa si wobec nich na braterskie odruchy. Nawet wielki gubernator Fronte-hac ongi[ przywdziewaB ubiór indiaDski i taDczyB zadzier|y[cie z odwiedzajcymi go wojownikami. A francuscy coureurs de bois i voyageurs Batwo zadurzali si w czerwonoskórych dziewczynach, brali je sobie za pony i |yli w le[nych kniejach w[ród plemion jak równi z równymi.

Indianie lubili Francuzów - i cho ci wyBudzali od nich skóry czsto za bezcen, to jednak istniaBo pomidzy dwoma rasami swoiste powinowactwo ducha.

Wszystko to sprawiaBo, |e Francuzi Batwo pozyskiwali sobie wojowników do walk z Anglikami. A walki te byBy coraz czystsze i zajadlejsze. A| wreszcie doszBo do pamitnego wytBuczenia armii Braddocka. Podniecajca wie[ z doliny Ohio dotarBa echem do najdalszych zaktków. Tak|e w lasach odlegBej pÓbnocy, w wiosce Obid|uan nad rzek Zwitego Maurycego mówiono o zwycistwie. A kilka ostatnich neutralnych dotd plemion przeszBo teraz jawnie na stron Francuzów.

57

Dobre nastroje i przypByw Wojowniczego zapaBu u indiaDskich spj raierzeDców postanowiB wyzyska dla wBasnych celów generaB Vfl' calm. Markiz de Montcalm, ostatni naczelny dowódca siB zbrojiJ Nowej Francji, przybyB do Kanady w 1756 roku, przeto na jego! kach spoczB ci|ar odpowiedzialno[ci za los kolonii w rozgoiB wBa[nie wojnie siedmioletniej midzy Angli a Francj.

Zrazu generaB odniósB kilka bByskotliwych zwycistw nad wroj Jednak byB to dopiero pocztek zмагаD; nale|aBo zmobilizowa wszys be dostpne siBy. W tym celu Montcalm wiosn 1757 roku zwofc sojusznicych Indian na szumn narad do Montrealu.

Tak oszaBamiajcego zjazdu Indian historia tych stron dotdA znaBa. Przybyli do Montrealu najsBynnijsi wodzowie i wojownicy Plemion od Akadii na wschodzie a| po Missisipi i Wielkie Jezior| zachodzie. Nie zabrakBo równie| wysBanników z pÓbnocy, a w[ród nid dwudziestu my[liwców z Obid|uanu. Owej dwudziestce przewodzi! dwóch najt|szych Bowców sioBa: Ostry Grot i Wiktor Iserhoff. Ta ostatni byB wnukiem Iwana Iserhoffa, który co prawda zginB byB pra PrzeszBo trzydziestu laty w walce z wilkami, ale pami o nim u Algot kinów bynajmniej nie umarBa. O mBodym za[ Iserhoffie powiadano,! P^ejB po nie|yjnym jego mstwo i roztropno[.

Przybywszy do Montrealu, Wiktor Iserhoff i jego towarzysze prze» rali oczy ze zdumienia. RozlegBa wyspa, na której le|aBo miasto upstrzyBa si teraz wigwamami i namiotami. RzekBby[, |e wszystkie Ptactwo rÓlnobarwne tutaj si zleciaBo. Wszdzie, gdzie spojrze gromady Indian w paradnych strojach. Najdumniej ze wszystkich ni Slli si Szaunisi, Delawarowie, Ottawowie i Wyandoci - okryci chwal Pogromcy Braddocka. Kontenci gospodarze nie |aBowali przybyByi hczych podarków i brandy - rozsdnie jednak dawkujc trunek tote| nieustannie trwaB tu huczny festyn, a taDce, a [piewy, a wylewu u[ciski i gwarne rozmowy.

Czekano na MontcaBma, który miaB wygBosi do obecnych wieli mow. Wreszcie generaB wystpiB w galowym mundurze z szamerol niem i zBotymi epoletami w otoczeniu równie strojnych oficej PotpiB drapie|no[ Anglików wdzierajcych si toporem i ognie! w ziemi indiaDsk i przynoszcych [mier

plemionom. Dalej mówi, » on, dowódca Francuzów i przyjaciel Indian, pragnie wziąć napad na nich w obronę i być ich ostoją. Toteż wszyscy zebrani tutaj powzięli go od tej chwili za swego najwyższego wodza wojen

58

tego, który poprowadzi ich do zwycięskiej rozprawy ze [miertelnym Wrogiem. Rzekłszy to, Montcalm wbił opodal ogromnego ogniska czerwono pomalowany tomahawk. Co znaczniejsi wodzowie przystępowali kolejno i uroczysto podejmowali topór; w imieniu grupy obidiwskiej dokonali ceremonii przysięgi Ostry Grot i Wiktor Iserhoff.

Imponujące widowisko. Montcalm mógł być w pełni zadowolony: Oto wojownicy ofiarowywali mu wszystkie siły, całą niepożytą krew jucha indiańskiego. Zaiste, gdyby tę scenę widzieli koloniści z Nowej Anglii czy Wirginii, bez wątpienia mrowie chodziliby im po plecach, gogol oni mieli za sojuszników? Wytrwali jeszcze przy nich jeno nadwzrostli Mohawkowie i ostatki Mohikanów; pozostałby Irokezom, jawnym niezawodnym ich stronnikom, obrzydły wszelkie wojny - i Anglicy także.

Zatem Montcalm był górą. Czy jednak francuski dowódca należyście oceniał swych miedzianoskórych sojuszników?

Wiktora Iserhoffa, powracającego z towarzyszami po uroczystościach do Obidiwanu, trapiły przykre wątpliwości. Otóż w Montrealu, jeszcze przed wystąpieniem Montcalma, czystym przypadkiem dosłyszał rozmowę generała z oficerami. Działo się to na uboczu. Indian w pobliżu nie było, Iserhoffa zaś wzięto za jakiegoś ogorzałego trapera Francuza, bo miał jasne włosy i bujny broda - więc rozmawiano nie krępując się jego obecności. Wiktor rozumiał każde słowo, gdyż znał język francuski.

- Generale, z takimi sprzymierzeńcami - mówił wówczas z przejęciem któryś z młodych oficerów - nigdy nie damy się Anglikom!

Montcalm chwilę milczał, a potem nagle wykrzywił ironicznie wargi i odrzekł nadętym tonem:

o - Kapitanie, by może, może tacy sprzymierzeńcy lepsi niż Indiani... Ale tak czy siak dla mnie to tylko dzikusy!

- Generale, oni przecież różnieli Braddocka! ? - wykrzyknął zaskoczony kapitan.

- Braddock był zramolowanym idiotą! Sam wszedł w pułki.

- A jednak i w innych bitwach Indianie...

- A ja mówię wam, kapitanie - Montcalm uśmiechnął się ostrym, choć ciszonym głosem, bo widać nie zbliżył się kilku wodzów - może to są tylko sauvages! Jednego mojego żołnierza nie oddałbym za pięćdziesięciu czerwonoskórych!

Wiktor nie wierzył wBasnym uszom. Słowa Montcalma-były



zaskakującym zgrzytem. Obrazliwym i niepokojącym. Zatem wobec temu wszystkiemu, co tutaj się odbywało, generał w głębi serca ważył sobie Indian. Zatem cała ta pompa - to tylko mydlący nie oczu? Ale przecież Francuzi teraz szczególnie potrzebują wsparcia Indian! Czyby generał niepomny był tego? Albo tak załepił się go zaraz miało być, absurdalna pycha? Wiktor gubił się w niewesołych myślach! Na szczęście wyglądał, że inni oficerowie francuscy sądzą inaczej i pokrzepiali się.

Podczas wieczornego popasu, po całonocnym wiosłowaniu w dół rzeki Świętego Wawrzyńca, Wiktor niespodziewanie odezwał się do Ostrego Grota:

- Jak to dobrze, że w naszych lasach nie zagrażają nam Anglicy., I że nie musimy polegać na Montcalmie!

Ostry Grot podniósł brwi:

- Czyby nie ufał generałowi?

- Nie! Nie ufam mu! ‘?’..//

## 11. OSTATECZNY TRIUMF ANGLIKÓW

Markiz de Montcalm był może byłby zdolnym dowódcą. Lecz przede wszystkim był on arystokratą w każdym calu, przy tym człowiekiem o wygórowanym mniemaniu o sobie, dla którego na dobre sprawy jęczył osobistości z najwyższych sfer stanowiłyby godnych partnerów. Przetłumaczył, gdy ów wyrafinowany miłośnik filozofów Oświecenia i bywalec wykwintnych salonów paryskich zstąpił w Quebecu ze statku na brzoł z miejsca już okazywał jawny pogard tamtejszym urzędnikom i oficerom. Zarozumiałcowi jawili się oni wszyscy jako prostacy i nieokrzesani.

Rzecz prosta Indianie w jego oczach stali jeszcze o wiele niżej, Sauvages, dzikusy - Wiktor Iserhoff dobrze służył. Niemniej generał przecież nie w ciemię bity, pojmował jak bardzo Indianie będą mu potrzebni - stąd owo szumne spotkanie w Montrealu i przyjazne gesty!

Montcalm byłby nader pewny siebie - można by zatem rzec, że popełniał podobny błąd, jaki wcześniej zgubił Braddocka. Z tym jednak, że francuski generał miał zrazu rzeczywiście niebawem podstawy do zadozwolenia, Quebec, stolica i serce Nowej Francji, zdawał się niedostępny

“

dla zakusów wroga. Od wschodu osłaniała go potężna twierdza Louisbourg na wyspie Cape Breton, strzegła niczym cerber wejścia do Zatoki Świętego Wawrzyńca. Natomiast groźba bezpośredniego ataku z południa udaremniał pancerz przepaści, leżącej między posiadłościami francuskimi a koloniami angielskimi. Istniały tam wprawdzie dwie możliwe drogi wodne: Wielkimi Jeziorami i dalej w dół rzeki Świętego Wawrzyńca, a także wprost na północ jeziorem Champlaina i rzeką Richelieu - lecz żaden z tych szlaków nie martwił Montcalma. Dziki

kilku [wielkim] zwycięstwom przy wsparciu Indianca Bkowiec panował nad nimi i skutecznie je ryglował.

Lecz już w rok później, w 1758, nadeszła do Quebecu wieść, która wielu przyprowadziła o przyspieszone bicie serca. Otóż Brytyjczycy po oblężeniu Louisbourga i gwałtownym bombardowaniu z morza i lądu zmusili największą twierdzę Francuzów w Ameryce do kapitulacji. Ponad pięć tysięcy jej obrońców poszło do niewoli, a droga wodna do podboju Nowej Francji stała się otworem!

Czy Quebec może się oprzeć? Francuzi z nadzieją spojrzeli na broń miasta fortecy. Jej bastiony dźwigały się na imponującej skale o trzysta stóp ponad rzekę. Owo niedostępne urwisko już w 1608 roku [nazwał] Samuela de Champlain jako wyborne miejsce obronne. Się powstała tu twierdza zademonstrowała przekonująco w siedemdziesiąt lat później gubernator Frontenac, zmuszając do niesławnej odwrotu Anglików szturmujących ją wówczas po raz pierwszy.

Czy obecnie Montreal również wyjdzie zwycięzca? Na to dręczące pytanie odpowiedź miała nadzieję niebawem.

Generał, czyniąc niezbędne przygotowania obronne, rozesłał gońców do Indian, by ci spieszyli do niego. Szło mu głównie o wytrawnych zwiadowców, którzy [nieśli]by wszelkie poczynania Anglików.

Na owo nagłe wezwanie wnet stawiła się z Obidjuanu dwudziestka [młodych], prowadzona - jak i przed dwoma laty do Montrealu - przez Wiktora Iserhoffa i Ostrego Grota. Wszyscy oni zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, przeto niech do Montreala za jego uwaga poszła jak gdyby w niepamięć.

Szły gorące letnie dni 1759 roku. Wiktor Iserhoff obozował z druhami na wschodnim krańcu Wyspy Orleańskiej, leżącej nieco poniżej Quebecu. Z tego miejsca otwierał się daleki widok na rzekę Świętego Wawrzyńca. Jakiś czas trwał na wodzie niczym niezłomny; >kój, a]

61

którego [ranka] czujki francuskie i indiańskie wypatrzyły kilka obcych okrętów w dali. Była to czołwarka floty brytyjskiej sondująca rzekę, nie pojawiły się liczne fregaty i transportowce oraz niewiarygodna liczba mniejszych jednostek. Obserwatorzy na Wyspie Orleańskiej oniemieli z osłupienia: wielka rzeka przed nimi roiła się od okrętów wroga. Widok niezwykły, przejmujący dreszczem. Oto nadpływał potężna flota brytyjska z zamiarem zdobycia Quebecu i całej Nowej Francji. Liczyła grubo ponad tysiąc cięższych i lżejszych okrętów, a dowodził nią nie młody, ale wytrawny generał James Wolfe.

Wiktor Iserhoff z druhami i innymi zwiadowcami opuścili posterunki i na chyłkach kano pomknęli do miasta. Anglicy zaś spokojnie do Wyspy Orleańskiej i na niej wysadzili tymczasem swe oddziały. Wolfe miał pod swój komend 8600 żołnierzy i blisko osiemnaście tysięcy marynarzy.

Montreal nadal nie opuszczał pewnie siebie. Masywne szczyty i góry dawały dominującą nad rzekę twierdzę zdawała się nie do wzięcia. Istotnie napastnicy w kilkanaście dni później przy pierwszej

próbie desantu na reduty północnego brzegu zostali niezgorzej zdziśitkowani.

Wolfe, sparzony w niefortunnym ataku, zaniechał na razie dalszych szturmów. Zcignął natomiast z fregat cztery działka i ustawiwszy je na północnym brzegu, je ostrzeliwał miasto poprzez rzekę. Bombardierzy francuscy odpowiadali mu piknym za nadobne. Huku było dużo, lecz strat po obu stronach niewiele.

Mijały dni i tygodnie. Wolfe wciąż zwlekał, wciąż się czaił. Wprawdzie jego flota odcinała Quebec od Atlantyku, więc uniemożliwiała zaopatrywanie obywateli z macierzystego kraju, jednak Anglicy byliby w błędzie, gdyby wzięli z tym faktem większe nadzieje. Przy wieści o dźwignięciu miasta do kapitulacji nie wchodziło w rachubę, Spichrz był tam pełna, a blokada trwa mogła najdalej do grudnia. Później okrzyki ugrzgniętych w lodowych okowach.

Tedy przed Montcalmem stało proste zadanie: utrzymać się w twierdzy aż do nadejścia mrozów. Dla Wolfe'a zaś przeciwnie - z każdą upływającą dniem szanse malały. Tkwił tu już dłużej dwa miesiące, rozpoczął się wrzesień - czas naglił. Lecz angielski generał nie powahał się i dawał powtórnie pod srogimi paściami francuskich armat. Jak więc wymyślił fortel, na co się zdecyduje?

Montcalm rozesłał zwiadowców daleko wzdłuż brzegów rzeki, p>

62

Wypili każde poruszenie wroga. Anglicy mogli próbować desantu w jakiejś dogodnym miejscu powyżej lub poniżej miasta.

pewnej nocy Wiktor Iserhoff i Ostry Grot trwali na posterunku w niewielkiej zatoce, zwanej Anse au Foulon, która wrzynała się w wy-

żółtą skalną stromizną nadbrzeżną kawałek drogi w górę od Quebecu. przyjaciele wzięli sobie rozważali, czy nie podjechać na kanu cichaczem wśród pobliskich łodzi nieprzyjaciela, jak to nieraz czynili. Nagle Wiktor przerwał w pół słowa i skierował czujne ucho ku ciemnej toni.

- Słyszysz coś? - zagadnął szeptem druha.

- Tak, jakby plusk wiosła. Może to jaka nasza łódź, ale stąd nic nie widać. Wypłyńmy.

Odbili od brzegu, bezgłośnie wiosłowali. Gdy przecilił zatoczkę i dostali się na szerokie wody, mrok nieco się przetaił i o kilkadziesiąt metrów przed nimi zamajaczyła ciemna jakiejś łodzi. Jeszcze kilka ostrocznych pocigni i znieruchomieli jak wodne duchy. W obcej łodzi doliczyli się sześciu żołdaków przy wiosłach i jeszcze jednego, który ich szczególnie zaintrygował: co rusz przechylał się przez burtę, jakby coś sięgał z wody.

- To Anglicy - syknął Wiktor. - Gruntuj dno.

- Równiemy do nich? - Ostry Grot ujął strzelbę, która spoczywała na dnem kanu.

Wiktor skinął głową i też sięgnął po swój skałk. Broń mieli gotową do strzału. Obaj wzięli na muszkę

Anglika, który badał gębi. Kropni niemal równocześnie. Wszelako ten, do którego mierzyli pochylił się akurat i kule jemu przeznaczone ugodziły siedzącego za nim wioharza, uśmiercając go na miejscu.

W szalupie zakotwili się. Trzech wrogów już gwałtownie robi wiosłami, dwaj inni zabili za strzelby i usiłowali strzelać do łabeków, których dopiero teraz zobaczyli. Ponieważ jednak ich szalupa gwałtownie kołysała się, pudłowali sromotnie. Rychło więc dali spokój i wzorem towarzyszy porwali za wiosła. Wkrótce zniknęli w ciemnościach.

Wiktor i Ostry Grot z rana donieśli dowódcy straży, porucznikowi Charlesowi Rostand o przebieżeniu Anglików.

- Powiadacie, ile myśzkowali w pobliżu Anse au Foulon? - interesował się Francuz.

- Tak, u wejścia do tej zatoki.

- Ciekawym, czego psułaty tam szukali - zadumał się porucznik. Po czym rzekł spokojniejszym głosem: - Przecież niepodobna, żeby

63

w tym miejscu zamierzali desant! Chyba ile chcę pozbawić siebie zby w tamtejszych skałach! - parsknął miechem. Wówczas wtoczył się Wiktor:

- Istotnie, poruczniku, wszędzie tam wysokie urwisko. Jednak z tej zatoki prowadzi na górę skryta perstoma, to prawda, lecz możliwa do sforsowania. Z Oстрыm Grottem często z niej korzystamy.

Rostand przez chwilę borykał się z myślami, jednak przemożna samospokojenia ponownie wziął w nim górę.

- To w niczym nie zmienia sytuacji - zawyrokował. - Kilku wojaków może i wdrapałoby się tam, ale nie cała armia! To niemożliwe!

Na odchodnym jednak, powodując się bardziej poczuciem obowiązku niżli trapiącymi go wątpliwościami, rzekł:

- Na wszelki wypadek miejcie baczenie na tamto miejsce. I gdyby co, donoście o wszystkim!

Niebawem porucznikowi owa sprawa wypadła całkiem z pamięci, uważał ją za mało znaczącą i pochłonięty innymi obowiązkami. Gdyby jednak kierował się przezornością i jeszcze raz uważnie zbadał skalny skarp, nad zatoką, to by mógł zobaczyć, dlaczego nieprzyjaciel wbił podwiatło. A już na pewno ogarnąłby go niepokój, gdyby wiedział, do kogo wówczas celowali i chybili dwaj nocni zwiadowcy Ów Anglik, który szczęśliwie uniknął kul, zwał się James Cook i jemu w ogromnej mierze Wolfe zawdzięczał dotarcie pod Ouebec bez straty jednego nawet okrętu. Był to wyczyn niełatwy, jeżeli pomyśleć, że Związek Wawrzyniec jest istnym labiryntem wysp i wysepek, zdradliwych miejsc i przemieszczających się piasków, groźnych progów i czyhajcy pod powierzchnią głazów. A Francuzi, rzecz jasna, usunęli z góry wszelkie znaki nawigacyjne. James Cook był wtedy

trzydziestolatkien i dopiero roiB o odkryciach, które miaBy go wynie[ na najwy|sze szcze ble sBawy. Anglicy jednak|e ju| wówczas poznali si na jego fenome nalnym darze |eglarskim i jemu powierzyli odpowiedzialne zadanie wyszukania bezpiecznej drogi w[ród tej wodnej pltaniny. I Cod wywizaB si znakomicie.

ZrozumiaBe, |e je[li taki czBowiek przetrzaB wej[cie do zatoki Ansf au Foulon, to bynajmniej nie robiB tego dla czyjego[ widzimis, Ieczz? kryB si za tym okre[lony cel.

Szcz[ciem porucznik Rostand miaB dwóch czujnych zwiadowców

Jako| niezadBugo Wiktor i Ostry Grot powiadomili go o frapuj cye‘ 1

64

II

PadB generaB Montcalm - szeregi francuskie poszBy w rozsypk... s. 68

>

3

r-t-” 7? ffi

>

I h

.

s= “

£2- > %

0 0.

“

“9

l %\$.p>

i? >

03 g %3

i do osta 0 A> > szalup UBamek wica roz urwiska

r-h N ! £

1-1

I h

7 g

Ig-

^ CD

o 3

f? O ^ C?

£3

o -

-; s—

05

S'«'S. '« c

40

” Sf-

& 7

ESI Cb

05 O

a o :- “-<

CC r^-

Q-05

O O-

-¥ f?

& 9-g

pięć

os

w

a

o

er a m

3 3 p

afS g” 8 ^ 2 £ : &

70 6

o i-i !

poczynaniach wroga na przeciwległym brzegu. Porucznik przybył na wskazane miejsce z lunet w garści. Po dokonaniu lustracji, odejmując instrument od oka, odezwał się zmienionym głosem:

- W istocie, oni chyba stamtąd mierzą strumień nad nasz zatok. Wic jednak knuj coś z tego tutaj... - w oczach Francuza, spoglądającego na dwóch junaków, zamigotało uznanie.

Sztab francuski, poruszony sygnałem Rostanda, odkomenderował regiment piechoty do wartowania na szczycie podejrzanego urwiska.

Po kilku jednak dniach Montcalm nie wiedział dlaczego odwołał - ku zdumieniu wielu - regiment z powrotem do cytadeli. Może pragnął mieć wszystkie siły pod ręką? Albo te uważał za niedorzeczne, wysłane z palca przypuszczenie, że Anglicy powalą by się tam mogli na desant? Trudno dociec, czym się kierował.

W każdym razie stało się...

Na szczycie skalnej wyniosłości pozostali znowu osamotnieni Algonkinowie. Pierwsza noc po odmarszu oddziału zdarzyła się osobliwie spokojna i czarna. W powietrzu czuć się nadchodzący burz. Niebaskawy wicher niósł od wschodu obłędne chmury, pełne głuchych pomruków. Później jednak niebo ucichło, a ciłkie obłoki jakby nieco się rozpełniły, wszelako nadal panowały nieprzeniknione ciemności.

Koło północy czuwający na posterunku Ostry Grot, obdarzony uchem czującym jak sowa, zaniepokoił się czymś i zbudził towarzyszy.

- Tam w dole, w zatoce, chyba są obce łodzie! - wyjął. - Słyszałem chrobot wiosł o burt i inne szmery.

Zwiadowcy przyczaili si na krawdzi urwiska, lecz w mroku nic nie mogli dojrze. Naraz spóźniona bByskawica rozwidniBa niebo i rzuciBa troch blasku w czelu[ pod nimi. UBamek sekundy po[wiaty wystarczyB - zdbieli! 0 sto stóp niżej pi szalup staBo przy kamienistym brzegu, a z nich wysypywali si |oBnierze w czerwonych mundurach. Kilkana[cie dalszych wypeBnionych do ostatniego miejsca wojskiem Bodzi wpBywaBo do zatoki.

- A wie jednak tutaj lduj! - szepnB nieswoim, zduszonym gBosem Wiktor. - Zaraz zaczn pi si w gór. Ani chybi, gdyby byBo nas więcej, powstrzymaliby[my ich. A tak musimy wezwa natychmiast Francuzów. Popdz po nich z Oстрыm Grotem, a wy tymczasem tu warujcie! - rzuciB ku pozostaBym Algonkinom, którzy skinli gBowami na zgod.

Droga do garnizonu zabraBa dwom zuchom niespeBna kwadrans

5 - Ród Indian.

; ) 65

szaleDczego biegu. Pomy[lnym zbiegiem okoliczno[ci zdyszani trafili na porucznika Rostanda, który peBniB akurat nocn sBu|b. Porucznik z miejsca pchnB czterech wartowników, których miaB pod rk, w stron zatoki, sam za[ zameldowaB si z grozn nowin w kwaterze gBównej.

Montcalm ostatnio zle sypiaB i Batwo ulegaB rozdra|nieniu, tote| kiedy go zbudzono, wpadB w kwa[ny nastrój. Co gorsza do meldunku odniósB si z niedowierzaniem i uznaB go za zbyt alarmistyczny. Gdy przyprowadzono do niego Rostanda, warknB niechtnie:

- Chcecie, poruczniku, |ebym postawiB na nogi caBy garnizon! A czy upewnili[cie si chocia|, |e to na pewno desant, a nie zwyczajna wywiadowcza wycieczka wroga?

- Wiadomo[ mam od wypróbowanych tropicieli...

- Co to za jedni?

- Dwaj Algonkinowie znam ich, uszy i oczy maj otwarte!

- Indianie?! - wybuchnB urgliwie generaB i gBosem wibrującym od ledwo tBumionego gniewu dodaB: - Poruczniku, waszym elementarnym obowizkiem byBo najpierw sprawdzi, czy owi sauvages aby si nie myl! Wszyscy oni skorzy do butelki, a w pijanym widzie zoczy mog niejedno!

- Generale - skuliB si Rostand - wysBaBem tam niezwbocznie czterech |oBnierzy. Lecz dotd nie dali znaku.

- Wic wy[lijcie jeszcze czterech! - zgrzytnB Montcalm.

- No tak, ale nim oni wróc...

- Dosy ju! Wykona rozkaz! - uciB ostro generaB.



Tak oto Montcalm trwonił bezcenny czas. Niezrozumiało opieszało Francuzów wprawiając Wiktora i jego druha w rosne z każdą chwilą zdumienie i niepokój. Cigle jeszcze budzili się, ale regimenty pomknęły wreszcie naprzeciw wroga - jednakże nic z tego. Nikt nie trąbił na alarm, w twierdzy panowała niepojęta cisza.

- Poruczniku, dlaczego nic się nie dzieje? - nalegał Wiktor na Rostanda po raz któryś już, odkąd tamten wrócił z kwatery głównej. - Każda chwila droga!...

- Mamy czekać, a tych o których wróci z językiem - wycedził głuchym głosem Francuz.

- Po cóż jeszcze czeka?! Przecież my widzieliśmy! - nalegał oburzony Wiktor.

- Taki rozkaz - burknął tamten. Był wściekły na Montcalma. Tym

66

dwóm za nie wiedział, co odpowiedzieć. Cóż miał im bowiem rzec? %e generał gardził Indianami i nie ufał im, nawet w takiej chwili? Porucznik z trudem skrywał zmieszanie - i żeby uniknąć kolejnych kłopotliwych pytań, czym prędzej oddalił się niby w jakichś ważnych sprawach.

Wiktor i Ostry Grot machnęli wreszcie ręką na regimenty francuskie i sami pomknęli co tchu ku zatoce. Tam przecież zostawili towarzyszy w obliczu wroga. W pobliżu drogi zderzyli się nieomal z dziesięcioma ludźmi sadzonymi z przeciwka. To byli ich Algonkinowie i jeden Francuz w mundurze. Wszyscy stanęli jak wryci.

- Tam chmary Anglików! Setki ich, moje tysiące! - wykrztusił, z trudem bapnąc oddech, Skóry Rył, krewniak Wiktora. - Ledwo wyrwaliśmy się z ich bap! Nie znam losu pozostałych naszych dziewięciu Indian. Moje uszły gdzie indziej i gdzie? Także Francuzi, którzy przyszli do nas, zniknęli nam z oczu, prócz tego jednego.

- Mówcie, Wiktorze, Ostry Grot, gdzie oddziały Montcalma? Czy już cigną? - domagał się wyjaśnienia kilku innych Algonkinów.

- Nie ma ich! - gniewnie parsknął Wiktor.

- Nie ma? Jakże to?! - Indianie zrobili wielkie oczy.

Wiktor nie zdążył nic więcej powiedzieć, słońce uwiznęło mu w gardle. Wczesny świt zbudził przyrodę i rozjaśnił widnokrąg. Obszerna równina o niespełna mil dalej, zwana Bonniem Abrahama, zarojona od czerwonych postaci, poruszyła się karabinami i formującymi się w szyki bojowe. Algonkinowie wzdrygnęli się i spojrzeli w milczeniu po

sobie.

Tak to Montcalm szkaradnie pokpił sprawą. Drogo opłacił swoje zarozumiałe, swe krótkowzroczne zadufanie i arogancję. Dotychczas on był górą, on trzymał Wolfe'a w szachu. Teraz za wszelką jego przewagę rozwiała się jak dym na wietrze. Teraz Anglicy dostali się na jego tyły i grozili szturmem

na sBabsze w tym miejscu warowne mury Quebecu. Aleby ich zatrzyma, przyjdziem u wyprowadzi swe hufce z twierdzy na przedpole miasta i stoczy z wrogiem waln bitw w du|o gorszych warunkach.

Jakkolwiek mordercza walka miaBa dopiero rozgorze, to wynik jej byB ju| w istocie przesdzony. Montcalm straciB bez maBa gBow, jego dotychczasowa pewno[ siebie prysnBa jak baDka mydlana. Otaczajcy go oficerowie nie mogli go pozna. Wszystkich Francuzów ogarnB niepokój. Przenikliwe gBosy trbek brzemiaBy im jak jazgot [mierci.

-‘67

W formowanych na gwaBt szykach zna byBo nieBad.

Montcalm, chce jak gdyby powetowa straony czas, co rychlej ruszyB do natarcia, dziaBaB jednak bez nale|ytego przygotowania. Jego |oBnierze ju| z daleka nerwowo strzelali do Anglików, tamci natomiast trwali z zimn krwi w zastygBych szeregach i nie odstrzeliwali si, jeno nastawili pyski luf ku nadchodzcy. Dopiero gdy odlegBo[ między pierwszymi liniami wrogich wojsk skurczyBa si do czterdziestu kroków, na dany przez Wolfe’a sygnaB Anglicy bluznli ogniem. Ich kule niczym okrutny bicz uderzyBy w Francuzów, siejc straszliwe zniszczenie. Jki konajcych i rannych gBuszyBy zdesperowane krzyki oficerów. A gdy na oczach wszystkich padB Montcalm, trafiony [miertelnie, szeregi francuskie poszBy w rozsypk i |adna siBa nie byBaby zdolna powtrzymać |oBnierzy od panicznej rejterady na Beb na szyj.

SBawetna bitwa na BBoniach Abrahama zostaBa rozstrzygnita nad podziw szybko. Wprawdzie w chwili swego wspaniaBego zwycistwa polegB na placu boju równie| generaB Wolfe, dosignity zBkkanym pociskiem, lecz to nie miaBo ju| wiksze znaczenia. Anglicy triumfalnie zajli Quebec, a niebawem wBadali caB Now Francj. Ich zwycistwo ostatecznie przypieczytowaB pokój paryski zawarty 10 lutego 1763 roku. Na jego mocy w Ameryce PóBnocnej Kanada oraz wszystkie ziemie na wschód od Missisipi, a nawet hiszpaDska Floryda przypadBy Wielkiej Brytanii.

Gorycz klski uderzyBa obuchem równie| w wojowników indiaDskich. Najwierniejsi z nich do koDca wytrwali u boku Francuzów, chocia| dla tych synów puszczy walka na otwartej przestrzeni na przedpolu Quebecu wedle kanonów europejskich byBa szczególnie mordercza. Wielu Indian padBo bohatersko, w[ród nich tak|e sze[ciu Algonkinów z grupy Wiktora Iserhoffa i Ostrego Grota. Z dwudziestoosobowego oddziaBu z Obid|uanu ostaBo si tylko picciu dzielnych, poniewa| ich wcze[niej zaginieni towarzysze nad zatok Anse au Foulon -zwan otd Zatok Wolfe’a - nigdy wiecej nie dali znaku |ycia.

Gdy zgieBk bitewny ostatecznie ucichB, Wiktor, Ostry Grot i trzej pozostali Algonkinowie - wszyscy pokryci ranami - przytaili si na wzgórz u opodal Quebecu, skd wida byBo miasto jak na dBoni. Stamt| ze [ci[nitymi sercami obserwowali, jak z wyniosBego masztu nad twierdz zsunBa si biaBa flaga z liliami, a na jej miejsce wpBynB brytyjski czerwony krzy| [witego Jerzego. I ka|dy z nich dobrze wie—

68

dziaB, |e Bopoczcy wBadczo nowy sztandar zwiastuje oto wielkie ny na tej ziemi.

## 12. NIEPOKOJE PO ZAWIERUSZE WOJENNEJ

Wynik wojny między Angli i Francją stawia Indian w położeniu nie do pozazdroszczenia. Dotychczas biali ludzie - głównie Francuzi - zabiegali o nich, liczyli się z nimi jako z cennymi sojusznikami, odgrywającymi rolę często znacznie doniolejszą niż tylko życzonka u wagi. Z kolei Indianie w zalętych walkach z naporem osadników angielskich, zawsze mogli oczekiwać cichego bądź jawnego wsparcia Francuzów. Teraz za plecami sam na sam wobec całej potęgi kolonii angielskich i ich brutalnego marszu na zachód. Wojska w czerwonych mundurach bezkarnie przecierały przez puszczyzny, wzdłuż których wyrastały forty jak grzyby po deszczu. Wokół warowni powstawały niebawem ludne osiedla. W gęstych dołach ostpy coraz natarczywiej wdzierały się boskotopie.

Indianom przyszybło uczyni ponury obrachunek. Ta wojna ich osłabiła, przepełniła serca gorczą. Wśród plemion wspomniano Sowa Hendricka, sławnego sachem Mohawków, wypowiedziane jeszcze podczas zmagania. Któregoś razu ten wódz uniósł suchą gałąź z ziemi, rzucił ją za siebie i powiedział do białych: „Którzy do was przybyli”.

- Tak samo i wy nas odrzucicie, gdy tylko przestaniemy być wam potrzebni!... Gubernator Wirginii i gubernator Kanady walczą ze sobą o obszary, które w istocie do nas należą, tedy ich walka jest dla nas zbyteczna!

Gorzkie, przewidujące słowa.

Osadnicy angielscy, pozbywszy się francuskiego zagrożenia, nabrali jeszcze większej hardości i pogardy wobec czerwonoskórych plemion, z których niejedno zmuszone było prosić zwyczajów o rozejm.

Nie wszyscy jednak wojownicy myśleli ugiąć karku przed najeźdźcami. Wśród owych niepokonanych przymknął Pontiac, rozumny i jednocześnie męśny aż do zuchwalstwa wódz Ottawów. Zjednoczył on zagrożone plemiona w Krainie Wielkich Jezior i w 1764 roku uderzył na zaborców, licząc, że zdoła ich wyprzeć daleko na wschód, aż poza

69

szczyty Appalachów, skąd przybyli.

Niestety, wielkie dzieło przerastało się Indian. Gromili wprawdzie wroga w mniejszych potyczkach, jednakże trzy kluczowe forty Anglików: Pitt, Niagara i przede wszystkim Detroit, oparły się ich atakom. Koniec kości powstanie upadło. A Pontiac zginął z ręki współplemieńca-renegrata, jak Metacom w poprzednim wieku, jak Sitting Bull, wódz Siuksów, w wiek później.

Słuchy o wojnie Pontiac wywołały niemałe poruszenie także wśród Algonkinów nad rzeką Świętego Maurycego. Niejeden junak z Obiduanu gotów był pospieszyć z pomocą bohaterom powstańcom. Wszakże ochotnicy napotykali poważne przeszkody. Szlak do odległych Wielkich Jezior wiodł rzeką Świętego Wawrzyńca, a nad nią panowali przeciw niepodzielnie Anglicy, którzy wychwytałiby powstających wojowników.

Gdy pomimo wszystko kilkunastu zuchów zdecydowaBo si zaryzykowa przepraw, dotarBy nowe, zBe wie[ci o koDcu walk. ByBo ju| za późno.

Rozjuszeni Anglicy, tBumic po|og, nie przebierali w [rodkach. Bezwzgladni, uciekali si do najdrastycznych posuni w my[l zaleceD lorda Jeffreya Amhersta, ich gBównodowodzcego w Ameryce PóBnocnej, który tak oto pisaB:

Nie nale|y traktowa Indian jak wrogów, ale jak najbardziej nikczemne spo[ród stworzeD zamieszkujcych t ziemi. Wytpienie tych podBych istot bdzie uwa|ane za czyn wysoce po|yteczny”. Owe bestialskie wskazania najgorliwiej wcielaB w |ywie sam Amherst. Kiedy[ na przykBad ze swymi oficerami rozwa|aB, co snadniej zBamie opór Indian: tropienie ich psami czy te| zawleczenie do ich wiosk ospy. O odpowiednie psy byBo wtedy trudno, wie tym skwapliwiej podrzucono Indianom ska|one osp chusty i koce ze szpitalika Fortu Pitt - byBo to pierwsze bodaj w dziejach posBu|enie si z premedytacj broni biologiczn. Lord Amherst mógB sobie pogratulowa: zara|eni czerwonoskórzy ginli jak muchy.

Nie mniej haniebnym [rodkiem posBu|yB si gubernator królewski w Pensylwanii, wnuk Williama Penna. WydaB on odezw przyrzekajc sowite nagrody za skalpy wrogich Indian, czym zmobilizowaB naj-nikczemniejsze elementy bandyckie w[ród biaBych.

Okrutny los przypadB w udziale plemionom, których ziemie przyncaBy po|dliwy wzrok wiecznie gBodnych biaBych osadników.

Inaczej zgoBa rzecz si miaBa w póBnocnej puszczy. Farmerzy i ho—

70

dowcy stronili od tamtejszych otchlanych terenów, jako |e nie przedstawiaBy dla nich |adnej warto[ci. Na skutek surowego klimatu i skalistego podBo|a trudno tam byBo o skrawek ziemi zdanej do rolnictwa. Przeto póBnocni Indianie nadal za|ywali spokoju i wiedli jak wprzódy |ywot my[liwców dostarczajcych skór faktoriom. A agenci Hudson’s Bay Company zacierali rce, przekonani, |e czekaj ich teraz prawdziwie tBuste lata. Wobec upadku Francuzów któ| im bowiem stanie na drodze do przejcia caBego handlu z plemionami?

Tymczasem jakie| zaskoczenie! Oto z dnia na dzieD wyrósB przedwcze[nie tryumfujcej Kompanii nowy, nieoczekiwany rywal. Tp ich rodacy, gBównie Szkoci, zjawili si w Montrealu, powodowani |dz zbicia majtków na futrach. Ludzie twardzi, piekielnie obrotni. I szczwani, bo korzystajcy z przebogatego do[wiadczenia starych wyg le[nych: francuskich couriers de bois i voyageurs, których godzili na przewodników i wio[larzy. Owi szkoccy montrealczycy peBni ognistego wigoru dokazywali niesBychanych czynów. Ich tgi rozmach wzrósB jeszcze, kiedy si zjednoczyli i utworzyli Kompani PóBnocno-Zachodni.

Niezmordowani udziaBowcy i wysBannicy owej Kompanii - Mac-kenzie, Frasier, Thomson i wielu innych - przebiegali ziemie, po których nie stpaBa dotd stopa biaBego czBowieka; pierwsi ldem przebili si do Pacyfiku, dotarli te| do Morza Arktycznego. I wszdzie w dogodnych miejscach nad jeziorami i rzekami zakBadali placówki, przecinajc futrzane arterie tak hojnie dotychczas zasilajce

faktorie nad Zatok Hudsona. A chocia| przychodziBo im boryka si z nie lada trudami -odlegBo[ z Montrealu do nowo odkrytego spichlerza skórek futerkowych nad jeziorem Athabasca wynosiBa, bagatela! 3000 mil uci|liwego szlaku, podczas gdy droga z Zatoki Hudsona byBa trzykro krótsza -to jednak oni byli gór i skutecznie sprztali skórki rywalom sprzed

nosa.

Nic dziwnego, |e zajadBa wrogo[ rozjtrzyBa si w lasach. A jednocze[nie agenci obu kompanii prze[cigali si w schlebaniu Indianom, nadskakiwaniu im i przekupywaniu na swoj stron.

Indianie przecierali oczy - tego jeszcze nie byBo. Na oszoBomionych sypaBy si podarki; nawet jako[ towarów im oferowanych cokolwiek si polepszyBa, a ich ceny jakby spadBy. Przede wszystkim jednak agenci szafowali rumem jak nigdy dotd. Przy[wiecaB im bowiem j eden jedyny cel: aby w zachBannej, gorczkowej, rabunkowej wreszcie pogoni za

71

skórkami wyprzedzi za wszelk cen konkurentów. Takie postpowanie kBóciBo si z najgBbszymi przekonaniem le[nych Indian, którzy nie zabijali zwierzt ponad miar czy niepotrzebnie. Wszelako obecnie niektórzy z nich, sBabsi duchem, ulegali natarczywo[ci handlarzy i ich ognistemu trunkowi. I tak oto BamaBy si dawne prawa |ycia w puszczy; gór braBo prawo kBów i szponów.

Najwspanialszym zwierciem póBnocnych ostpów byB z dawien dawna amik-bóbr, dobry duch zaktków le[nych, uciele[niajcy wszystko to, co szlachetne w puszczy. Indianie, jakkolwiek polowali na bobry, |eby zarobi na |ycie, niezmiennie otaczali szacunkiem te roztropne i pracowite stworzenia, uwa|ajc je za swych MaBych Braci. Pono starzy Indianie rozumieli nawet niektóre odgBosy wydawane przez bobry w ich osobliwym jzyku, tak uderzajco podobne chwilami do gBosu czBowieka.

Handlarze wBa[nie na skóry bobrowe spogldali najchciwszym okiem. A poniewa|, amik-nie potrafi zatai swej bytno[ci w lesie i jak |aden inny zwierzak futerkowy bywa nara|ony na |elaza, przeto niebawem zgromadziBy si nad nieborakiem grozne chmury.

ZBe instynkty ludzkie wkradBy si równie| midzy Algonkinów nad rzek Zwitego Maurycego.

Wiktor Iserhoff - ten sam, który uczestniczyB przed wierwieczem w bitwie o miasto Quebec, a obecnie jakkolwiek dobiegaB sze[dziesiątki, wci| byB krzepki niby db - wBadaB rozlegBym Bowiskiem, które graniczyBo od póBnocy z terenem V5335'0. Pierre, my[liwy w sile wieku, pochodziB z rodu ABasziszów. Przylegajce do siebie obszary obu traperów rozdzielaBo wskie a dBugie rynnowe Jezioro ZBotych Brzóz. Którego[ lata do owego jeziora przywdrowaBy bobry i zaBo|yBy tam koloni, która z roku na rok pomy[lnie si rozrastaBa. Wobec tego Wiktor Iserhoff i Pierre dogadali si, |e bd odBawiali bobry we wspólnym jeziorze na zmian, ka|dy z nich co drugi rok, baczc jednak, aby zwierzaki nie ucierpiaBy zanadto z ich rk. I w istocie, mno|ce si |eremia [wiadczyBy dowodnie, |e |aden z ssiadów, jak dotd, nie nadu|yB swych uprawnieD.

13. RZEZ BOBRÓW

A] oto nadeszBa owa pamitna wiosna roku 1785. Na obliczach Indian, którzy [cignli wBa[nie do Obid|uanu ze swych zimowych terenów, zna byBo frasunek. Aowy nie dopisaBy, mieli maBo skóry. Chyba tylko jednemu Pierre'owi dobrze si powiodBo. Nadspodziewanie dobrze. Wprawdzie on sam niechtnie o tym wspominaB, lecz przecie| nie mogBo uj[ uwagi wielu Indian, |e handlarz z Montrealu, Jack Macdonald, coraz to wynosiB pki skór bobrowych z jego wigwamu.

Wiktor Iserhoff, . podobnie jak inni, znaB Indianina V5335'0 jako skorego zwykle do my[liwskich wynurzeD, teraz za[ gdy do niego przyjaznie przystpiB, ten zbyB go nader zimno.

W Iserhoffle zrodziBo si przykre podejrzenie. PeBen rosnecego niepokoju, niedobre przeczucia BczyB z Jeziorem ZBotych Brzóz - tej zimy Pierre nad nim BowiB. Czy|by jego obfite zapasy skór wBa[nie stamtD pochodziBy? Uderzajca zmiana, jaka zaszBa w zachowaniu V5335'0, nie wró|yBa nic dobrego. Wiktor, szarpic si jaki[ czas w rozterce, którego[ ranka zerwaB si skoro [wit z mocnym postanowieniem odwiedzenia jeziora. Jako| po kilku dniach przebijania si przez dzicz stanB na miejscu. I w jednej chwili odczuB, |e nastpiBo tutaj co[ zBego. Nieruchoma tafla wodna rozpo[cierajca si przed nim ziaBa zBowrog pustk. Nie dojrzaB ani jednego bobra, a przecie| dawniej w tym miejscu licznie si krztaBy.

Wiktor nie posiadaB si z gniewu: przed sob miaB |aBosne pobojuwisko. Gdy nieco ochBonB, starannie zbadaB opustoszaBe |eremia w jeziorze i ustalilB- |e ich mieszkaDcy zostali do ostatniego wychwytni w sidBa. Tylko w jednym domku daleko na uboczu ostaBy si cztery arniki: dwa dorosBe i para malców.

Nie darmo zeszBej jesieni handlarz Macdonald zaopatrzyB V5335'0 w nader bogaty wybór |elaz i innych puBapek. A] kilku Indian dziwiBo si wówczas, na co mu taka fura |elastwa obci|ajca sanie.

Wróciwszy do Obid|uanu, Wiktor ostro za|daB, by Pierre wytBumaczyB si z rzezi popeBnionej na ich wspólnych bobrach.

- Przecie| moja byBa kolej Bowienia. Wic BowiBem... - przyznaB si tamten obco, sucho. Jego oddech trciB rumem. Obok niego przed wigwamem siedziaB handlarz Macdonald. ByB on dryblasem o zwali—

73

stym cielsku i o zuchwaBych oczach. Na widok wzburzonego Iserhoffa szyderczy u[mieszek zastygB handlarzowi na ustach.

Wiktor nie ufaB Macdonaldowi, odkd ten tylko zjawiB si w Obi-d|uanie. Inni my[liwi dawali si jednak bra na lep jego podarków i rumu. A ju| szczególnie, niemal sBu|alczo, poddawaB mu si Pierre.

- Moja byBa kolej - powtórzyB z pijackm zapamitaniem Pierre.

- WygubiBe[ caB koloni bobrów, dlaczego?! - huknB na niego Iserhoff. - Dlaczego?!

- Cz[ zostawiBem przy |yciu! - zje|yB si tamten.

- Tylko jedno |eremie! Podle postpiBe[, Pierre! {dam, |eby[ przynajmniej oddaBmi to, co moje!  
{dam sprawiedliwej poBowy skórk!

ZalegBa peBna napicia cisza. Po chwili w oczach V5335'0 powstaBy k[liwe bByski.

- {dasz skórk? - burknB. - Za późno przyszedBe[, bracie. Ju| ich nie mam. Jack zabraB wczoraj ostatnie. Za to mog ci odstpi sBuszn porcj rumu! - Indianin wykrzywiB si drwico.

Ponownie nastaBa cisza, sBycha byBo tylko trzask pBoncego ogniska. Wiktor zmierzyB V5335'0 spojrzeniem peBnym pogardy, po czym o[wiadczyB z caB moc:

- W takim razie sam dojd swej sprawiedliwo[ci! Wiem, |e masz na swoim terenie, i to nie opodal Jeziora ZBotych Brzózk, siedlisko bobrówk w Wijcym Si Strumieniu, które oszczdziBe[. Przeto wiedz, |e zabior stamtd cz[ zwierzt i przenios je |ywe do Jeziora ZBotych Brzózk, by zapeBniBy jego wody. Równocze[nie uprzedzam ci, aby[ otd trzymaB si z dala od tego jeziora i nigdy wiecej nie wa|yB si tam zabija!

Iserhoff nie nale|aB bynajmniej do takich, którzy rzucaj sBowa na wiatr. Wkrótce podjB przygotowania przed zapowiedzian wypraw po bobry. Wraz z dwoma synami, którzy mieli mu towarzyszy, sposobiB |elaza w taki sposób, |eby zatrzaskujc si nie wyrzdaBy krzywdy pojmanym zwierztom. Wszak|e nie spieszyB si zanadto. CzekaB bowiem, a| maBe arniki, które nie tak dawno przyszyB na [wiat w |eremiach, podrosn na tyle, by mogBy wy|y same w razie utraty rodzicówk. .

“Zanim jeszcze nadszedB wBa[ciwy czas, przyjaciele Wiktora donie[li mu, |e Pierre cichaczem zniknB z sioBa. PrzepadB w kniei z dwoma krewniakami, a wszyscy trzej uzbrojeni byli pono w strzelby i wszelk inn broD. Wcze[niej za[ widziano, jak Pierre szeptaB co[ na stronie

74

z Macdonaldem, przy czym raz po raz bByskaBy mu oczy niby zBemu rysiuwi.

- Miej si na baczno[ci, Wiktorze! - przestrzegaB go stary druh, Ostry Grot. - Pierre mo|e posun si do najgorszego! Odkd zaczB pi, jego my[li staBy si czarne. W gstwie nad wod nietrudno o podstpn zasadzk...

- Nie sdz, |eby powa|yB si strzela do nas. Chocia| kto go wie?... Iserhoff w gBbi podzielaB niepokójk Ostrego Grota i opuszczajc

Obid|uan - byBo to jakie dwa tygodnie po zniknieciu V5335'0 - prze|ywaB dotkliw rozterk. ByB [wiadom, |e je[liby dosigBy ich w lesie skrytobójkze kule albo gdyby oni upu[cili krwi tamtym, wówczas mogBoby doj[ u Algonkinówk do groznego rozBamu i mnych zgubnych nastpstwk. Za Pierrem stanBby na pewno liczny zastp ABasziszówk, do których nale|aB, a i po stronie Wiktora opowiedziaBoby si niemaBo bliskich i przyjaciówk.

Pomimo wszystko Wiktor gotów byB postawi twardo na swoim. PadB ofiar bezczelnej nieuczciwo[ci i nie mókB obrazy pu[ci pBazem, ju| choby ze wzgldu na swoj pozycj w szczepie.

Jako po dwóch dniach wiosłowania i dzwigania kanu przez przewłoki Wiktor z synami dotarł w pobliżu Wójciewego Si Strumienia. Dla ostrożności ukryli starannie kanu w chaszczach porastających brzeg niewielkiego jeziora i reszt drogi przebywali łodem. Kroczyli z wolną masą ustroniem, grzyskim i trudno dostępnym, przepatrując okolicę i nastawiając ucha. Wreszcie błąd przed nimi zza drzew tafla szerokiego rozlewiska utworzonego w tym miejscu przez bobry, które nieco niżej przeciwnie Wójciewemu Si Strumieniu tam.

Byli u celu; zdwoili czujność. Rozsuwając delikatnie, bez jednego trzasku gałki nadwodnych krzewów, podpełzli ukradkiem do rozlewiska. Wokół nich unosiły się błotne wyziewy, a nad głowami brzęczały roje natrętnych komarów. Wszyscy trzej pełni skupienia lustrowali pogłębione w martwej ciszy przestwór wodny, obramowany zwartą zielenią.

- Osobliwy tu spokój - szepnął Skory Ryś, młodszy z dwóch synów Wiktora.

- Mnie się ten spokój wcale nie podoba - wtrącił jego starszy brat, Kroczy Niedzwiedz. - I nie widzę bobrów!

Wiktor i Skory Ryś też ich nie widzieli. Obserwowali uważnie kilka łęczy sterczących z wody w zasięgu ich wzroku, a także przeciwległy

75

brzeg, gdzie walały się [ciete i nadgryzione drzewa - lecz bez skutku, nigdzie bodaj jednego krztajcego się arnika. Z nagła Skoremu Rysiowi wyrwał się z gardła stłumiony okrzyk:

- Tam, po drugiej stronie, jest pułapka z pojmanym bobrem! Wiktor, który w chwili potem także ujrzał wypatrzone przez syna

ślad po niewymyślnym zwierciem, rzekł:

- To robota V5335'0 V tamtych dwóch. Widać postarali się już o to, żeby bobry nie wpadły nam w ręce.

- Sdzisz, ojczu, że wybili je wszystkie?

- Nie zdziwiłbym się...

- Bodaj ich piorun trzęsł! - zgrzytnął porywczy Kroczy Niedzwiedz.

Posuwając się wzdłuż brzegu znaleźli liczne [łady, które utwierdziły ich w przekonaniu, że Pierre i jego pomocnicy byli tu dopiero co i uganiaли się za bobrami. Nie zawahali się nawet uszkodzić poważnie w kilku miejscach tamy; zwierzęta, zatykające gorzkowo wyłomy, łatwo padały bupem zastawianych tam ścieżek.

Odnalazłszy miejsce, w którym tamci obozowali, Wiktor stwierdził:

- Wynieśli się stąd w popiechu jakby czymś spłoszeni. By może, że nas zwszyli! Zapomnieli nawet o



puBapce, któr wykryB Skory Ry[.

- Cól std, |e czmychnli, skoro zd|yli, psubraty, zaBatwi si z bobrami? - wycedziB Kroczy Niedzwiedz.

Istotnie, z caBej licznej kolonii w rozlewisku ostaBa si tylko jedna bobrza rodzina; inne |eremia staBy wymarBe. W tej sytuacji dwaj mBodzieDcy jli si namawia póBgBosem, jak pojma bez wikszeo zachodu owe ostatnie arniki. Raptem wtrciB si Wiktor:

- Dajcie spokój! Nie ruszymy tych bobrów!

- Jakle to?! - zaperzyli si junacy. - Nie zabierzemy ich do Jeziora ZBotych Brzóz?

- WolaBbym nie, ich miejsce jest tutaj.

- Mamy zostawi je Pierre'owi? - |achnB si Kroczy Niedzwiedz - Czy on nie dosy nam winien?

- Jednak lepiej bdzie, je[li bobry tu zostan - odparB spokojnie ojciec. - Zwa|cie, |e nie chciaBbym opuszcza tego miejsca obarczony my[l, |e zostawiam za sob pustk. Przekonany jestem, |e i wam byBoby nieswojo...

Dwaj synowie, jakkolwiek srodze burzyBy si ich serca przeciwko Pierre'owi i jego gaBgaDstwu, uszanowali wol ojca i wnet przyznali

76

mu racj . Owe ostatnie zwierzaki - niezale|nie od wszystkiego - nale|aBo zostawi w spokoju i da im szans ponownego rozmno|enia si tutaj. Tak chciaB pradawny indiaDski zwyczaj, tak chciaBo te| sumienie le[nych Bowców.

Poniechali zatem bobrów. Natomiast wszyscy trzej w drodze powrotnej solennie przyrzekli sobie, |e jak zrenicy oka strzec bd swych my[liwskich terenów, do których niepodzielnie otd zaliczali te| Tezio-ro ZBotych Brzóz. I biada temu, kto by nachodziB ostoje ich zwierzyny!

A Pierre? PrzepadB gdzie[ na kilka miesicy i nikt w Obid|uanie nie wiedziaB o nim nic pewnego. Tylko od owych dwóch krewniaków, którzy niebawem go porzucili, dowiedziano si, |e skóry bobrów z Wijcego Si Strumienia sprzedaB Macdonaldowi niemal za bezcen, gdy| byBy to futra letnie, wic po[ledniejsze ni| z zimowych Bowów. Pierre spotkaB si z handlarzem w umówionym miejscu nad rzek Zwitego Maurycego, po czym obaj odpBynli Bodziami na poBudnie. Handlarz otd nigdy ju| wiecej nie pokazaB si w Obid|uanie; majc nieczyste sumienie, wolaB zej[ z oczu Iserhoffowi.

Natomiast Pierre zapewne obij aB bruki w Trois Rivieres, wBózc si od szynku do szynku. Dopiero z nadej[ciem chBodów przypomniaB sobie o Bowiskach. RuszyB wic w kniej. Na saniach prócz sprztu traperskiego miaB równie| znaczny zapas otrzymanego na kredyt rumu, bez którego nie mógB ju| |y. Gdy znajdowaB si nie dalej ni| o jeden dzieD marszu od swych terenów, okrutny mróz tgo ujB puszcza. WystarczyBo wówczas splun, by usBysze trzask: to [lina krzepBa w powietrzu.

Pierre nabrał zwyczaju picigania kilku haustów rumu każdego ranka przed wdrówką. Owego mroźnego dnia, gdy wygrzebał się z legowiska, wypił więcej niż zwykle. Poczuci przyjemne ciepło rozchodzące się w żyłach i pod nogami dalej swym szlakiem, który wiódł go teraz Borysiem zamarzniętego do dna strumienia.

Była to droga wygodna, lecz zdradliwa. Tu i ówdzie z urwistego brzegu były źródła; ich wody płynęły pod [niegiem na powierzchni lodu i tworzyły rozlewiska, które nie zamarzały całkowicie nawet przy najsiarczystszym mrozie. Uważny wdrowiec omijał z daleka owe groźne zamaskowane pułapki, przed którymi ostrzegał go nieco ciemniejszy i zakłócający [nieg.

Podochoconemu Pierre'owi nie dostawało zwykłej czujności. Nagle cienka skorupa pod nim trzasnęła z łoskotem; nim zdążył cokolwiek uczynić, zapadł się po pas w lodową wodę.

77

Gdyby miał przy sobie towarzysza, który rozpaliby natychmiast ognisko, byłby się rozgrzał przy zbawiennych płomieniach, wysuszył odzież i po trzech godzinach ruszył w dalszą drogę. Lecz Pierre był sam. A ponieważ zmoczył sobie także ręce w rękawicach i jego dłoń ogarnęła wnet drtwota trzęsliwie skrzeseć ognia - jego los był przesdzony.

Zamarzniętego na [mier 5335'0 znaleźli przypadkiem w kilka dni później dwaj Algonkinowie. Leżał skulony tuż przy kupce chrustu i gałęzi, który zdążył zebrać, ale nie zdążył podpalić.

Północna kraina nie ma litości dla lekkomyślnych.

# 14. WIEK KLSKI

Wiek dziewiętnasty.

Dla Indian północnoamerykańskich czas nieszczęsnego, najgłębszego upadku, zarówno fizycznego, jak i duchowego. Natomiast dla białych osadników, wypierających plemiona z ich obszarów - era brutalnej przemocy, chciwości i awanturniczej pychy. A dla generałów amerykańskich, głównych realizatorów polityki wyniszczenia Indian - okazja do gloryfikacji w rodzaju:

- Jedynymi dobrymi Indianami, jakich znam, są Indianie zabici - generał Sheridan;

- Im dłużej obserwuję Indian, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że będziemy musieli wszystkich wybić albo utrzymać jako kasty - generał Sherman.

Wielu dziewiętnastowiecznych ludzi nauki, obserwatorów przeraźliwego korowodu indiańskiej [mierci, było] zdania, że pierwotni mieszkańcy północnego kontynentu są skazani na ostateczny zagładę. Wszystkie fakty zdawałyby się potwierdzać ich ponurą przepowiednię. Indianie w obliczu amerykańskich strzelb, głodu, zabójczych chorób i wody ognistej ginęli jak [nie] podczas wiosennych roztopów.

W tych porywanych czasach tylko Indianie północni w swej odwiecznej puszczy wiedli życie jako tak spokojne. Do ich odległych zakamarków nie docierały odgłosy zwycięskiego bitewnego znad Wielkich Prerii ani jęki mordowanych tam bestialsko indiańskich kobiet i dzieci.

Wszelako z południa dobiegały różne inne trwonne głosy, których

78

złowieszcze echo mroziło serca nawet w najdalszych zakamarkach puszczy amerykańskiej. Także w Obiduanie, siole Algonkinów nad rzeką Złotą Maurycego.

Otóż jesieni 1801 roku do Obiduanu dotarł francuski goniec z ostrzeżeniem, że po pitach depcze mu ospa. La mort rouge - czerwona [mier]!

W osadzie dobrze pamiętano pomór, jaki dwadzieścia lat wcześniej nawiedził ich północnych pobratymców, Indian Kri, i poczynił u nich straszliwe spustoszenia. Wtedy zaraza oszczędziła Algonkinów, lecz czy obecnie zdoła ujść jej [miertelnemu] chwytowi?

Niebawem zjawił się u nich następny wysłannik North West Company; ze swej strony dobył moc czerwonych paciorków, które rozdzielił pomiędzy rodziny. W razie zachorowania mieli wywieszać je na palach przed swymi wigwamami.

Ludziom spoglądającym na czerwone paciorki mrowie chodziło po skórze. Ów sygnał zarazy, zdało im się, był darem samego Czinat Mischu, okrutnego Człowieka Północy, potężnego jak technienie mrozu, a dzikiego jak rosomak, od niepamiętnych pokoleń budzącego lęk u leńskich ludzi. Ulubionym kolorem Czinat Mischu była wódka [nie] czerwona. Czyby podstępny okrutnik wcielił teraz

sw zgubn moc w biaBego czBowieka i wraz z nim oto w kniej utrapienie i niedol?

- Strzećcie si nocy, kiedy powieje przenikliwym chBodem! Ospa wtedy rzuca si na swe ofiary! uprzedzaB ich zni|onym gBosem stary zaprzyjazniony Indianin Kri, który popasaB krótko w Obid|uanie, po. czym spiesznie oddaliB si na póBnoc. Jego twarz, poorana gBbokimi bliznami, nosiBa pitno przebytej choroby.

Jako| wkrótce zdarzyBa si bezchmurna noc i na niebie zaja[niaB ogromny, biaBy ksi|yc, którego tarcz oblekBo purpurowe kolisko. SzedB mróz, ostry mróz.

W [lad za mrozem nadleciaBa zaraza i przez kilka tygodni, dBugich jak najkoszmarniejszy sen, ludzkie |ycie nad rzek Zwitego Maurycego zastygBo w peBnym grozy zawieszeniu. Szalejca ospa zadawaBa ciosy na prawo i na lewo, gdzie popadBo. Ka|dego dnia przybywaBo nowych mogiB. Dopóki chowajcym starczaBo siB, przywalali groby gBazami, |eby ciaBa zmarBych chroni od rosomaków. Wkrótce jednak poprzestano na usypywaniu niewielkich kopców, a potem i tego zaniechano, pozostawiajc nielywych ich wBasnemu losowi w wigwamach [mierci.

79

Zaraza [cignBa od Algonkinów fataln danin. ZdarzaBo si, |e Indianie, póBprzymni od trawicej ich gorczki, szukajc ochBody rzucali si w lodowate nurty rzeki, czym przyspieszali swój koniec.

Trzecia cz[ szczepu wymarBa. Po[ród ofiar byli tak|e Kroczy Niedzwiedz i Skory Ry[, synowie nie |yjcego ju| wówczas Wiktora Iserhoffa, jak równie| kilkunastu innych czBonków tego rodu. Wielu za[ z Indian, którzy prze|yli, miaBo szkaradnie podkopane zdrowie i nieprdko odzyskaBo jak tak równowag.

Nieszcz[cia, wiadomo, chodz parami, a nawet trójkami.

Jakby na potwierdzenie tego niebawem po[ród Bowisk Algonkinów jBa grasowa zakazna choroba dziesitkujca bobry w koloniach, i tak ju| wyniszczone szpetnie przez ludzi. A w latach 1804-1805 caB puszc midzy Montrealem a Zatok Jamesa nawiedziBa katastrofalna posucha. RozhulaBy si wic po|ary - najgrozniejszy wróg kniei, w obliczu którego wszyscy jej mieszkaDcy s jednakowo bezradni. Wszyscy przeto, wielcy i mali, drapie|cy i ich ofiary - umykali razem, czsto bark przy barku, zjednoczeni wspóln trwog.

Dla Indian ryk po|ogi, stBumiony odlegBo[ci, brzmiaB niczym upiorny chichot Czinat Mischu. Jak dBugo jeszcze - dBawiBo ich pytanie -straszny CzBowiek PóBnocy zechce si pastwi nad nimi?

Tymczasem, jakby nie do[ jeszcze byBo biedy z tymi wszystkimi dopustami losu,(nieprzerwanie sro|yBa si zajadBa wojna le[na midzy obu zachBannymi rywalami: Hudson's Bay Company i North West Company. Ju| nie tylko pogró|ki, ale i skrytobójcze strzaBy rozlegaBy si coraz cz[ciej. A Bowiska trzebione byBy nikczemnie. Najwiecej zych namitno[ci nadal kBbiBo si wokóB poczciwego bobra. W jeziorach i strumieniach zalegaBa zBowró|bna cisza, a tylko niszczejce |eremia [wiadczyBy, |e ongi[ ttniBo tu |ycie.

Nawet ci spo[ród Indian, którzy chcieli oszczędza zwierzyn, nierzadko zmuszani byli postpowa wbrew swej woli-Przypierani do muru klaskami gBodu, zacigali dBugi u agentów, którzy otd mieli ich w gar[ci i |dali posBuchu.

Wszelako kij ma dwa koDce. W obBdnej pogoni za zyskami obie kompanie przeoczyBy prosty fakt, |e wyniszczajc zwierzyn, bij w swoje wBasne interesy. W faktoriach wreszcie opamitano si, gdy raptem stwierdzono spadek dochodów. ByB ju| ostatni czas, |eby radykalnie zmieni front. Koniec koDców rywalki zmuszone byBy pu[ci w niepami niefortunne urazy i w 1821 roku zjednoczyBy si. Praw—

80

t powiedziawszy to Hudson's Bay Company wchBonBa montreal Byków, gdy| ona w tych ci|kich czasach byBa jednak gór, wci| pierzc klucz do lasów kanadyjskich - zatok Hudsona, od której forzieBa nazw.

Koniec barbarzyDskiej rywalizacji przyniósB niejako ulg marno-Unym Bowiskom. Jednak nowy, twardy gubernator Simpson, który Aocn rk ujB ster Kompanii, nie skrywaB bynajmniej zamiarów szybkiego podzwignicia jej interesów kosztem Indian. Na przykBad ijerwaB stanowczo z praktyk dostarczania im towarów cokolwiek lepszych jako[ciowo, którymi niekiedy posBugiwano si, by Indian [cign do siebie. Wedle Simpsona taka rozrzutno[ byBa obecnie niepotrzebna, a nawet szkodliwa.

Dziwactwem zdaB si tak|e niektórym szefom faktorii nad Zatok [Hudsona pomysB, wedle którego mieli oni szczepi profilaktycznie Indian przeciwko ospie. W tym celu otrzymali odpowiedni ilo[ szczepionek z Londynu, lecz z punktu sprzedali je biaBym osadnikom na [poBudniu.

Pech chciaB, |e wkrótce czerwona [mier zawitaBa ponownie w pÓBnocne ostpy. W ssiedztwie Obid|uanu wprowadzie nie byBo jeszcze [miertelnych zachorowaD, jednak Algonkinów opasaB krg coraz pomniejszych wró|b. A| naraz za[witaBa im nieoczekiwana nadzieja. jPrzybyB do nich z pÓBnocy Jean-Pierre, Francuz na usBugach Kompanii,

którym BczyBa ich za|yBo|. Ów Jean-Pierre jB ich gorliwie nama-iac, by co rychlej pod|yli do Ruperfs House, gdy| jak mu byBo wiadomo, tamtejszy agent otrzymaB wielce skuteczny lek na osp.

Wyruszajcie, póki jeszcze czas! - gromkim gBosem dodawaB otuchy gromadzonym wokóB Indianom. - Wierzcie mi, je|li dacie si zaszczepc. tak jak ja to uczyniBem, zaraza nie bdzie was si imaBa!

ean-Pierre przekonywaB Algonkinów w dobrej wierze, nie[wiadom,

I\* agent w Ruperfs House wyzbyB si ju| zbawiennego preparatu,

|ctl°wujc jedynie |elazny zapas dla siebie i swoich pomocników.

I to u szczeP^c Jeana-V5335'0, przez nieuwag zaniedbaB uprzedzi

” zby nie pu[ciB pary z ust o tym Indianom.

wie staBo si. Kilka rodzin obid|uaDskich, uchwyciwszy si nie, I CleTaneJ nadziei'

^#1» na póBnoc. Na ich czele/z uwagi na

wiadczenie i wag w szczepie, stanB Gaston Iserhoff.

I W611! an#ielski ^#1 ich z badawczym zdziwieniem, jako |e o tej roku Indianie z rzadka tylko odwiedzali placówk. Gdy za[ usBy-

^” odia

81

szaB ich pro[b, oczy rozbiegBy mu si w zakBopotaniu. Kuty na czw nogi, wnet jB wykrca si z gBupiej sytuacji.

- Czy to mo|liwe, |eby Jean-Pierre was do mnie przysBaB? - peje udanego zdumienia zwróciB si do Gastona Iserhoffa.

- Tak, wBa[nie on. MówiB nam, |e to dla nas wielka szansa, |ek.

prze|y!

- Co te| hultajowi przyszBo do gBowoy?! - wybuchnB Anglik, 3>35% ny nie na |arty; byB w[ciekBy na Jeana-V5335'0 za jego gadatliwo[. Jego szcz[cie, |e go tu nie ma, ju| ja bym mu przemówiB do 3>3FFI Pewnie byB go wstawiony, |e tak wam nabajdurzyB?

Iserhoff przez chwil przygldaB si bacznie agentowi, po czym oznaj.

miB mu:

- Jean-Pierre, nasz przyjaciel, byl wówczas trzezw, jak ja teraz,, Anglik jB drapa si po poczerwieniaBej twarzy i karku.

- Pijany czy nie pijany - |achnB si - w ka|dym razie naBgaB wam jak pies. O[wiadcza, |e .nie mam i nigdy nie miaBem |adnego lekuna osp. Wam za[ radz - dodaB na koniec - by[cie nie sBuchali wiecej jego bredni, bo albo mu si w mózgownicy pokieBbasiBo, albo te| przestaBby; waszym przyjacielem...

Ci|ko zawiedzeni wracali Algonkinowie do Obid|uanu. Wielu byt rozgoryczonych na Jeana-V5335'0 i nawet poprzysigaBo mu zemst wszelako zapalczywców hamowaBa grupa roztropniejszych India z Iserhoffem na czele, skBonna raczej dopatrywa si szachrajstwi

u agenta.

- Jean-Pierre nigdy tak by nas nie wyprowadziB w pole! - zapewnia towarzyszy Iserhoff. - Znam go dobrze! Natomiast zmieszanie Anglib mówiBo samo za siebie.

- Istotnie, agent co[ krciB, nietrudno byBo zauwa[ly - przy[wiai

czyBo kilku Indian.

Jako| niebawem tak[ i ci, którzy |ywili jeszcze jakie[ w[tpliwo[ w tej mierze, przejrzeni. ZdarzyBo si  
bowiem, |e wracajcy AlgonkW wie spotkali nad jeziorem Matagami pewnego p[óBkrwi Indianina, W'  
równie| byB w sBu|bie u agenta w Ruperfs House. Ten wzity na spr zrazu zaprzeczyB, jakoby  
wiedziaB cokolwiek o osobliwym leku, w 3H31 jednak jak opr[ó|niaB brandy z darowanej mu  
butelki, jzyk 3099 rozwizywaB. A| wyjawiB caB prawd o szczepionce.

- Sp[óznili[cie si, lek ju| niemal w caBo[ci sprzedany - mów»

Ayracam wBa[nie z poBudnia od osadników, którym kazano mi go K,starczy.

*A Jean-Pierre, czy on nie sByszaB o tej sprzeda|y?» I Skd|e znowu? - tamten BypnB znad butelki, a  
w jego gBosie i ^brzmiaBa nuta przechwaBki: - Tylko ja i agent, nikt inny, wiedzieli[-f rny> c0 kryty  
pakunki na dnie mego kanu, gdy opuszczaBem faktori. \_ Podobno te leki miaBy by dla nas, dla  
Indian?*

- Tego nie wiem - burknB Metys - to nie moja rzecz.

- Mo[|e nie twoja, ale nasza tak! - gniewnie przem[ówiB Iserhoff. -SBuchaj, co ci powiem! Udasz si z  
nami do twego szefa, agenta w Ruperfs House, i powt[órzysz mu sBowo w sBowo to wszystko, co  
nam tu wyjawiBe[! .

- Z wami? Do agenta? - wybaBuszyB oczy Metys, ogarnB zagniewane twarze Indian i w jednej  
chwili wytrzezwiaB. ZerwaB si na nogi i wykrzyknB : - Nic wam do mnie! Nigdzie z wami nie  
popByn!

- Czy nie popByniesz, to si oka|e! - [cignB brwi Iserhoff; daB swoim ludziom znak, by Metysa wzili  
w Byka. Wnet le|aB on unieruchomiony na dnie kanu.

Przedtem Indianie przeszukali go, bo spodziewali si, |e znajd przy nim pienidze pochodzce ze  
sprzeda|y szczepionki, lecz nie doszukali si niczego. Widocznie agent otrzymaB zapBat inn drog.

Kiedy w kilka dni potem Algonkinowie ponownie stanli przed Anglikiem, ten spurpurowiaB na  
twarzy ze zdziwienia. A gdy Iserhoff z caBym spokojem o[wiadczyB mu, |e przybywaj jeszcze raz po  
lek przeciwko ospie, zazgrzytaB zBami peBen zBo[ci:

- Czy[cie na gBow upadli?! Ile jeszcze razy mam wam powtarza, |e ten szelma, Jean-Pierre, wyssaB  
wszystko z palca?

I - Czy|by? - rzekB Iserhoff urgliwie. - Jest jednak kto[, kto potwierdza jego sBowa!

I - Któ| znowu? Ka|demu, kto plecie takie brednie, nale|aBoby Beb rozwali! - warknB Anglik, po  
czym uczyniB gest zniecierpliwienia, jak gdyby chciaB odej|. - Na |ywy B[óg, do[ tego, przestaDcie  
mnie zanudza!

I Wtenczas Iserhoff zakrzyknę do towarzyszy: *I Dawajcie tu tego znajd, tego kłamacz! Słyszeliście wszyscy dobrze, Co Powiedzia nasz okemaw: należy mu si kula w Bieb! Kilku Indian kopnę si do przystani, gdzie stały ich kanu, i żywo*

82

83

przywiódł pojmanego Metysa, który rce miał nadal skropowa natomiast postronki na nogach mu rozcią, by mógł chodzi.

Gdy zaskoczony agent ujrzał go i rozpoznał, żył nabrzmiał na jego czerwonej twarzy, a krople potu osiadły na czole.

- Okemaw, szefie! - gromko zwrócił si do niego Iserhoff-*Wszyscy tu [wiadkami, że ten niegodziwiec mówi nam o leku, który jakoby został przez ciebie po cichu sprzedany! Czy to możliwe, żeby taki kłamacz był twoim zaufanym pomocnikiem? - w pytaniu myliwca brzmiała nie ukrywana drwina.*

Pod natarczywymi spojrzeniami Indian agent przeżywał w milczeniu zmieszanie i wciekłość.

Tymczasem Iserhoff nie zwlekając podsypał [wiele] proch na panewkę swej stłelby, po czym wydał polecenie, by zaprowadzono oniemiałego Metysa na skraj lasu, gdzie miano dokonać na nim egzekucji.

- Nie wściecie si! - wrzasnął agent za odchodzącymi.

- O co chodzi? Przecież wyrok już zapadł! - odparł Iserhoff i nie zatrzymując si, ze straszliwym spokojem, ze strzelb w dłoni szedł dalej z innymi w stronę lasu. Po kilku chwilach rozległ si znowu krzyk agenta:

- Stójcie! Dam wam to, czego chcecie!

Iserhoff przystanął, odwrócił si do Anglika, któremu ze zdenerwowania drgały wargi, i huknął pogardliwie:

- Dawaj więc!

I Indianie dostali szczepionkę. Nie było jej wiele, bo agent, jak si rzekł, posiadał tylko leżący zapas. Oddał jednak wszystko, co miał, więc starczyło dla każdego malca w grupie i nawet dla kilku dorosłych Indianek.

Na obliczach Algonkinów, którzy teraz zwolnili Metysa, znałby zadowolenie: agenta-oszusta przyparli tak skutecznie, że zgł przed nim kark, a jego nieuczciwość została obnażona. Gdy zaczęli ruszać w drogę powrotną, jeden z najbliższych druhów Iserhoffa zagadnął go:

- Ciekawym, gdyby agent nie zniknął, zbadziłby Metysa? Zapytany uśmiechnął si tajemniczo.



- Sam nie wiem. ByBem wtedy przekonany, [e Anglik skrusze)1

I udaBo si...

Podczas owej pamitnej epidemii Algonkinowie obid|uaDscy wyl\* nli si [mierci. Nikt w siole nie zachorowaB, gdy|ospa tym va9f ominBa ich, przechodzc bokiem.

natomiast ra|ca niefrasobliwo[ agentów Kompanii Zatoki Hudso-n3) którzy dla gar[ci zBota wyzbyli si zbawiennego preparatu, zawa|yBa na tym, [e zaraza w 1869 roku straszliwie spustoszyBa wiele innych siedzib indiaDskich. Nieszcz[ni, zBamani po raz kolejny Kri, nigdy ju| nie podnie[li si potem do dawnej [wietno[ci.

W XIX stuleciu w Ameryce PóBnocnej, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych, nastpiBo ostateczne zderzenie si kultur indiaDskich z cywilizacj biaBego czBowieka. CaBe plemiona, wypierane z Bowisk przez coraz liczniejsze zastpy osadników, zamykano jedno po drugim w rezerwach. Tam, na ziemiach czsto jaBowych, niekiedy malary-cznych, upokarzajca niewola pospoBu z gBodem wnet wycisnBy na nich swe zgubne pitno.

WBadze amerykaDskie, zachowujc pozory legalnego dziaBania, przed osadzaniem Indian w rezerwach podpisywaBy z nimi traktaty. Wszelako zgoda wyra|ana przez Indian w traktatach na rezerwatow egzystencj byBa - jak to obrazowo ujB jeden z wodzów Siuksów -podobna do zgody, któr daje bizon ra|ony strzaBami przez my[liwego. Jedyne bowiem, co mo|e wówczas uczyni, to poBo|y si i umrze.

Osadnicy amerykaDscy i wspierajce ich koBa militarne nie przebierali w [rodkach, by zBama wszelki opór przeciwnika. A skrupuBy, sumienie?... GBuszeniu ich dobrze przysBu|yBa si osBawiona ideologia Manifest Destiny, Objawionego Przeznaczenia, gBoszca wówczas, [e wszyscy ci, którzy przeciwstawiali si ekspansji Stanów Zjednoczonych na kontynencie Ameryki PóBnocnej, wystpowali przeciwko zrzdzeniu historii i boskiemu przeznaczeniu. Dla zagorzaBych wyznawców tej ideologii ka|dy Indianin, który stawiaB opór, gdy do niego strzelano, byB «dzikusem”.

Niejedn zbrodni popeBniono w imi Manifest Destiny. Oto na przykBad w 1864 roku puBkownik Chivington, wyjtkowy brutal, na czele ochotników z Colorado dokonaB bestialskiej maskary pokojowego obo-Zu Szejenów nad Sand Creek. Przed napa[ci ChMngton, wiezdc, [e uSzejenów jest wiele kobiet i dzieci, tak pouczaB swych pojtnych |oBdaków:

Zabijajcie i skalpujcie wszystkich, du|ych i maBych; z gnid wyrami wszy! Po raz wtóry bezbronnym Szejenom sprawiB rzez generaB Custer, tym

84

razem nad rzek Washita w 1868 roku. GBo[nego indiano|erc i 3% mai bohatera narodowego, Custera, niewiele obchodziB fakt, [e w[ród zabitych wtedy stu kilkudziesiciu Indian byBo zaledwie jedenastu wojowników (inni przebywali na Bowach), a reszt ofiar stanowik

kobiety i dzieci.

Najhanebniejszej jednak zbrodni dopuszczono się na licznej grupie Siuksów wodza Dużej Stopy nad strumieniem Wounded Knee w Południowej Dakocie. Było to w roku 1890, a więc w czasie, kiedy Indianie w Stanach Zjednoczonych byli już całkowicie i ostatecznie ujarzmieni i rozbrojeni, i niezdolni do jakiegokolwiek buntu, sBowem - niegroźni dla Amerykanów. A jednak siódmy pułk kawalerii USA, dny zemsty za dawni klęsk zadany mu przez Siuksów, nie zawahał się przed urzuceniem ich bezlitosnej rzezi - i to na terenie rezerwatu! - przy okazji wypróbowując przeciwko nim nowe, wyrzucające szrapnele niemal co sekund armaty Hotchkissa.

- Próbowaliśmy ucieka opowiadała później jedna z tych nielicznych Indianek, które przeżyły - ale strzelali do nas, jakbyśmy byli stadem zwierząt. Wiem, że są także dobrzy biali ludzie, ale oBnierze muszą być nikczemni, żeby zabijać dzieci i kobiety. Indianie wojownicy nie postąpiliby tak z białymi dziećmi.

W Stanach Zjednoczonych rozlegały się co prawda głosy w obronie Indian, lecz wtedy jeszcze zbyt słabe, niewiele mogły wskórać. Zaciętrzewienie i nienawiść brały górę. Wielki naród nie potrafił uporać się z niełatwym problemem pierwszych mieszkańców kontynentu po ludzku, bez fizycznego i duchowego bicia Indian. Zabrakło dobrej woli. A przecie można było postąpić inaczej. Przykładem - Kanada. Tam też byli osadnicy górnicy ziem indiańskich, a jednak Kanadyjczycy - co im się chwali - zdołali uniknąć krwawych wojen z Indianami. Nawet dumnych, miłośników swobod wojowników Czarnych Stóp z prerii umieli pokojowo nakłonić do pogodzenia się z nowym życiem.

W Kanadzie zaczęto zawierać traktaty z Indianami w latach pięćdziesiątych XIX wieku, jeszcze za panowania brytyjskiego. Od 1867 roku sprawy indiańskie przejął federalny rząd Dominium Kanady w Ottawie.

Znamienne, że o ile w USA traktaty z Indianami zwykle negocjował pogrążony szablami Departament Wojny, to w Kanadzie czynili to możliwie pojednawczo komisarze ziem indiańskich. I w badaniu kanadyjskich dotrzymywano traktatowych przyrzeczeń: Indianom, teraz po

iecznym państwie, z reguły sumiennie dostarczały do rezerwatów racje żywnościowe i ciepłe odzież, przysyłały im także sprzęt gospodarki i instruktorów rolnictwa albo leśnictwa.

Zupełnie inaczej działało się pod tym względem u południowych sąsiadów, gdzie bicia traktatów stało się przysłowiem. Pewien Indianin amerykański tak się o tym wyraził:

- Wiele nam Jankesi przyrzekali, więcej, niż pamiętam, ale nie dotrzymali żadnego przyrzeczenia prócz jednego. Zapowiedzieli, że zaporą nam ziemi, i zabrali.

Korzystniejsze położenie kanadyjskich Indian brało się także z tego, że olbrzymia Kanada była ciągle jeszcze słabo zaludniona, a dziewicza północna puszcza pozostawała domeną leśnych plemion. Chociaż bywało, że wszedobylscy osadnicy i tam się zapuszczali.

Oto na wschód od Algonkinów obywateli amerykańskich w górze kniei nad 25:0 Saguenay żyli myśliwcy z plemienia Montagnais. Jednego lata zjawiło się u nich kilkunastu drwali, którzy niebawem roznieśli wśród Kanadyjczyków wieść o słynnej tamtejszej dolinie. Na nic zdały się protesty Indian tudziej Kompanii Zatoki Hudsona - puszcza nad Saguenay wnet wytrzebiono i teren podzielono na farmy. A

plemieniu Montagnais wyznaczono rezerwat nad jeziorem Zwitego Jana, gdzie nadal cz[ciowo mogli si utrzymywa z my[listwa w okolicznych lasach.

U schyBku XK wieku w prowincji Quebec, porzdkujc sprawy indiaDskie, wytyczono rezerwaty tak[ innym plemionom le[nym, w[ród nich Algonkinom z Obid|uanu w roku 1895. Algonkinowie niezbyt si temu sprzeciwiali, wBadze bowiem zapewniaBy ich, [e nadal bd mogli swobodnie polowa na Bowiskach nawet z dala od rezerwatu, bo przecie| tym stronom nie groziBo naj[cie osadników. - To nie dolina Saguenay - uspokajano ich - tu nie ma ziemi nadajcej si pod upraw! - Powiedziano im równie|, [e paDstwo, rozciągajc piecz nad Obid|uanem, bdzie otd [cigaBo prawnie ka|dego obcego, który by PróbowaB ich nachodzi i niepokoí.

Istotnie w owych latach póBnocna gBusza jBa przynca ró|ne typy Nzkie z poBudnia, tak[ ze Stanów Zjednoczonych. Nie brakBo w[ród lich indywiduów spod najciemniejszej gwiazdy, którym w rodzinnych fonach ziemia zanadto ju| paliBa si pod stopami. W puszczy mogli W znikn bez [ladu na jaki[ czas i jeszcze nielicho si tam obBowi, urabiajc na przykBad indiaDskie sidBa z cennych zdobyczy.

86

87

Owi rabusie w kilkusobowych bandach, uzbrojeni po zby, czyj wiele zBa i czuli si bezkarnie. Rozproszone, szczególnie zim, rodzi-, indiaDskie nie byBy w stanie skutecznie przeciwstawi si bezczelny<sup>^</sup> wdziercom, zaprawionym w rzemio[le zabijania. Niestety, wBadze <sup>^</sup>. nadyjskie, zbyt oddalone, niewiele mogBy tu pomóc.

W lasach wokóB Obid|uanu panowaB na razie spokój - byB to jedn<sup>^</sup> spokój zBudny, gdy| i tam ka|dego dnia mogli si zjawi nieproszeni go[cie. ^^^^

# 15. JOHNISERHOFF

## Pierwsze wspomnienie Johna Iserhoffa

Drodzy Czytelnicy niniejszej opowieści! Pozwólcie, że w następnych kilku rozdziałach tylko ja sam, Arkady Fiedler, zabiorę głos, albowiem chciałbym wspomnieniami wrócić do czasów sprzed kilkudziesięciu lat, mianowicie do roku 1935. Wtedy to po raz pierwszy zaniósł mnie do puszczy kanadyjskiej, a Marka, mój syn, nie był jeszcze na świecie.

Kanada wprowadziła mnie wtedy w fantastyczny podziw, doznałem wyjątkowego zachwytu. Zapachniała mi tam. Szczególnie urzekła mnie dwie rzeczy; niewysławiony czar puszczy kanadyjskiej i urok jednego człowieka, Indianina. W powstał wtedy księżyc Kanada pachnąca mi tam, że

to las tysiąca najpiękniejszych widoków: spływały tu cztery żywioły: woda, skały, wzgórza i drzewa i stworzył nadzwyczajny fenomen: niekończące się serie kuszczych krajobrazów”; że

orzechywały się oddech puszczy, a strzelił wznosiły się jodły, kanu razno prężył wodę”; że

mi tam pachniały mi tam; w mocna, balsamiczna, oszałamiająca przylgnęła do mego ciała na dźwięk godziny” - i tak z równym zapachem na wielu innych stronach.

W owych czasach niedowiarkowie w Polsce wyrażali często plikliwość i pobawili się uśmiechali. Ale dziś, po czterdziestu sześciu latach, w czasie mojej szóstej wyprawy do puszczy kanadyjskiej, ja w niej napisałbym o tej kniei równie entuzjastycznie, jak pisałem ongi podczas pierwszej wyprawy. . .

A to drugie czarujące doznanie, ów urok jednego człowieka, ?)0; na? To wielki wdziak Johna Iserhoffa. Pisałem ongi, że zaliczył *p*>

typowańszych mieszkańców obozowiska Obiduanu. Był sześćdziesięcioletnim Algonkinem o pięknie rzeźbionej twarzy i rozumnych rękach, miał pogodny uśmiech i patrzył prosto w oczy. Nieobce mu były

głębokości lasu, znał podobno wszystkie ostoje Bosi. Był prawem Franklandu, młodego, a potężnego agenta faktorii Hudson's Bay Company—

głębokości w Obiduanie.

Zaprzyjrzaliśmy się wtedy z obydwojema: z Franklandem, który polecił mi jako przewodnika Johna Iserhoffa, i z tym Iserhoffem, który wówczas przyszedł do mnie na swojej motorówce głęboko w puszczy, na wschodnim brzegu jeziora Marmette. Roztaczały się tam bogate w Bosi ostpy wśród różnym jezior, ale był dopiero koniec sierpnia, więc gruby zwierzę wciśnięte w gęstwinie, nieoptany jeszcze niepokojem rui.

Wówczas mieliśmy czas. Spokojnie czekając na porę przebudzenia zwierząt, robiliśmy w okolicy Bosi i pieszo wycieczki, czasem nawet dalekie, i bywało, siadaliśmy na szczycie wzgórz, by godzinami

rozjarza. John był zawołany gawdziarzem, znał dawną historię swego plemienia, a w badaniu, poza swym ojczystym algonkińskim, wcale biegłymi językami francuskim i angielskim.

Były to pamiętne godziny. Płonącym wzrokiem ogarnialiśmy ze wzgórz ogromne połacie kraju, który mienił się w sierpniowym przepychu, a od jezior i lasów z dołu szły ku nam podniecające powiewy. Były to twórcze chwile. Nad brzegiem niektórych jezior widzieliśmy ferujące spokojnie kłempy Bosi. Nigdzie ani jednego człowieka, ani jednego [ładu po nim. Tylko jak okiem sign knieja i zwierz. John chętnie ze mną rozmawiał.

; - John! - odzywałem się do towarzysza. - Powiedz mi, John, ile ty masz lat?

Okazało się, że przyszedł na świat w 1875 roku, sześćdziesiąt lat temu. Starość ci nie byłaby na nim zna.

I - To miałeś dziesięć lat, gdy na zachodzie, w Saskatchewan, wybuchło powstanie Metysów Louisa Riela? - I - Miałem i wiele nie brakowało, a ucieknęlibym wtedy do powstańców, naszych francuskich przyjaciół. Ogromnie u nas w obiduanie się kotowało... Ale nie zdążyliśmy, powstanie zostało szybko stłumione...

Po chwili milczenia zapytałem: *I Czy nie miał ci, że nie poszedł na tę wojnę? I Dziwnie spojrzawszy na mnie Iserhoff: niby rozbawiony, niby strapiiony. Odrzekł:*

88

89

- Miał mi? Żałuję po upływie tylu minionych

wielkich sboć, j^, ponoć mówi Indianie? {aB po czym [ sprzed pół wieku?...

Spowałniał, ale wciół miał w oczach zagadkowe migoty.

- Miał cię, a kciuki ust co chwila ukradkiem mu drgały - H czym, co byłoby tak bardzo dalekie i dawne? Przecież zawsze mieli i mamy tu swoje własne utrapienia i kłopoty, własnych napastników, ba, mieliśmy nawet własne wojny, białe przyjacielu!...

Wydało mi się, że nie rozumiem go dobrze.

- Nawet wojny? - powiedziałem niedowierzająco. - Jacy ludzie i was napadali?

- Tak, zli ludzie, paskudni kłusownicy! - odparł John. - I trzeba było, bronić się jak na wojnie o życie. Czy ma być nas ginąć?

- To byli biali ludzie?

- Biali... A od czasu do czasu zabijali nas także górod. Ludzie nasi marli tu z głodu i zimy...

- O górodzie sbyśzałem niejedno. Ale wojny?... , i Widok rozpościerający się z naszego wzgórz

byB tak pikny, tchnBo

tak czarujc sielank od tych lasów uroczy przetkanych jeziorami, tyle sczyBo si bBogiego spokoju od tych Bosz wygrzewajcych si w popoBudniowym sBoDcu, |e sBowa Johna i jego wiadomo[ci wydawa si mogBy obcym zgrzytem. Ale to, co mówiB, byBo niestety prawd, nie byBo urojeniem ani przesad.

John rozBo|yB si wygodnie na ziemi, |ywiej pykaB fajk i zaczB mówi. Wzrok miaB wlepiony w dal, jak gdyby napBywajce stamtd wspomnienia zmuszaBy go do wynurzeD. DobyBem notes i jak mogBem, wiernie spisywaBem jego sBowa. Kilka tygodni później w Montrealu sprawdziBem jego wiadomo[ci: nie koloryzowaB.

DziaBo si to pod koniec dziewitnastego wieku, gdy John miaB troch ponad dwadzie[cia lat. Jeszcze nie byB |onaty, ale ju| upatrzyB sobie dziewczyn: BBkitna SkaBa nie skpiBa mu u[miechów. Cho dorodna i ksztAtna, byBa to dzika szelma, ale John byB pewny, |e prdziej 9! później poskromi zbytnic, gdy zostanie jego |on.

Czasy wtedy nie byBy wesoBe dla Indian |yjcych z lasu: bo! wyginBy niemal caBkowicie, inne zwierzta futerkowe przeredziByS1' W tym okresie ród Iserhoffów rozmno|yB si w Obid|uanie do przesz stu gBów i byB liczniejszy ni| bratnie rody Czaj czaj ów i ABasziszóW^

aledwie pkBy owej wiosny lody na rzece Zwitego Maurycego, gdy Budnia, z okolic zamieszkaBych przez biaB ludno[, przypBynBa do j|uanu na czterech Bodziach zgraja o[miu handlarzy skórek. Mieli to[ towaru, szczególnie alkoholu, wiele broni, ale nie na sprzeda|. ) ich picciu Kanadyjczyków francuskiego i angielskiego pochodze-()o tego przyBczyBy si trzy typy ze Stanów Zjednoczonych. Oniewa| w Obid|uanie istniaBa ju| od wielu lat faktoria Hudson's « Company skupujca od Indian wszystkie skóry zwierzce, jej fient nazwiskiem Cooper rozsierzdiB si przybyciem nieproszonej konwencji. Nie zwlekaj c udaB si nad rzek, gdzie wyldowali przybysze. udzie ci, rozsiadBszy si nad wod, wBa[nie spo|ywali jaki[ posiBek, go przepBukujc gardBa rumem i wesoBo sobie dogadujc.

- Kim jeste[cie? - krzyknB Cooper, nie ukrywajc gniewu. - Po go[cie tu si przytaszczyli?

Wdrowcy ucichli, ale nie spieszno im byBo z odpowiedzi. Rozmy|l-; dBugo i obrazliwie milczeli, zanim jeden z nich, brodacz o podejrzaney gbie, ich prowodyr zapewne, odrzekB:

- Ludzmi jeste[my, sir, a zwalili[my si tu, bo macie podobno zbyt wiele [wie|ego powietrza...

Cooper, zaciskajc pi[ci, wrzasnB:

- Wyno[cie mi si std, hultaje! I to zaraz, zaraz!

- 0, mylordzie, spokojnie! Jeszcze ci serduszko pknie!... Przybysze jak jeden m| zarechotali.

Zjawienie si o[miu obcych biaBych wywoBaBo zrozumiaB sensacj w[ród mieszkaDców Obid|uanu. Wielu z nich, zdjtych ciekawo[ci, pdziBo nad brzeg rzeki. ByB koniec kwietnia, wikszo[ rodzin traperach jeszcze nie wróciBa ze swych Bowisk zimowych, tote| na razie N0V> Indian znajdowaBo si w obozowisku.

Wśród nich był John Iserhoff. Widząc bezczelność przybłądów, zbliżył się do Coopera, by w razie potrzeby go w obronę. Lecz do awantury nie doszło. Dwóch przybłądów wstało z ziemi, pogrzebali jedną z nich czterech Indian i zbliżyli się do Indian, dzwigając pełne futryki podarków. Każda kobieta dostała jakiegoś biskotka, barwną szalik lub tanią Baszek czy cukierki, mężczyźni zaś obojętne lub nic. Chciano obdarować Johna, ale on nie przyjął.

Nic nie bierzcie od nich! - powiedział Cooper.

*Dlaczego nie? - zaproponowała jedna z kobiet, która mówiła po łacinie. - Przecież to niczego, jeśli daj za darmo...*

90

91

Było późne popołudnie. Handlarze rozbili się nad brzegiem rzeki, wozami pełnymi towarów, barwne chusty i inne tkaniny, noże, toporki, grzebienie, przybory do szycia i narzędzia, także cukierki w słoikach, ale tym razem dali za to zapłaty w skórkach. Natomiast niektórych mężczyzn hojnie czestowali gorzalką, bimbrem zaprawionym pieprzem. Przy towarach zapanował miły towarzyski nastrój.

Już dwóch, trzech Indian pobiegło do swoich wigwamów i przyniosło kilka skórek. Byli wciąż trzeźwi, tylko trochę zaproszeni, więc handlarze zapłacili za skórki uczciwą ceną w towarach.

Przyszła pomocnik Coopera i w imieniu swego szefa powiedział, by handlarze natychmiast opuścili rezerwat Indian. Lecz przybysze, czując się coraz pewniejsi w obliczeniu, obsypali go stekiem najordynarniejszych wyzwisk i chcieli zabrać mu skórę.

W czasie tych targów przybyły z góry rzeki Zwitego Maurycego dwie rodziny, które wracały z łowów zimowych, przywoząc stosy zdobytych skórek. Handlarzom udało się wycenić i rzucić się na przybyłych z całą baryłką rumu, ale ci nie chcieli się z nimi wdawać w rozmowy.

Cooper polecił Johnowi Iserhoffowi znaleźć handlarzy z ubocza i donosić mu o każdym podejrzanym ich postępowaniu. Radził również mężczyznom obliczeniu mieć broń pod ręką. Ale obce Bobuzy, poza daniem Indianom alkoholu, wcale im nic złego nie czynili.

Było już blisko zachodu słońca, gdy John ujrzał grupę wesołych dziewcząt zbliżających się do rzeki. Wśród nich była BBkitna Skala i jak to ona, najbardziej rozbawiona. Gdy najbliższy z trzech handlarzy podał jej kubek rumu, alkohol poszedł jej wyraźnie do głowy. Natarczywym umizgiem handlarza niezbyt się opierała. John poczuł lekkie ukłucie w sercu. Przyjaciółki BBkitnej Skali także nie uchylały się od picia.

Wraz z zapadaniem ciemności wzmagano się mgła na rzece, a gdy zrobiła się czarna noc, nic na wodzie nie było widać, nawet z odległości dwóch, trzech kilometrów. Szybko ucichły wszelkie gwarowe miejsca, gdzie handlarze rozbili swoje manatki. Widocznie odpłynęli. Prawdopodobnie udali się na

drugi brzeg rzeki i tam rozłożyli się obozem.

Po upływie godziny lub dwóch wśród rodzin Obiduana powstało zaniepokojenie na skutek nieobecności dziewczyn. Nie wróciły na noc do wigwamów. Były ich cztery razem z BBkitn SkaB. Rodziny popędziły nad rzekę, lecz nawoływania w nocnej mgle nie dały żadnego

92

skutku. Niektórzy przeszli na drugą stronę rzeki, gdzie domyła się obozu handlarzy. Nikogo tam nie zastano.

Tak minęła ponura noc, gdy następnego dnia po wschodzie słońca męga opadła, mieszkańcy Obiduana stwierdzili, że nigdzie, jak okiem sięgną, nie było widać ani handlarzy, ani dziewczyn. Należało podjąć poszukiwania, wiedząc, że handlarze mieli dużo broni. Ale Obiduan był, jak wiadomo, osiedlem leśnych myśliwych, z których każdy miał strzelbę. Kierownictwo nad pogonią porywaczy objął ojciec Johna, Robert Iserhoff, zwany wśród Algonkinów Czarny Róg.

Utworzono dwie zbrojne grupy, każda po kilka ludzi. Jedna grupa poszła w górę rzeki Zwitego Maurycego, druga w dół. Johna Iserhoffa przydzielono do tej drugiej. Cztery dni rwała się w wioskach przez półtora dnia aż do ujścia rzeki Windigo do Zwitego Maurycego, o siedemdziesiąt mil od Obiduana. Nigdzie nie znaleziono żadnego śladu uciekających. Po kilku godzinach snu zaboga Johna udała się w drogę powrotną, wioskując tym razem pod przodkiem rzeki.

Gdy po trzydniowym wysiłku wróciła do Obiduana, zastała całą ludność w srogim poruszeniu: rzekomo handlarze okazali się groźnymi bandytami. Mianowicie owego wieczoru, kiedy była taka męga i już ciemnowo, obezwładnili BBkitn SkaB i jej trzy towarzyszy, przy czym jeden z nich zgwałcił brutalnie BBkitn SkaB. Spali dziewczyny, zatykając im usta, i wrzucili je do kanału. Następnie uciekli w górę rzeki i kilka mil powyżej Obiduana ukryli się wśród nadbrzeżnej gęstwiny i zamaskowali się. Około południa przeszli obok nich pogoń, wysłana w górę rzeki, lecz ich nie zauważyła. Gdy zginęła im z oczu, opuścili kryjówkę i przeszli do rzeki Toussaints, która niedaleko wpadała do Zwitego Maurycego.

Handlarze” w rozmowach z mieszkańcami Obiduana dowiedzieli się o kilku rodzinach Algonkinów, mających tam rzekę wracać ze skórkami zdobytymi na zimowych Bowiskach. I w istocie nie czekali długo. Trzy pobrane ze sobą rodziny, pięć na dziewięciu ludziach z przodem Toussaints, przebiegły wzdłuż niebystrzyn tej rzeki, gdy natknęły się na

handlarzy”. Ci dawali jakieś znaki rękoma, więc Indianie, nie zważając, przystanęli.

- Hej, czerwonoskórcy, dobrzy przyjaciele! - huknął herszt opryszków, rozrosł się drab o twarde zaręczycie. - Chcemy zrobić z wami dobry interes! Potrzebujemy waszych skórek!

Wobec nich w dwóch językach, najpierw francuskim, potem angielskim.

93

. U Indian zmieszanie.



- Nie możemy! - odskrzyknął jeden ze starszych myśliwych. - Nie możemy wam sprzeda naszych skór!

- Jeśli nie możecie sprzeda - odparł herszt - to dacie nam je!

- Jak?

- No, tak! Za darmo!!

U Algonkinów jeszcze większe zmieszanie.

- Cóż wy?! - parsknął starszy Indianin. - Stroicie arty?

- To nie arty! - brzmiała odpowiedź tym razem zwróbnym.

głosem.

Podczas tej rozmowy Bodzie

handlarzy” otoczyły myśliwych ze wszystkich stron. Rabusie dobywszy nagle karabiny, powstali w Bo- dziach, by lepiej ogarn sytuację. Najbliższy z nich, ocierając się o burt myśliwskiej Bodzi, wychylił się i zaczął ciga skóry z łecej u Indian sterty. Kobiety i dzieci na tym kanu uderzyły w krzyk, a myśliwy zerwał się i chciał przeszkodzi porywaniu skór. Niestety strzelby sam nie miał pod ręką.

Rozległ się huk strzału i zraniony Indianin zwał się na dno kanu. zaraz padły dalsze strzały innych bandziorów, lecz tylko na postrach. W istocie Indianie zamilkli, osłupieli z przerażenia.

Handlarze” pod groźbą swych karabinów błyskawicznie przerzucali skóry z myśliwskich kanu na swoje Bodzie. Pewnie nie upłynęła i minuta, a rabunek ukończyli. Stosy Bupu leżały u nich. Wybapywali również strzelby Indian i wrzucali je daleko do rzeki.

Odebrawszy myśliwym całą ich zimową dorobek, już więcej się nim nie zajmowali. Oddalili się. Wracali w stronę rzeki Toussaints, następnie! w stronę rzeki Złotego Maurycego, a o pół mili od Obiduanu, jeno z drugiej strony rzeki, wyładowali, jawnie i bezczelnie rozkładając się obozem.

Miałoby się ku wieczorowi. Oczywiście do Obiduanu szybko dotarła wieść o napaści na powracających myśliwych i o zuchwałym obozowaniu

handlarzy” tuż pod bokiem indiańskiej osady. Butno ich brało się z dwóch przyczyn: wiary w posiadanie dalekosiężnych karabinów, a przede wszystkim z tego, że trzymali na dnie łódki cztery

zakładniczeki.

Cooper, agent Kompanii Zatoki Hudsona, nie posiadał się ze złości, że huncwoty ograbiły go z tyłu skór zwierzęcych. Przynaglił Indian, by natychmiast rzucili się na obóz wrogów i wyrzucili ich. W istocie

wszyscy wojownicy, wyposażeni w strzelby, zbierali się w pobliżu budynku agencji HBC. Z natury rzeczy Robert Iserhoff, ojciec Johna, był ich dowódcą. Miało około czterdziestu wojowników pod bronią. Kazał im obsadzić wszystkie łodzie znajdujące się w Obiduanie i pilnować, żeby kule bandytów ich nie dosięgły.

Ci siedzieli jak trusie po drugiej stronie rzeki, nie dalej niż o cztery strzały z karabinu, i okopywali się. W pewnej chwili odbiła od ich brzegu łódź i przypłynęła na stronę wioski. Przewieziono dwie łodzie Indianki, zwolnione z niewoli.

Ledwo żywe z wyczerpania puszczono do swoich, żeby ich powiadomiły o groźbie herszta bandy. Mianowicie zatrzymał one dwie pozostałe Indianki, Bennet Skał i jej towarzyszkę, jako zakładniczki. Gdyby Algonkinowie próbowali zagrozić odpływającym drogą na rzecze Zwitego Maurycego, zakładniczkom poderżnąć się gardła.

Wśród Indian powstały dwie grupy: jedna, mniej liczna, chciała zaraz rzucić się gwałtownie na wroga niezależnie od jego groźb, a rozindyczony Cooper podjudzał tych zapaleńców, jak mógł; natomiast druga grupa, liczniejsza, nakazywała zachowanie cierpliwości, by dopiero we właściwej chwili zniechęca uderzyć. Tych drugich posłuchano.

Robert Iserhoff, jako dowódca myśliwy i wojownik, na razie zarządził czujne baczenie na obóz łodzi. Noc tym razem nastąpiła bez mgły. Gdy się zupełnie ściemniło, łowcy ruszyli na swoich czterech łodziach. Minęli rzeką Obiduan i co się gnali w dół rzeki. Była to jedyna droga, by z pomocą wydość się z tych lasów na szerokie wody rzeki Zwitego Wawrzyńca. Indianie kanu, których było przeszło dziesięć, płynęli tuż za uciekającymi nieustępliwie jak wataha wilków za stadem jeleni.

Handlarze”, będąc w tych stronach po raz pierwszy, nie znali rzeki Zwitego Maurycego tak jak miejscowi Algonkinowie. Mniej więcej pięć mil poniżej Obiduanu rzeka się rozdziela, głównym nurtem czyniąc pokazywany buk na wschód, podczas gdy druga odnoga, mniejsza i znacznie krótsza, wiodła przez puszczyce na wprost po ciciwie prawie dziesięć mil i dopiero dalej biegała się z głównym nurtem.

Tej skróconej odnogi, prawie niewidocznej w zaroślach, łowcy nie znali i poszli dalej głównym nurtem. Indianie rozdzielili się. Dwie łodzie szły dalej z ładem bandytów, natomiast reszta pogoni płynęła w stronę odnogi i skróciła sobie trasę. Płynęła jak szalona na zbieżnię

karku, ale trudno było zbliżyć się do oddechu. Gdy dotarła do głównego nurtu, gdzie dwie odnogi zlewały się z sobą, łowcy byli na dobre. Zmiarkowali, że bandyci prawdopodobnie tego miejsca jeszcze nie minęli.

Rzeka Zwitego Maurycego tworzyła tu bystrzyny, które kończyły się małym, trzystopowym wodospadem. Tu rzeka rwała lotem strzały i nie była szersza niż osiemdziesiąt kroków. Wymarzone miejsce na zasadzkę, bo kto tam przepływał, musiał całą uwagę skupiać na wodospadzie.

Robert Iserhoff podzielił swój oddział na cztery drużyny i dwie z nich ukrył po obu brzegach wodospadu, a żeby wziąć przeciwnika w dwa ognie. Resztę, dwie dalsze drużyny, umieścił około dwustu kroków powyżej wodospadu, wychodząc z założenia, że cztery oddziały przeciwnika mogą być rozciągnięte jedna za drugą w długiej linii. John był w drużynie po lewej stronie wodospadu. Kanu wciągnięto nieco niżej w nabrzeżne zarosła wodne.

Powoli otaczająca puszcza budziła się do dziennego życia. Niebo różniło się, jakiegoś ptaki na pobliskich drzewach zaczęły się z cicha odzywać. Na jednym wierzchołku pojawił się przy rzece baraszkowate dwie sójki, wciśnięte ptaki. Nagle zaczęły głośno skrzeczeć, czym podniecone.

- Płyn! - ktoś w pobliżu Johna szepnął z napięciem.

W istocie przypływały. Wcisnęli się, jak gdyby uciekając od śmierci. Może myśleli, że ich goniła jedynie z tyłu, a nie przeczuli, co było przed nimi. Indianie ujrzeli ich, gdy pierwsza oddział wpłynęła na bystrzyny. Jak Robert się obawiał, ostatnia, czwarta oddział przeciwnika) oddalona była od pierwszej o jakieś kilka mil.

Gdy pierwsza zbliżyła się do wodospadu, a druga oddział była już daleko na bystrzynach, Robert dał znak strzelania. Gruchnęła salwa. Algonkinowie jako myśliwi od urodzenia rzadko kiedy chybiali ze swych winchesterów. Czterech

handlarzy” padło jak ściętych nożem.

W sekundę czy dwie później ognia dały drużyny czyhały o dwieście kroków powyżej. W trzeciej i czwartej oddziały przeciwnika mocno się zakabłowały. Jeden bandyta prawdopodobnie zginął na miejscu, ale trzech żył. Przeciwnicy nie zdążyli ani się ukryć za burtę, ani signować po strzelby! Nabrzeżne winchestery poprawiły kilkunastu strzałami; mocny ogień zdążył do reszty, co było trzeba zdążyć.

Gdy cztery ostrzelane oddziały spłynęły przez wodospad na spokojniejszą wodę, Algonkinowie, jedni rzucając się do wody z nożem w garści

96

(3)

Najbardziej wojnę stoczyliśmy z rosomakami... s. 97

9

i płynąc, inni dobywając swych ukrytych w zarosłach kanu, piorunem podpłynęli i stwierdzili, że bandyci, cała ich ósemka, już nie żyli. Natomiast wszyscy z radością odkryli obydwie żywe dziewczyny, zakabłowniczki. Były okrutnie związane, usta miały zatkane, ale żyły. Żył też BBkitna Skała i jej towarzysząca. »

Wracam do roku 1935. John Iserhoff skończył swe opowiadanie, gdy wciągnięci siedzieliśmy na szczycie wzgórza i rozkoszowaliśmy się widokiem lasów i jezior pod nami, opromienionych najpóźniejszymi promieniami słońca: z tego słońca na dwie godziny przed zachodem.

ByBem prze|jty tym, co mi John opowiadaB.

- Do diabla! - odezwaBem si niemal z adoracj w gBosie. - To[cie jednak mieli za mBodu ciekawe prze|ycia... Rzeczywi[cie to byB rodzaj wojny o byt...

- Ale nie jedyny, nie jedyny! -zapewniaB John. -Trzeba byBo stacza walk o byt i z ludzmi niejedn raz, i z dzikim zwierzem...

- Pewnie z wilkami?

- Z wilkami tak|e. Jednak najza|artsz wojn stoczyli[my z rosomakami. Od rosomaków zale|aBo, czy,prze|yjemy w lesie podczas trapero-wania, czy wyginiemy z gBodu... To byBa trudna wojna...

- Ale wygrali[cie j.

- Wygrali[my, chocia| ndznie, ledwo, ledwo...

Zamilkli[my obydwaj. Znowu prze|ywaBem powikBane uczucia, upajajc si uczt duchow, jak sBaB nam widok sBonecznego [wiata z naszego wzgórza. Od czasu do czasu szedB od tych lasów na dole o|ywczy zapach i jaka[ cisza i spokój rozlane byBy wszdzie po tym gszczu.

- A BBkitna SkaBa? - podjBem rozmow. - Co si staBo z t dziewczyn? ZostaBa twój |on?

John spojrzeB na mnie takim wzrokiem, jakby co[ go zabelaBo.

- Nie - odpowiedziaB - nie zostaBa moj |on.

SBaby u[miech, jaki zjawiB si na jego smutnej twarzy, byB gorzki.

7 - Ród Indian...

# 16. ROSOMAKI

## Drugie wspomnienie Johna Iserhoffa

Pozostaj przy mej wyprawie do Kanady w roku 1935.

Wdruje którego[ dnia z karabinami w rku w towarzystwie Johna Iserhoffa nad brzegiem jeziora Bez Nazwy, ujrzeli[my na skraju lasu osobliw jam w ziemi. W tych stronach peBno byBo kanadyjskich zajcy, ale to nie byBa jama zajcza. ByBa znacznie - trzy, czterokrotnie -wiksza.

Gdy John rzuciB okiem na [lady przed jam, gwizdnB przecigle.

- Rosomak, wolferine! - |achnB si z gniewnym, jak mi si wydawaBo, o|ywieniem. - Le[ny diabeB!

- A| diabeB? - bknBem.

- Tak! To wytkowo zBy drapie|nik, taki szkodliwy!

- To mo|e - zaproponowaBem - zaBo|y przed jego jam |elazny potrzask. Mamy jeden w obozie...

- 'Nie da rady! - pokiwaB John gBow. - To zwierz tak przebiegBy, |e wywszy ka|de niebezpieczeDstwo i nigdy nie wpadnie w |elazo. To rzeczywi[cie le[ny diabeB!

Gdy wrócili[my do naszego obozu na cyplu nad jeziorem Marmette. StanisBaw, polski my[liwy znad rzeki Lievre, a mój towarzysz w ówczesnej wyprawie do puszczy pÓBnocnej, miaB ju| rozniecone ognisko i gotow wieczorz. PrzygotowaB nam pieczeD z Bosia, chleb z masBem z orzeszków ziemnych, plastry ananasów i gorc, sBodk herbat.

Potem, po kolacji, rozBo|yli[my si na ziemi i rozpoczli pogwark. Przewa|nie mówiB John, bo byB rozmownym Indianinem, co rzadko si zdarzaBo, a do[wiadczenie puszczaDskie miaB niezwykBe, podziwu godne.

- WidziaBem codziennie w ostatnich dniach - zwróciB si do mnie z tajemniczym u[miechem - jak prawie oczarowani wpijali[cie wzrok z góry na lasy i jeziora, gdy siedzieli[my na szczycie wzgórza. Prawda?

- Prawda! Puszcza wydaje mi si nad wyraz pikna, jest jak gdyby jakim[ przybytkiem szcz[cia... j.

- Szcz[cia! - wybuchnB John ni to z drwin, ni z |alem. -A tymczasem ile zBa jest w tych lasach, ile okrucieDstwa, ile srogo[ci! Od dzi[ za pi, sze[ miesicy ludzie mog gin tu z mrozu i z gBodu.

- To czsto si zdarza? - zapytaBem.

- Czsto... A ze wszystkich tych wrogów indiaDskiego my[liwego najgorszym mo|e by on, diabeB puszczy.

- Czy rosomak rzuca si na czBowieka? “

- Nie, gorzej: mo|e mu podstpnie zniszczy wszystkie [rodki do |ycia... I pozostaje tylko ndza, gBód, [mier...

Gdy John przekroczyB trzydzie[ci lat i miaB ju| do[ liczn rodzin, a jego pierworodny syn, Michel, dochodziB ju| dziesiciu wiosen, w Obid|uanie rozniosBa si wie[, |e na pÓBnocy odkryto okolic wy|tkowo bogat w zwierzyn futerkow. ByBy to lasy oddalone od rzeki Zwitego Maurycego o przeszBo sto dwadzie[cia mil w prostej lini jak wrona leci, midzy jeziorami Assinica i Comencho. Dwie rodziny, Johna i jego kuzyna Nicolasa Iserhoffa, postanowiBy sprÓbowa tam szcz[cia.

Kuzynowie, sowicie wyposa|eni we wszystko, co potrzebne do tra-perki, a byBo ich dwana[cie osÓb razem z dzie|mi, wyruszyli na pÓBnoc pod koniec jesieni na czterech Bodziach. Szcz[liwie dotarli do celu. Ostatnie kilkana[cie mil cig|ni swe manatki na toboganach, gdy| zaczynaB si mrÓz, a rzeki zakuBy si lodem na brzegach. Puszcza w istocie nie zawiodBa: obfitowaBa i w grubego zwierza, i w zwierzyn futerkow.

DziaBo si to mniej wiecej w roku 1906. Ju| w pierwszych dniach pobytu na miejscu w czasie stawiania wigwamÓw na zim w[rÓd panujcego nieBadu zauwa|ono, |e kto[ wykradaB im w nocy ró|ne rzeczy, zwBaszcza zapasy |ywno[ciowe. Wobec tego uwizano je na linach wysoko na gaBziach pobliskich drzew, tak |e worki wisiaBy par s|ni ponad ziemi, ale i to nie pomogBo. ByBy szkody.

WypadaBo worki z |ywno[ci chowa na noc do wigwamÓw, gdzie le|aBy tu| obok [piczych Budzi. Przez dwa dni byB spokÓj. Wtedy spadB [nieg i na tej [nie|nej, biaBej pokrywie wszystko si ujawniBo na tropach. Byl to rosomak, a mo|e i dwa. Jak gdyby on tu byB wBadc, przylaziB ka|dej nocy i wykradaB, co mu si podobaBo. PrzegryzaB [ciany wigwamÓw wykonane z t|kich gaBzi i dobieraB si do wszystkiego, co ludzie posiadali: niszczyB |ywno[, odzie|, skÓry, puBapki, koce. Wszystko nadgryzaB mocarn paszcz, a byB tak przebiegBy, |e nigdy nie daB si nakry.

Indianie, a szczegÓlnie Indianie le[|ni, my[|liwi puszczaDscy du|

r 99

wag przywizywali do snÓw. Iserhoffom zaczBy [ni si przykre rzeczy, zBowrogie demony. Ponura zima zwaliBa si na lasy.

Od pierwszego dnia po wzniesieniu wigwamÓw zakBadano w lesie |elaza na kuny, gronostaje, lisy, rysie, przy czym John wybraB wschodni poBa puszczy, Nicolas zachodni cz|. Rodziny obozowaBy o niespeBna dwie mile od siebie. John i jego dwaj najstarsi synowie, dziesięcioletni Michel i o[mioletni Joseph, zatoczyli w kniei krg okoBo trzydziestomilowy, rozmieszczajc |elaza co czterysta mniej wiecej kroków.

Krótko po zastawieniu puBapek naszedB na puszcza blizzard i zamie przez kilka dni nie pozwoliBa wyj| ze schronu. ZBowieszcze sny nie ustawaBy.

W grudniu si zi[ciBy. Gdy czteroletni Pierre, syn Johna, wygramoliB si o zmroku pewnego dnia, by z

brzozowego naczynia wyrzuci do lasu zrobion kupk, o kilka kroków od wigwamu zostaB napadnity przez dzikiego zwierza. Na urwany jego pisk wyskoczyB John z wigwamu z no|em w gar[ci, Zd|yB. DopadB zwierza i zaczB mu zadawa bByskawiczne ciosy. W gBow, w szyj, w komor, w brzuch. Straszny drapie|ca wydawaB w[ciekBe ryki. Nie daB si zabi. PrzyskoczyB Michel i równie| przebijaB go no|em, a kButy zwierz - w swym rozjuszeniu prawie niepokonalny! - tylko zBowrogo charczaB i staraB si gryz dokoBa.

- Odszkodzcie!! - krzyknB John do synów i le|cego Pierra porwaB z ziemi.

Drapie|ca, wyro[nity rosomak, byB tak pokButy, |e ju| nie mógB uciec i dogorywaB. John i Michel krwawili z wielu ran, na szcz[cie niegroznych. Natomiast Pierre, kochany brzdc, zawsze taki wesoBy, dlaczego si nie ruszaB?! John z przera|eniem zaniósB go do wigwamu. Pierre nie |yB. ZostaB zagryziony.

Rosomak, ów morderca, byB mniejszy ni| ry[, miaB ciaBo jakby spBaszczone i gBow spBaszczon, a nogi krótkie, cho nad wyraz muskularne. Co u niego uderzaBo, to nieprawdopodobna, wrzc demoniczna siBa, tkwica w tym cie|e. Wygl|daB niemrawo, tpawo, niemal|e potulnie: jaki| koszmarne zBudny pozór! ByB to rzeczywi[cie istny diabeB puszczy i morderca nad mordercami: tak silny, |e Batwo zagryzaB jelenia, a niekiedy i wilka, i rysia, i tak szataDsko przebiegBy, |e nigdy nie wpadaB w potrzask my[liwego, a ludzie byli wobec jego zBo[liwo[ci bezradni. Na szcz[cie byB drapie|nikiem do[ rzadkim w Kanadzie.

100

Zmier Pierra pogr|yBa w smutku caB rodzin, ale nie poddano si rozpacz. Puszcza wymagaBa hartu. Nale|aBo |y i walczy, i by niezBomnym, nie upadajc na duchu. Wyrbano gBboki dóB w zmarznitej na kamieD ziemi i tam zwBoki bezpiecznie zakopano.

Nie upada na duchu! A przecie| to byBa trudna zima, grozna. John, razem z Michele|em obchodzc|y lini puBapek |elaznych, stwierdziB z osBupieniem, |e nie byli sami: chytrze i tu ich okradano. Mieli wroga zaciekBego.

Gdy spadB mikki [nieg, Batwo odkrywano po [ladach, kim byB zBodziej: rosomak. Wy|eraB zBapanego zwierza, kun, nork czy lisa tak doszcztnie, |e tylko troch rozmazanej krwi na |elazie zdradzaBo winowajc. Niestety w tych ustroniach puszczy, midzy jeziorami Assinica i Comencho, musiaBo grasowa wyjtkowo du|o tych drapie|ników, co najmniej kilka, i to niesBychanie ruchliwych: traperzy zastawali wy|ar-te |elaza tam, gdzie si co[ zBapaBo, a gdzie si nic nie zBapaBo, rosomak umiaB podkopa si pod potrzask i wy|re od spodu misn lub rybi przynt. Na dobitek, jak gdyby kp|c z ludzi, przy ka|dej ograbionej puBapce rosomak pozostawiaB znak swej bytno[ci, grudk odchodów.

Przegld linii traperskiej trwaB zwykle trzy do czterech dni (my[liwi spdzali noce we wzniesionych na szlaku szaBasach), a gdy wracali do gBównego wigwamu zgaszeni, z goBymi niemal rkoma, zastawali rodzin w nowej udrc|e: rosomaki tu tak|e jak gdyby si uwziBy i co noc wyrz|dzaBy coraz sro|sze szkody.

Pilnowanie wigwamu i nocne czaty nie odnosiBy skutku. Na skutek niewyspania ludzie byli z dnia na

dzień sBabsi, a rosomaki dostrzegąBy wszystko. Za ledwie znużonego strażnika zaczął ogarniać bósenno, już rosomak, cichy jak duch, wciskał się do [rodka wigwamu i czynił zBo: nie tylko wyłaził zapasy żywności, lecz niszczył wszystko, co mu popadło, nawet kolby strzelb, rkojeści siekier. Czynił to tak chytrze, że nikt z [picich niczego nie sByszał. Trzy psy, które John zabrał z sobą, zginęły w pierwszych dniach po założeniu obozowiska.

W miesiąc po przybyciu na Bowisko zaczął straszyć widmo gBodu. Zapasy żywności katastrofalnie zmalały, polano lub zBożliwie zniszczone przez szkodniki. Zajcy nie były w okolicy. W tym czasie postrzelono drugiego rosomaka i, dopdzonego, przebito wBóchni i zabuczono siekier, ale to nie zmieniło rozpaczliwego położenia. Rosomaków było więcej w pobliżu. Miały niemal ludzki rozum i okrutnie mściwe, uwziły się zgubi Johna i jego rodzin.

101

W trzecim miesiącu John stracił drugie dziecko: picioletnia córka, wycieńczona gBodem, zmarła na jak[ zabójcz chorób.

W tym okresie Nicolas, na szczęście, zastrzelił Bosia. Kuzynowie, odwiecznym wśród Indian zwyczajem wspomagając się wzajemnie w biedzie, sprawiedliwie podzielili się misem. Zresztą Nicolas także pomstował na leżne diabły.

Ale w okolicy Johna diabelski wróg był szczególnie zawzięty. Powstały kłopoty z misem Bosiowym, jak je uchowa. Gdziekolwiek by powiesił na drzewie, rosomaki je dosięgały. John nie dosypiał, warował, strzelał do skradającego się drapieżnika i w końcu go trafił, ale w tej chwili drugi rabu[byskawicznie porwał duży poje i ulotnił się w ciemnościach. Ów trafiony daleko nie uszedł. Następnego dnia znaleziono jego [cierwo o dwieście kroków od wigwamu.

Napastliwa ich zuchwałosc nie miała granic, zakrawała na złe czary. Tylko demony mogły by tak potwornie wrogić. I tak licznie. John i wszyscy w rodzinie poczuli się oblężeni przez mściwe duchy. Wiedzieli, że nie było dla nich żadnego ratunku, jak tylko ucieka.

John z dwoma synami popieszył na linię i zaczął zbierać jełaza. Wszystkie były zatrzaśnięte, wszystkie zbierały jakieś zwierzęta futerkowe, ale rosomaki do czysta je wyłaziły. To była klęska. Trójka ludzi chciała możliwie najszybciej uporać się z tym zbieraniem pułapek, ale była zbyt osłabiona. Musiała często odpoczywać, a cigniecie sanek—toboganów z załadowanymi jełazami było prawie ponad jej siły. Wreszcie dowlokła się po czterech dniach do wigwamów. Odetchnęła, gdy zastała wszystkich przy życiu.

Dobrze do nich kuzyn Nicolas z rodzin (jeden chłopczyk umarł mu z gBodowego wyczerpania), i gdy zabierali się razem do odejścia, na skraju polany, o kilkadziesiąt kroków od nich, pojawił się rosomak. Stał i wydawał im się, że patrzy na nich szyderczo i dumnie jak zwycięzca.

John i Nicolas mieli winchestery pod ręką. Obydwaj prawie równocześnie strzelili. Zwierzę dostało, zachwiało się i padło, ale natychmiast wstało, zawróciło i zginęło za gaźkami mBodego [wierku.

- Ten ma dosyć! Zembrze! - rzekł Nicolas i machnął ręką. Chciał iść dalej.



- A je[li nie zemrze? - warknB John i nagle [mier Pierra stanBa mu przed oczami.

- NiedBugo pocignie! - skrzywiB Nicolas wargi z lekcewa|eniem.

102

% - A je[li pocignie! - parsknB John gniewnie. GwaBtowna nienawi[ go naszBa, byB jak oszoBomiony. Wpu[ciB nabój do lufy i powlókB si w stron zwierza. ChciaB biec, lecz na to siB nie starczyBo. DoszedB do miejsca, gdzie znikB rosomak. Nigdzie nie byBo go wida. John rozgldajc si bacznie, powoli brnB naprzód. Kilkadziesit kroków dalej ujrzaB go tu| przed sob.

- Diable le[ny! - zgrzytnB ze zgroz i nigdy w |yciu nie chwyciBa go taka nieprzytomna zBo[ jak w tej chwili.

- Diable le[ny! Diable le[ny! - powtarzaB jak w zaczadzeniu. RozpaliBa si w nim zawzito[, jak ból w ranie [wie|o zadanej. Rosomak |yB, ale byB widocznie w agonii. Gdy spostrzegB Johna,

straszliwie zacharczaB i w[ciekBo[ daBa mu nowe siBy. PowstaB, chciaB rzuci si na swego prze[ladowc. Mo|e dosignBby jeszcze my[liwego. PadB strzaB: zwierz zgarbiB si jak gdyby do skoku. StrzaB drugi -rosomak, cho znowu trafiony, ruszyB w kierunku Johna. Dopiero trzeci strzaB go powstrzymaB. CaBkowicie zdruzgotaB mu Beb i koszmarny zwierz, do ostatnich chwil przera|ajco |ywotny, padB wreszcie. Aeb miaB do polowy oderwany, ale jeszcze si ruszaB.

John wracaB do swoich. ByB tak znu|ony, |e nie mógb zdoby si na zadowolenie, ale byB przekonany, |e speBniB jaki[ [wity obowizek wobec sprawiedliwych siB nieziemskich.

Obydwie rodziny, powoli czBapic na raketach [nie|nych i cignc za sob naBadowane tobogany, doszBy po trzech dniach do miejsca, gdzie jesieni pozostawiBy swe kanu. Tu zBo|yBy |elaza i ju| bez Bódek i bez puBapek ruszyBy dalej, przebijajc si przez za[nie|one wertepy. Do Obid|uanu mieli sto mil do przebycia. ;

Lezli na pób |ywi, przemarnicy, wygBodniali, schorowani. Podobni do |aBosnych niedobitków armii, która poniosBa druzgocc klask. Byli pospni i znkani, ale wytrwali. Nie zBamali si na duchu, jeno ciaBa nie domagaBy. Wreszcie wiosn dowlekli si do Obid|uanu i dopiero tu po wielu tygodniach przyszli do siebie.

Tak ich pobiBy le[ne diabBy. Rosomaki.

John Iserhoff przestaB mówi. StanisBaw dorzuciB suchych gaBzi do naszego ogniska i |ywe pBomienie strzeliBy w gór. John dBugo si nie odzywaB, jakby jeszcze raz prze|ywaB grozn zim sprzed trzydziestu laty. Po dBu|szym milczeniu zwróciB si twarz do mnie:

103

- Wic rozumiecie, dlaczego je nazywamy diabBami le[nyimi... Potem jeszcze dodaB:

- I jak widzicie, te nasze lasy maj podwójne oblicze: latem mog by wdziczne i przyjazne,

dobroczyńne, urzekające, peBne zwierza i sBodkich jagód, jak chyba niewiele lasów na [wiecie, ale mog te| by zim tak wrogie i szkaradne, okrutne i zabójcze, |e niech Manitou ma Indianina w swej Opiece albo niech Nanabiszoz wezmie go w obron...

PrzypomniaB mi si pewien szczegóB w opowiadaniu Johna.

- A te Bodzie i |elaza - odezwaBem si - które zostawili[cie tam daleko na póBnocy, czy przepadBy?

- Ale| nie, nic podobnego! Zaraz nastpnej jesieni udaBem si tam na póBnoc w towarzystwie mych dwóch synów, mBodego Michela i mBodszeo Josepha i znalezi[my wszystkie kanu i |elaza nietknite...

- I zabrali[cie je szcz[liwie do Obid|uanu?

- Tak, ale dopiero po przeszBo póB roku...

- Nie rozumiem...

- Bogate Bowiska midzy j eziorami Assinica a Comencho znowu nas skusiBy i na najbli|sz zim w trójk dobrnli[my tam na t sam trapersk lini jak rok przedtem. Byli[my uzbrojeni niczym |oBnierze na wojnie, mieli[my specjalne puBapki z drewna na rosomaki i specjaln przynt na te diabBy, no|e i siekiery...

Johnowi zgasBa fajka, wic palcym si patykiem z ogniska ponownie j roz|arzyB, mocno pykajc.

- A to wszystko byBo niepotrzebne! - BypnB ku mnie jak gdyby rozweselonym okiem.

- Jak to? 4

- W puszczy midzy j eziorami |adnego rosomaka j u| nie napotkali[my. Po prostu ich tam nie byBo. Widocznie musiaBy wywdrowa. Za to mnóstwo wszelkiej innej zwierzyny futerkowej naBpwili[my co niemiara...

- Dlaczego rosomaki wywdrowaBy?

- ZatBukli[my wtedy owej fatalnej zimy jednak cztery rosomaki... Widocznie byBo to za wiele dla le[nych diabBów! Te monstra zupeBnie jk ludzie: lubi same zabija, a nie lubi by zabijane!... Nerwy im nie wytrzymaBy!... G

# 17. GDY BUDOWANO KOLEJ

## Trzecie wspomnienie Johna Iserhoffa

Podczas naszego obozowania nad jeziorem Marmette latem 1935 roku (jak już wspomniałem) niemal codziennie toczyliśmy rozmowy. Ja opowiadałem im, Johnowi Iserhoffowi i Stanisławowi, o Polsce, po czym John chętnie zabierał głos i mówił nam o swoim życiu.

Mniej więcej w roku 1910 rozpoczęła się wielka dzieła, budowa kolei przez Canadian Pacific Railways, kolei ważnej dla północnych lasów prowincji Quebec i dla Ontario. Kolej ta wiodła z Montrealu najpierw na wschód, ale nie docierając do miasta Quebec, skręcała na północ, by w okolicy La Tuque zawrócić na zachód, po czym przebiegała północne lasy pod Senneterre i Cochrane, walała dalej w zachodnim kierunku. Na swym północnym odcinku kolej zbliżała się do Obidjuanu na odległość sześćdziesięciu mil w linii prostej. Tu mostem przeskakiwała rzekę Oskelanoe, która przepływała z południa na północ, wpadała do rzeki Świętego Maurycego niedaleko obozowiska Algonkinów. Tu przy moście powstała później stacja CPR Oskelanoe, a Indianie w Obidjuanie mieli do stacji około siedemdziesięciu mil rzek. Blisko: było to dwa dni wiozowania.

Do budowy toru kolejowego w okolicy Obidjuanu CPR przyciągnęła kilkuset robotników z różnych stron Kanady i nawet ze Stanów Zjednoczonych, a gdy okoliczni Indianie zgłaszali się do tej pracy, chętnie ich przyjmowano: rzekomo zawsze było za mało.

Indianie robotnicy dobrze się czuli w nowym środowisku: pieniądze były wysokie, w skupisku tysięcy robotników panowały nastroje wesołe, dziarskie i awanturnicze, w szybko powstałych saloonach lały się strumienie rumu i whisky, przybyły lekkie dziewczyny z miasteczek, a codziennie wieczorami odchodziły śpiewy i tańce, wrzaski i bijatyki - słowem: Algonkinowie w tym nowym otoczeniu dobrze się czuli.

Zarabiali dużo, ale jak to Indianie, zarobki szybko trwonili: sami pili nadmiernie, fundowali kolegom lub kupowali bezwartościowe baskotki. John Iserhoff należał do niewielu rozumnych, którzy oszczędzali z myślą o jutrze. Także w wielu innych sprawach różnił się on od swych współplemieńców.

Za młodu uczył się kilka lat w szkole u zakonników i przyswoił sobie sporo wiedzy o świecie, a później dalej kształcił się, bdc praw r

105

Coopera, agenta Kompanii Zatoki Hudsona w Obidjuanie. Wśród białych ludzi najczęściej zaznaczał się w jego stosunku do Indian. Nie uważał jej staroindiańskim zwyczajem za coś niższego od siebie, lecz kochał ją szczerze, gębok miłości, niezwykła u Indianina. A John Iserhoff w istocie był Indianinem, już nie Metysem, pomimo że miał w swym rodowodzie praszczura w dziewiątym czy dziesiątym pokoleniu, Rosjanina Iwana.

John cenił swą żonę Christine, zwaną także Dorodną Malin, jako dobrą i rozumną towarzyszką życia. Urodził się czworo dzieci, a mimo to, mając blisko trzydzieści lat, pozostał nadal wysmukłym, powabnym kobiet. Nie był piknocelem, nosił trochę otyłości, natomiast gdy się uśmiechał, John widział w

tym u[miechu caB jej urzekajc dusz.

Spraw budujcej si kolei zainteresowani byli nie tylko m|czyzni Algonkinów, lecz tak|e kobiety. One mo|e nawet wiecej ni| oni. ByBa to, niestety, niezdrowa ciekawo|. Niewiasty lubiBy przypBywa samodzielnie do kolei na swych kanu i nagabywane przez rozochoconych a jurnych robotników, nie odmawiaBy gorzaBki ni taDców, ni umizgów. Rozbawione i pijackie nastroje odpowiadaBy im, tym bardziej |e zalotnicy hojnie szafowali dolarami.

Pracujcy przy kolei Indianie mieli swój wBasny obóz, nieco z dala od toru, wic trudno im byBo upilnowa kobiety. Wzywianie do rozsduku lub dawanie im w skór maBo pomagaBo.

John Iserhoff na pro[b Christine pozwoliB jej raz przypByn do kolejowego obozu i pozosta przez noc. Wieczorem zaprowadziB j do saloonu i zaproponowaB jej wypicie kieliszka whisky. OdmówiBa, wolaBa sBodk lemoniad i cukierki. A nastpnego dnia, zniechcona prostactwem biaBych pijaków, odpBynBa do Obid|uanu.

Kilka dni pózniej John ujrzaB z daleka sw |on w robotniczym obozie i przykro si zdziwiB, |e tak niespodziewanie tu przybyBa. DogoniB j. ZmieszaBa si, ale natychmiast wyja[niBa:

- PrzypBynBam po sprawunki.

Zadr|aBo mu serce, gdy z ust jej poczuB zapach alkoholu.

- Sama przypBynBa[?

- Nie, z kilkoma przyjacióBkami...

- Gdzie one?

- Nie wiem. RozeszBy si. U[miechnBa si dowcipnie:

- Ale zaraz wracamy...

106

John musiaB i| do pracy i po|egna si z |on.

Wkrótce spokojn i rozumn dotychczas Christine jak gdyby sam szatan optaB. John wBasnej |ony nie poznawaB. Nie mogBa oprze si nagBej pokusie, jak staB si obóz kolejowych robotników. Po kilku dniach znowu przypBynBa, ale Johnowi wcale si nie pokazaBa. Tylko przypadkowo odkryB j w dalekim saloonie, gdzie w zacisznym kcie siedziaBa z mBodym gachem, rubasznie si do niej dobierajcym.

- Christine! - krzyknB oburzony John.

WzdrygnBa si, spojrzeBa na woBajcego mtnym wzrokiem i niezdarnie powstaBa. Facet, z którym piBa, miaB równie| w czubie. ChwyciB j brutalnie Bap za rami i chciaB przydusi do stoBka,

bulgoc:

- Nie bdz gBupia! Nie sBuchaj tego wszawego dziadygi!...

Dziadyga” miaB trzydzie[ci cztery lata, obcy facet co prawda dwa^

dzie[cia cztery.

Christine wyrwaBa si mu przemoc i ze zB min przyczBapaBa do Johna.

- Czego chcesz?! - warknBa.

- Wyjdzmy std! - za|daB.

Gdy wyszli i powoli kroczyli w kierunku dalszych namiotów, John trzymaB si w gar[ci. Spokojnie czyniB jej wyrzuty i przypominaB, |e ma m|a i dwóch dorastajcych chBopców. Wtedy ona gwaBtowanie podniosBa na niego zB, szydercz twarz i |achnBa si gniewnie:

- GBupstwa gadasz!... ChBopcy dobrze wyrosn beze mnie!...

- A ja, twój m|?

- Nie chc ciebie! - syknBa. - Mam dwadzie[cia osiem lat, a nie sze[dziesit, i chc mie dobre |ycie, a nie tuBa si po dzikich lasach i przymiera gBodem...

- Christine, opamitaj si!

Lecz z jej zawzitych ust sypaBy si coraz sro|sze sBowa, jak trucizna, jak w[ciekBy grad.

- Jestem dorosBa, mog robi, co chc!... Nie bredz mi, |e jestem ci bliska!... Na pewno znajdzie si kto[, kto postawi mi brandy!... Dla mnie bdzie lepiej, jak si rozejdziemy!... Jestem tylko twoj znajom, nie blisk!...

- Christine! Nie pij! Nie mów tych strasznych sBów!... - nalegaB John wci| opanowanym gBosem, chocia| musiaB si z caBych siB powstrzymywa, by nie wybuchn.

W nastpnych dniach spotykaB j w obozie i dwa, trzy razy staraB si

107

przemówi jej do sumienia, do serca, do rozumu: daremnie. ByBa gBucha i zBowroga. BrnBa coraz gBbiej w bBoto, a jej gachom na imi byBo Fred, Jim i Louis; byBa to szajka ciemnych kreatur, na których twarzach rozpusta i zbrodnia wycisnBy pospoBu swe pieczenie.

Fatalne miesice, kiedy nad rzek OskeBanoe staBo obozowisko kilkuset robotników budujcych kolej, byBy tragicznym okresem dla mieszkaDców Obid|uanu. Rozpijali si zarówno Indianie jak Indianki, a do tego mBode Indianki uprawiaBy nierzd, z kim si daBo. ByBo to szaleDstwo, byB to obBd

rozwiB[ci. Niemal caB dorosB ludno[ Obid|uanu, kobiety i zara|onych przez nich m|ów, trawiBy choroby weneryczne. Krzepki dotychczas szczep kanadyjskich my[liwych stanB u progu zagBady.

Nie zginB! ZnaleZli si starcy w[ród Algonkinów, znawcy rzadkich ro[lin leczniczych w puszczy, i dziki tym lekom udaBo si zdBawi jako tako niszczyielskie choroby. Niewtpliwie przyczyniB si do tego w pewnej mierze tak|e wyjtkowo zdrowy klimat pÓbnocnej puszczy, jej wspaniaBe |ywiczne powietrze i przeczyste wody jezior i rzek.

Jakkolwiek z ówczesnych tarapatów mieszkaDcy Obid|uanu jako[ si wykaraskali, to jednak wyszli osBabieni. Dlatego w nastpnych latach rzuciBa si na nich nowa choroba, dotychczas im nie znana, a równie zabójcza jak poprzednia: gruZlica. Wszyscy chorowali, wielu umieraBo. Na szcz[cie i t epidemii opanowano, do czego przyczyniB si i klimat, i - aktywna tym razem - pomoc kanadyjskich lekarzy i ich lekarstw.

Ale wrómy jeszcze do feralnego obozu kolejowego nad rzek OskeBanoe. Gdy po kilku miesicach obóz zwinito i robotnicy udali si w inne strony toru, razem z nimi byBa Christine. Za[lepiona, otumaniona, trzymaBa si pijackiej trójki, owych podejrzanych gamratów, Freda, Jima i Louisa. PiBa. PiBa zrazu z wariackiego zuchwalstwa, potem inaczej, zalewajc robaka. ZbrzydBa, zapadBa na zdrowiu. NadszedB upadek siB, przyszBy wyrzuty sumienia. Trzem rozrabiaczom si sprzykrzyBa, którego[ dnia wygnali j.

Po pÓbrocnej nieobecno[ci scherlaBy cieD dawnej Dorodnej Maliny przyw|ókB si do Obid|uanu i gdy zapadBy wieczorne ciemno[ci, kto[ ostro|nie zapukaB do drzwi domku Johna. PosiadaB ju| dom zбитy z desek, chocia| obok staB wci| jeszcze dawny, rodzinny wigwam z gaBzi i skóry Bosiowej.

Wszyscy trzej byli w domu: John oraz czternastoletni Michel, ju|

108

dobry my[liwy, i dwunastoletni Joseph. Gdy kto[ zapukaB, Michel zerwaB si i uchyliB drzwi. W skpym [wietle kaganka wydaBo mu si, |e ujrzaB szkaradn zmor czy zBowieszczeo demona. SpozieraB przera|ony na zjaw, a| poznaB.

- Mama!... - ochryple wrzasnB Michel jeszcze bardziej przera|ony. Ona postpiBa krok, zatoczyBa si, upadBa na podBog. Dostoczyli

i zemdlaB zanie[li na posBanie ze skór. Gdy przyszBa do siebie, jak urzeczona struchlaBymi oczami zachodzcymi Bzami, patrzyBa na synów, a peBna straszliwej trwogi na Johna: czy j zabije, czy przeklnie i wypdzi?

Christine nie byBa ju| czBowiekiem zdolnym cokolwiek wykrztusi, byBa smtnym szcztkiem, rupieciem budzcym gBbok lito[. Gdy John podszedB do niej, zamknBa oczy#i skuliBa si, przekonana, |e j zabije. Lecz on pow|ókB rk po jej policzku i szepnB:

- PrzyszBa[, to dobrze. Jeste[ u swoich. Wyzdrowiejesz!

I na tym stanBo. ByBa ci|ko chora; troskliwie ni si zaopiekowali.

W czasie pijatyk z trzema chuliganami, Fredem, Jimem i Louisem, wygadaBa si, |e indiaDscy my[liwi wiosn zwykli wraca z zimowych Bowisk, przywo|c do Obid|uanu liczne wizki skórek. Wiadomo[ ta rozbudziBa zbrodnicz wyobrazni Bobuzów, wie postanowili spróbow|a szcz[cia najbli|szej wiosny. Przyczaili si niedaleko Obid|uanu, ukryci w nadbrze|nych oczeretach rzeki Zwitego Maurycego.

Tak si zBo|yBo, |e w tym czasie wBa[nie wracaB z Bowów John z synami Michele i Josephem.

Gdy Indianie zbli|yli si do miejsca zasadzki, Bódka zaczajonych napastników wypBynBa z ukrycia i caBa ich trójka, majc winchestery, nieomal jednocze[nie wystrzeliBa do Indian. Michel, trafiony w sam pier[, tylko jknB i osunB si na spód Bodzi. John, dra[nity kul w rami, natychmiast ukryB si za burt, tak samo j ak Joseph, wcale nie trafiony. Obydwaj, John i Joseph, mieli swe karabiny pod rk, mBodociany Joseph posiadaB karabinek 0,22.

Napastnicy, przekonani |e wszystkich trzech Indian poBo|yli trupem, z okrzykiem triumfu podpBywali do indiaDskiego kanu, gdy John raptownie si wychyliB. Zaskoczeni nie zd|yli sign po broD. John daB ognia i powaliB pierwszego przeciwnika. Syn Joseph równie| wystrzeliB z powodzeniem: z odlegBo[ci zaledwie kilkunastu kroków padB drugi napastnik. Trzeciego poBo|yBa kula z karabinu Johna.

NastaBa cisza. SBycha byBo tylko sBabe rz|enie konajcego przeciw—

109

?V:0. Gdy John spojrzeB na le|cego bez ruchu Michela, koBem stanBy mu oczy z przera|enia.

- Michel! - wyrwaB mu si zdBawiony jk. Michel le|aB ju| martwy.

- Michel! Michel! - powtarzaB ojciec: nie mogBo pomie[ci mu si w obolaBej gBowie, |e straciB najstarszego syna. Dopiero po dBugiej chwili otrzsnB si ze zdrtwienia i kazaB Josephowi, by koszul obwizaB mu lewe rami. Nastpnie przywizali lin Bódz z trzema zwBokami napastników do swego :0? 8 V ruszyli ku nieodlegBemu Obid|uanowi. Po kilku godzinach mczego wiosBowania dotarli do celu.

Gdy pierwsze wzburzenie ludno[ci Obid|uanu nieco si uspokoiBo, przygramoliBa si tak|e nieszczsna matka Michela. ZwBoki jego le|aBy na razie nad wod, a troch dalej rzucono zwBoki trzech zbójców.

Christine na widok martwego syna, tracc zmysBy, zwaliBa si z nóg. Gdy potem ujrzaBa trupy trzech Botrów, zaczBa si rodzi w jej mrocznej gBowie [wiadomo[, kto zabiB jej syna. Zbrodniarzami byli jej niedawni przyjaciele pijacy.

Tego ciosu nie zniosBa. PopadBa w obBd; dBugo nie po|yBa.

Gdy John Iserhoff skoDczyB opowiadanie, zapadB w zadum. StanisBaw, który pilnowaB ogniska, zagotowaB tymczasem imbryk wody, zaparzyB kaw, pocztowaB nas. Potem John pospnie do mnie si u[miechnB, jakby przepraszajc za smutn opowie[.

- wier wieku minBo od czasów budowy kolei - rzekB - a przecie| trudno zapomnie... Christine, moja |ona, byBa kiedy[ dobr kobiet, miaBa czuBe serce, ale potem... Co potem z ni si staBo?... Czasem, mój Bo|e, czasem wydaje mi si, |e i ja nie jestem bez winy. {e jej za maBo bronieBem. {e powinienem byB przemoc odcignj od zguby!... Czyja j te| zabiBem?!

- Nie! Nie zabiBe[ jej! - odpowiedziaB pobo|ny StanisBaw. - ZabiB j grzech!

## 18. REZERWO]AR GOUIN

Czwarte wspomnienie Johna Iserhoffa

Zaledwie Algonkinowie w Obid|uanie oswoili si z istnieniem kolei |elaznej na poBudniu, gdy zaczBy kr|y po puszczy niepokojce wie[ci o nowych, groznych poczynaniach biaBych ludzi. Nawet Cooper, agent faktorii Hudson's Bay Company, zaczB o tym tajemniczo przebkiwa i stroi dziwne miny, jak gdyby obawiaB si nieszcz[cia majcego na wszystkich spa|. PogBoski byBy tak zBe, |e Indianie kiwali gBowami i nie dawali im wiary. Bo jak|e to? Czy| mieli straci wszystkie te lasy, które ich otaczaBy, które dawaBy im od niepamitnych pokoleD zwierzyn i mo|liwo[ |ycia? CaBa ta puszcza miaBa by zatopiona?

Niestety pogBoski i plotki okazaBy si prawdziwe: biali ludzie zbudowali na rzece Zwitego Maurycego ogromn zapor, oddalon okoBo siedemdziesit mil od Obid|uanu, w |rodkowym biegu rzeki, niedaleko miejsca, gdzie rzeka Wahano wpadaBa do Zwitego Maurycego. Wiele miesicy trwaBo powolne wzbieranie rzeki. Algonkinowie patrzeli z osBupieniem na przybór wody jak na nadcigajc chmur nieszcz[cia, jak na zbli|ajcy si wyrok |mierci na ludzi. Rzeka, która byBa dotychczas |yciodajnym zrodzajem-arteri zmieniaBa si w zabójczego potwora, nieubBaganego demona, jakiego Indianie dotychczas nie znali. Jak gigantyczny jaki| Rosomak, DiabeB Le|ny o niebywaBej postaci i potdze rósB i pczniaB wodny |ywioB i po|eraB na oczach Indian ich ojczyst puszc.

Katakлизм zaczB si wiosn wraz z tajeniem Bodów, w sierpniu podpeBzB ju| pod wzgórze, na którym staBy chaty i wigwamy Obid|uanu. W miesic później, poBykajc doszcztnie rzek Zwitego Maurycego, zatopiB caB dolin na poBudnie od sioBa i caB puszc tam rosnc a| po konary starych drzew. Dopiero tu| u stóp Obid|uanu wreszcie si zatrzymaB i dalej nie wzbieraB. Dzi| rozciga si tu wieBomilowe jezioro Marmette, a za tym jeziorem powstaBa caBa sie innych licznych jezior i labirynt le|nych wysp, wysepek i rozlewisk: to dzisiejszy Rezerwuar Gouin, o obszarze trzech i pÓB tysica mil kwadratowych.

Podobnie jak ludzi, niepokój ogarnB tak|e wszelk zwierzyn. Aosie, niedzwiedzie, wilki opuszczaba swe mateczniki i podniecone kr|yBy tu i tam. Widziano je w ró|nych miejscach. ByBy to zwierzta w wikszo[ci nawykBe do wody i znakomicie pBywajce, wic gdy woda przestaBa

111

przybiera, pozostaBy w dotychczasowych lasach. Ostpy byBy tylko uszczuplone o blisko poBow na skutek trwaBej powodzi.

Takie uszczuplenie Bowisk potpiaBo wielu mieszkaDców Obid|uanu, w tym tak|e ludzie z rodu



Iserhoffów. Niezno[na i dokuczliwa byBa zale[no[ ich [ycia od kapry[nych pomysBów i praktyk biaBych ludzi. Tote| wiele rodzin postanowiBo opu[ci Obid|uan i wywdrowaBo wkrótce na pÓBnoc, prawie dwie[cie mil nad wielkie jezioro Mistassini. Mieszkali tam Indianie Kri, pobratymcy Algonkinów, w[ród rozlegBych, nie tknitych puszc peBnych zwierza. Do dzi[ spotka mo|na nad Mistassini wielu Algonkinów z rodu Iserhoffów.

John Iserhoff byB przeciwny tej wdrówce krewnych, ale nie potrafiB nakBoni ich do pozostania.

- Daj nam-pokój! - wzdragali si.

- Biali ludzie zanadto wBa| nam tu na pity...

- Z biaBymi mo|na [y - przedkBadab John. - Taki Cooper jest nam przyjazny,...

- Cooperów jest maBo, natomiast wrogich nam awanturników coraz więcej. Sam zreszt przekonaBe[ si o tym na wBasnej skórze!...

W tych sBowach niestety byBo wiele prawdy.

Jeszcze tego samego lata zaczBy dzia si w lasach midzy Obid|ua-nem a niedawno zbudowan kolej [elazn zatrwa[ajace wypadki. IndiaDscy my[liwi ginli bez [ladu. Dwóch mBodych Iserhoffów wypBynBo kiedy[ na polowanie, by ustrzeli Bosia i wróci w cigu tygodnia: nigdy nie wrócili, przepadli jak kamieD w wodzie. Niebawem staBo si to samo z do[wiadczone[m, starszym Indianinem z rodu Czajczaj: wypBynB na kilka dni do lasu i tak[e zginB. Rodzina jego wiedziaBa, dokd si udaB, wic wysBano kilka Bodzi wywiadowczych za nim. Nic nie znaleziono, ani kanu, ani my[liwego, ani psa, z którym wypBynB. W Obid|uanie zaczBy kr|y mtne wie[ci o tajemniczych demonach, tuBajcych si po zatopionych powodzi lasach.

Zatopienie wielu cz[ci puszczy ni[ej poBo|onej - o czym byBa mowa -nie uszczupliBo zwierzostanu okolicy. Co [yBo, wycofaBo si i skupiBo na wy[szych terenach. Teraz wic jak gdyby Batwiej byBo ustrzeli Bosia czy nawet niedzwiedzia, bo cz[ciej si na nie nachodziBo.

Dwóch mBodych przyjacióB, ka|dy na swoim kanu, Armand Czajczaj i Paul Iserhoff, wyruszyBo pewnego poranka na polowanie. PBynli wzdBu| dawnego Bo[yska rzeki Oskelanoe, majc obecnie z prawej i z lewej strony zatopion kniej.

112

t

Gdy oddalili si od Obid|uanu o jakie dziesi mil, zauwa[yli przed sob z daleka podejrzaný ruch midzy krzewami na brzegu lasu. Nagle wyprysnBy stamtD na otwart wod dwie Bodzie, a w nich siedziaBo czterech chBopa. Byli to biali.

Oddaleni od obydwóch Indian prawie trzysta kroków, od razu otworzyli do nich ogieD. Armand zostaB powierzchownie zraniony, natomiast Paul uszedB caBo. MBodzieDcy pBynli dotychczas blisko brzegu zatopionego lasu, wic teraz gwaBtownie skrcili swe kanu midzy drzewa i zniknli w[ród

ich koron.

Wiosnowali jak szaleni, kanu mieli niedużo i to im sprzyjało. Przemykając zresztą wśród konarów i gałęzi, wdzierali się coraz głębiej w puszczy. Szybko rozszoszczono głosy ścigających ich ludzi, ale im tamci mieli większe bodzie, trudniej im było ich gonić. Pozostawali w tyle. Przestali ich widzieć i tylko słyszeli z dala wrzaski. Potem i one zamilkły.

W miejscu, gdzie był zwarty gęszcz, zaszyli się i czekali. Paul przewiżał druhowi niegroźną ranę na ramieniu. Chociaż napastnicy umilkli, nie dowierzali ciszy. Z karabinami w rękach wsłuchiwali się w las. Postanowili drogo sprzedać swoje życie, gdyby przyszło do spotkania. Mieli obaj po osiemnaście lat. Ale upływały godziny, nic się nie stało. Widocznie czterej bandyci zaniechali pogoni i odpłynęli.

Jednej rzeczy Paul Iserhoff nie rozumiał: o co chodziło tym czterem zbójcom? Przecież nie mieliby żadnej korzyści, zabijając ich. Nie zdobyliby żadnych łupów. Wic dlaczego chcieli ich zabić?

Gdy nastała ciemność, Paul i Armand ostrożnie powrócili do brzegu lasu, a wydostawszy się na otwartą wodę, co się pośpieszyli do Obiduanu. Nikt ich nie powstrzymał. Dziesięć mil przebyli w niewiele godzinach. Po przybyciu do sioła, natychmiast, jeszcze w czasie nocy, zawiadomili Johna Iserhoffa o wydarzeniach poprzedniego dnia.

Już o wschodzie słońca kilkanaście łodzi z uzbrojonymi wojownikami wyruszyło w pościg za zbójcami. Należało przypuszczać, że zbrodniarze przybyli w te strony kolejną żelazną i na czółnach przywiezionych ze sobą, ruszyli nabrzmią od powodzi rzek Oskelanoe na północ, ku legowiskom Algonkinów. Toteż tu, w pobliżu rzeki i nad jeziorami, które powstały wskutek tamy Gouin, ścigający przeszukiwali nadbrzeżne zarośla i knieje. Dotarli na południe prawie do toru kolejowego, lecz nikogo nie odkryli. W tych bezmiernych lasach łatwo było się ukryć. Zboczyłcy nie pozostawili po sobie żadnego śladu. Musieli to być

Wśród Indian.

113

ludzie obcy z puszczy. Jedyne w pewnym miejscu nad wodę znaleziono resztki czyjegoś niedawnego obozowania, i to było wszystko. Po kilkudziesięciu daremnych przetrzaskaniu całej okolicy Algonkinowie wrócili do Obiduanu.

Wszyscy w wiosce zachodzili w głowę nad tajemniczymi zabójstwami. Dlaczego komuś zależało na zabijaniu myśliwców z Obiduanu i na sianiu wśród nich terroru? Kim byli owi zbrodniarze? Czy jakimiś maniakalnymi wrogami Indian? Długo dociekano we wiosce, wszakże na próżno. Po ostatnim napadzie na dwóch mężczyzn myśliwców nastał spokój w okolicy, nikt Algonkinów więcej wówczas nie napastował. Drcząca zagadka pozostała na zawsze nie wyjaśniona tajemnicą I jedyną z wielu w tych gęstwinach leżącą.

# 19. OSTATNIA WALKA JOHNA ISERHOFFA

Mili Czytelnicy, teraz ja, Marek Fiedler, podejm opowie[ o dalszych losach my[liwców le[nych z Obid|uanu.

Gdy jesieni 1935 roku przyszBo mojemu ojcu legna si z Kanad, wyje|dajc, solennie przyrzekaB sobie, le jeszcze tu wróci. I rzeczywi[cie, w dziesi lat pózniej, w 1945 roku, ponownie zaniósBo go dc| kuszcej Krainy Klonowego li[cia. Przez kilka miesicy przebywaB w Ontario i Quebecu, znalazB wówczas takle czas, leby wyrwa si naj póBnoc, do swych oddanych przyjacióB, Algonkinów. Wprawdzie wikszo[ ich przebywaBa wtedy daleko w lasach, na Iowach, ale zasByszaB; le cz[ rodzin spdzaBa zim w samym siole.

ByBo to pod koniec marca, wci| jeszcze panowaB w puszczy siarczysty mróz, a rzeki i jeziora byBy gBboko zamarznite. Po trzech dniaoh przebijania si przez kopiasty [nieg dobrze sobie znanym szlakiem; wiodycm od kolei |elaznej Bo|yskiem rzeki Oskelanoe, dobrnB wresz> cie do domostw Obid|uanu. ju| z daleka ujrzaB dwóch starszych IndiaS na dworze; zapewne wybierali si w drog, bo zajci byli doprowadzaB niem do porzdku uprz|y w psim zaprzgu. Zbli|ywszy si do nici rozpoznaB w obu bliskich druhów Johna Iserhoffa, lecz nie pamitaB ic|

imion.

Przerwali prac i spojrzeli na ojca ciekawie. ByB tgo okutany, n? domiar rzsy i policzki pokrywaBa mu gruba warstwa szronu, Dopiu

gdy do nich serdecznie przemówiB i przywoBaB im na pami minione chwile sprzed lat, zrobili wielkie oczy ze zdumienia. Poznali go.

- A John? - spytaB ojciec po chwili, gdy| przede wszystkim ch ponownego u[ci[nicia dBonu starego przyjaciela tu go sprowadzaBa. -Co z nim? Jest w Obid|uanie?

- A jakle, jest! Doprawdy, sprawicie mu nie lada rado[ waszym przybyciem! John czsto was wspomina.

- Tylko le... - odezwaB si drugi Indianin i raptem u[miech zamarB I8 na twarzy. Jako[ dziwnie na przybysza popatrzaB. - Niedobrze z nim. Choruje ostatnio...

- To co[ powa|nego? - zaniepokoiB si ojciec nie na |arty. - Nie mo|e chodzi? Nie wstaje?

- Gorzej - odparB zgaszonym gBosem Indianin. - On traci wzrok. Grozi mu [lepota.

ChBód przeszedB ojcu po plecach. WiedziaB a| nazbyt dobrze, czym s oczy dla Bowcy le[nego. Bystre, nieomylnie oczy. Gdy mu ich zabraknie, to tak jakby mu zabrakBo powietrza, którym odycha. Dla biaBego czBowieka z miasta utrata wzroku to ci|kie kalectwo, z którym jednak mo|e dalej |y, natomiast dla Indianina w puszczy - to ostateczna katastrofa. Je[li nawet nie zginie od razu wskutek niemo|no[ci upolowania czegokolwiek, to i tak niebawem zabije go koszarne poczucie wBasnej bezradno[ci, pora|ajcego niedoBstwa. Tutejszy surowy kraj nie toleruje takiej sBabo[ci.

Gdy wkrótce ujrzał Johna, ał [cisnął mu gardło. Stary Indianin był wymizerowany, zszarzał, [cisnął się, wbił [ciwie został z niego skóra i kości. Co ojca jednak pokrzepiło, to to, że John go rozpoznał, gdy tylko doń przystąpił.

Przez parę chwil obaj trwali w niemym wzruszeniu - i wówczas nagle oczy Indianina poczęły wilgotnie i gołcie nieznanymi w tych oczach, były zamigotały na jego rzęsach. John próbował się pohamować, lecz na próżno, nieposłuszne były ciśnęły mu się do oczu.

- Dlaczego przybył tak późno? - powtarzał raz po raz głosem cichym, nabrzmiałym od smutku. - Dlaczego tak późno? Tyle miałem dla ciebie niedzwiedzi, tyle łosi... Teraz wszystko już na nic. Na nic...

- Ej, Johnie! Jeszcze nie raz ruszymy razem w kniej, nie raz zapolujemy na zwierza! - ojciec próbował dodać mu otuchy, jak tylko umiał, choć wszakże, że sowa niepokojco wisi mu w gardle.

- Tak, tak... - myśliwiec pokiwał tylko smutnie głową.

114

115

W sam por nadeszła siostra Johna. Podała im w miskach wonne pieczenie z łosiem i zachęcała do jedzenia. Ojciec nie dał się długo prosić -przecież od trzech dni nie miał w ustach nic innego prócz skrypy porcji z puszek, które taszczył z sobą w plecaku. Także i John się ożywił; wprowadził misa ruszył tyle co nic, za to wziął się jako tako w garść i podczas gdy jego gość pochłonął był posiłkiem, przetarł ukradkiem oczy do sucha.

Potem przy fajce rozgawdzili się obaj serdecznie o wspólnych pamiętnych przeżyciach w lesie, o pięknych porankach w obozowiskach nad jeziorem Marmette, o nowych tropach i bogactwie zwierzyny. Myśliwiec radził leciał w przeszłość - a oto zdało im się, że ich barwne wizje puszczy wypłynęły po pułap chat Johna i rozświetliły zaskakująco jej skromne wnętrza.

Czas wspomnienia płynął szybko; miał się już ku wieczorowi, więc niebawem ojciec polegnał się z Johnem, tym bardziej że chory już zdradzał objawy zmęczenia. Obiecał mu, że przyjdzie do niego nazajutrz.

Udał się do Franklanda, agenta placówki Hudson's Bay Company, następcy Coopera, który zaprosił go do siebie i ofiarował nocleg w swej kwaterze. Od niego dowiedział się szczegółów o chorobie Johna.

Pierwsze symptomy wystąpiły jakieś dwa lata temu. John liczył sobie wówczas sześćdziesiąt osiem lat, ale cigle trzymał się krzepko. A nagle coś się w nim zmieniło. Spadał z siły, a co gorsze, jego najbliżsi wnet poznali, że psuje mu się szybko oczy.

Raz płynął ze swym synem Josephem w górę rzeki Toussaints. Za jednym z załomów rzeki natopaczyli się na tego łosia, zanurzonego niemal po kark w wodzie, o pięćdziesiąt kroków przed nimi. Zwierz poderwał się i zamierzył na widok intruzów. Zgłupiał widocznie. John zaś błyskawicznie po

strzelb, któr miał nabit na dnie kanu. Chybi z takiej odlegBo[ci byBo nie sposób: byk wci| trwaB w miejscu niczym zaklty. Wszelako gdy Indianin wypaliB raz i drugi - Bo[ gwaBtownie si zerwaB, wyprysnB na brzeg i sadzc dalej ile siB w badyłach, przepadB i w gstwini. A na swym tropie nie zostawiB bodaj jednej kropli farby.

My[liwiec dBugo krciB gBow z niedowierzaniem. Takle Joseph spogldaB na niego przykro zaskoczony; przecie| ojciec jego sBynB zawsze z niezawodnego oka.

ByB to pocztek pasma niepowodzeD Johna, otdt coraz cz[ciej wracaB z Bowów z pustymi rkoma. Bardzo cierpiaB nad tym. ZamknB si w sobie, spospniaB.

Frankland na chwil zamilkB, dorzuciB drew do pieca i podjB smutn Opowiesc:

- ProsiBem dwóch lekarzy, którzy z ramienia rzdu nadzorowali akcj szczepienia Indian le[nych w Quebecu, leby go zbadali I tak te| Si staBo. Niestety, obydwaj bezradnie rozkBadali potem rce: Johna trawiBa nieuleczalna, beznadziejna choroba. Mówili, le caBkowite o[lepnicie jest w jego przypadku tylko kwestii czasu. I to niedBugiego czasu.

Na koniec agent zapewniB ojca, le John nigdy nie zostanie opuszczony, le zawsze znajdzie pomocn dBoD i opiek ze strony bliskich i przyjacióB. Jego syn, Joseph, byB dzielnym my[liwym, tote| w spi|arni Iserhoffów z reguBy nie brakBo [wie|ego misa. Takle i on, Frankland, pomny, le John Bata caBe byB jego praw rk i podpor, nie dopu[ci, by dziaBa mu si jaka krzywda.

W nastpnych dniach, dyskretnie obserwujc najbli|sze otoczenie Johna, ojciec nabraB przekonania, le w istocie ma on wokóB siebie znacznych, oddanych ludzi. Ojciec znajdowaB w tym pociech - niemniej gdy nadeszBa chwila rozstania si ze starym druhem przed jego odjazdem z Obid|uanu, chwyciB go |al. Bo przecie| wiedziaB, le legna si z przyjacielem na zawsze.

W kilka miesicy pózniej, gdy byB ju| w Europie, doszBy do niego z Obid|uanu wie[ci, których si lkaB. John nie |yB.

Frankland w li[cie do niego pisaB, le owego smutnego dnia wnuk Iserhoffa, maBy Paul, wróciB z lasu przejty do gBbi, bo wypatrzyB czarnego niedzwiedzia, waBsajcego si na zboczu niedalekiego wzgórze. Rodziców Paula nie byBo akurat w domostwie, wic chBopak wzruszonym gBosem opowiedziaB o swym odkrycia choremu dziadkowi.

John widziaB wtedy ju| bardzo zle. A jednak bez namysBu nabiB fuzj na grubego zwierzca i ruszyB z ni we wskazanym kierunku, ka|c wnukowi pozosta na miejscu.

Stary Indianin jeszcze raz powstaB do rozpaczliwej waBki ze sw sBabo[ci, jeszcze raz caB siB |elaznej woli rzuciB wyzwanie prze[ladujcemu go kalectwu.

Có|, niedzwiedz bez trudu wywiódB w pole [lepego niemal my[liwca i spokojnie uszedB. John zostaB na wzgórze sam jeden, bezradny, osaczony najczarniejszymi my[lami.

Jednak nie poddaB si, nie wróciB do sioBa. Zbierajc resztki siB.

nieugity Indianin ruszyB [ladem czarnego zwierza. D[yB jeszcze za nim jakie trzy mile, kierowany ju tylko my[liwskim wyczuciem i do[wiadzczeniem, a| wreszcie nastpiB kres jego walki. UpadB na igliwie i wiecej nie zdoBaB powsta.

Nastpnego dnia Joseph, jego syn, znalazB go w tym miejscu opartego plecami o gruby [wierk. W skrzepBych dBoniach wci| dzier[yB sw strzelb i zdawa si mogBo, |e usnB tu tylko na chwil.

## 20. WYBAWIAA NAS KANADA PACHNCA {YWICA

ByBo to latem 1975 roku. Bobrowali[my wówczas w Kanadzie we trzech: mój ojciec, mój brat Arkady RadosBaw i ja/ Marek. Rzecz zrozumiaBa, nie mogli[my omin indiaDskiej osady zaszytej w borach I uebeckich - Obid|uanu.

Trzydzie[ci lat wcze[niej tam wBa[nie |egnaB si mój ojciec z Johnem Iserhoffem, swym indiaDskim przyjacielem. Czy po tych latach spotka-i my w siole krewnych Johna? Jak Algonkinowie |yj teraz? Czym si raduj, czym smuc? - n-urtowaBo nas wiele pytaD.

Unoszeni niewielkim hydroplanem, nie odrywali[my wzroku od oszaBamiajcej panoramy. Puszcza pod nami byBa wrci| ta sama: dziewicza, nieprzebyta, dostojna, odwieczna. Niebawem w[ród zieleni rozmigotaBa si woda: porywajce bogactwo jezior wikszych i mniejszych, jezior olbrzymich i filigranowych, spltanych ze sob sieci rzek, strumieni, przesmyków. Niezmierny, srebrzysty labirynt. To Rezerwuar Gouin w caBej okazaBo[ci.

W dali, na obszernym póBwyspie, zamajaczyBy drewniane domki ustawione niczym klocki w równych szeregach. Pilot opu[ciB maszyn i na sfalowan tafl jeziora Marmette, po czym dobili[my do skromnej przystani obid|uaDskiej.

Gdy[my wysiadali z samolotu, nadeszBo kilkunastu Indian. Przystanli na pomo[cie i przypatrywali si nam w milczeniu. UderzyBo nas, |e i w ich spojrzeniach byBa jak gdyby rezerwa czy rozczarowanie, mo|e nawet niech. A mo|e po prostu oczekiwali wBa[nie przybycia przyja-i cióB, kogo[ bliskiego - ot i wszystko? Pierwsze wra|enia bywaj zBudne, a jednak od Indian powiaBo chBodem i my to odczuli[my.

Opodal przystani wznosiB si budynek magazynu Hudson's Bay Company. Tam skierowali[my pierwsze kroki. Szef sklepu, mBody Kanadyjczyk Larry Buersey, uprzedzony przez montrealsk central Kompanii o naszym przybyciu, przyjB nas |yczliwie i nie odmówiB go[ciny na przecig tygodnia w swoim przestronnym domu stojcym naprzeciw magazynu, po drugiej stronie drogi.

Wie[ Algonkinów, Obid|uan - przypominam - urzekBa ojca ju| dwukrotnie. Ale i nam, jego synom, jakkolwiek dopiero teraz ujrzeli[my j na wBasne oczy, zapadBa gBboko w serca i my[li. To dziki ksi|ce Kanada pachnca |ywic. Ojciec opowiada w niej - sBowami peBnymi zapaBu, od serca - o tutejszych Indianach, o wspólnych z nimi przygodach w[ród najwspanialszej kniei, o swej przyjazni z

Johnem Iserhoffem, myliwcem osobliwego uroku, niezwykłym. Ksiąka, pulsująca arliwym uczuciem, budziła trwałe wzruszenia, wyzwalała gorczy entuzjazm. Cigle żywa, pozostała do dzisiaj przejmującym hymnem na cześć pólnocnej puszczy i jej mieszkańców.

W domu Larry'ego Buerseya mieliśmy sporo wygodnego miejsca dla siebie. Nasz młody gospodarz mieszkał tu chwilowo samotnie, gdy jego żona, oczekująca dziecka, przebywała pod opieką rodziców na pobudniu. Rozpakowawszy nasze rzeczy, siedliśmy przy oknie wychodzącym na ulicę i ciekawie obserwowaliśmy Indian walsujących się przed witrynami zamkniętego o tej porze sklepu. Korciło nas, by wmisza się w ten barwny tłumek, może spotka kogoś z bliskich Johna Iserhoffa, spyta o jego syna, Josepha.

Nie doszło jednak do tego. Oto bowiem gawdzący z nami Larry ni z tego, ni z owego zawiesił głos i wyraźnie czymś przejęty, już pilnie nas buchiwa.

- Lec już - szepnął po chwili. W jego stłumionym głosie znać było niepokój. - Proszę was, nie wychodźcie teraz! Zostańcie tutaj!

Kanadyjczyk w kilku sekundach zmienił się nie do poznania: twarz mu pobladła, rysy ścisnęły się, a kilka kropelek potu wystąpiło mu na czoło. Z lekką zdziwiliśmy. Rzeczywiście nadlatywał z pobudnia hydroplan, kubek w kubek taki jak ten, którym my tu przybyliśmy - lecz cóż w tym było osobliwego?

- Larry, o co chodzi? Kto leci?

Nie usłyszeliśmy odpowiedzi. Nasz gospodarz raptem zerwał się jak oparzony, przypadł do drzwi wyjściowych i zaryglował je na wszystkie spusty; sprawdził także pośpiesznie okna. Wówczas, jakby trochę spo-

118

119

kojniejszy, wrócił do nas. Zakłopotany uśmiechnął się półgębkiem: ^

- Macie pecha, dzisiaj akurat była wypłata zasiłków dla Indian. Zaraz zacznie się piekło, spójrzcie tylko!

W wiosce istotnie działo się coś niedobrego. Rzekłoby się, że czarna chmura zaciągnęła niebo i rzuciła pospny cień na ziemię. Pośród Indian na ulicy swobodny nastrój prysnął. Wszyscy oni z natłonięciem uwag śledzili lądujący samolot, który wkrótce przycumował do przystani. I wówczas, jak na dany sygnał, ruszyli ku maszynie. Twarze mieli nieruchome, kamienne. Z domostw wyległo wielu następnym: mężczyzn, kobiet, starców, młodych. Oni także bez słowa, z zastygniętymi twarzami, z jakimś zbłąkanym namaszczeniem dążyli w stronę jeziora. Sen to, czy jawa? - omal nie uszczypnęłam się, żeby stwierdzić, czy ze mną wszystko dobrze. Tymczasem Indianie, jakby zakłci przez żelaznego ptaka, który tu przyleciał, szli i szli.

Aż wreszcie wyjął się, w czym rzecz. Wodnopłot przywiózł piwo, dużo piwa. Niebawem

Indianie ponownie przecignli osobliw procesj przed naszymi oknami - teraz w drodze powrotnej, do swych domów. I dzwigali pokazne kartony z piwem, niektórzy z trudem taszczyli po dwa, trzy pudBa, inni wiezli je na taczkach.

W pÓB godziny później znowu warkot nadlatującej maszyny. Tracca niesamowito[ci scena powtórzyBa si jota w jot jak za pierwszym razem. Widok zniewolonych Indian dziaBaB nam na nerwy, rozstrajaB. A samoloty, wypeBnione piwem, dalej przylatywaBy: wkrótce trzeci i czwarty, a przed zmierzchem jeszcze pity.

Larry miaB racj: w wiosce rozptaBo si piekBo. BeBkoty, harmider, tu nieludzkie wrzaski, tam jki jakby wydarte z gardzieli konajcych.\* Zewszd odgBosy pijackiego rozpasania. Wiadoma rzecz, |e Indianin z m|a dumnego i pow[cigliwego pod dziaBaniem alkoholu nader i Batwo przeistacza si w gwaBtownika, wszczyna awantury o byle A> nierzadko wyBadowuje furi na swych najbli|szych. Oto na schodach | do sklepu rosBy opilec przygniata Indiank jedn rk do ziemi, drug za[, zaci[nit w kuBak, wali skulon, gdzie popadnie. SBycha tpe I

odgBosy uderzeD. Nieboraczka jednak po chwili wyrwaBa si opravcye

i uszBa na niepewnych nogach. Sama tak|e byBa tgo podchmielona\*! Siedzieli[my w mroku, Larry nie odwa|yB si zapali [wiatBa (prdu

dostarcz\*aB mu niewielki agregat Kompanii).

- Pijanych Indian zBo[ci [wiatBo w domu biaBego - bknB Kanadyj-J

czyk. - Ju| nie raz wybijali mi szyby kamieniami!

120

- Larry, powiedz, czy takie burdy czsto tu bywaj?

- Co dragi tydzieD. W ka|dym razie zawsze, gdy dostaj pienidze. Rzd kanadyjski od wielu lat wspiera zasiBkami Indian le[nych,

podobnie jak innych. Z chwil powstania wielkich ferm zwierzt futerkowych wielu my[liwców, nie moge wytrzymać konkurencji z nimi, musiaBo porzuci dawny tryb |ycia i zdaBo si na pomoc paDstwa. Obecnie przecitna rodzina w Obid|uanie otrzymuje okoBo sze[ciuset, albo i wiecej, dolarów miesicznie; suma to w warunkach |ycia puszczaDskiego niebBaha, pozwalajca niezle wiza koniec z koDcem -i na dobitok pociesza si pienistym trunkiem...

Piwo zamawiali Algonkinowie w odlegBym o kilkadziesit mil na poBudniu miasteczku Clova. Za jedno pudBo, które w sklepie kosztowaBo siedem dolarów, piloci liczyl sobie dwadzie[cia dolarów. Kuszczy dla nich interes.

- A czy w Ottawie wiedz o tutejszych awanturach? - spytaB który[ z naszej trójki.

- Pewnie, |e wiedz. Pisze si o tym niemaBo. Ale oni s daleko, maj inne sprawy na gBowie. Zreszt



istniał dawniej zakaz sprzedaży alkoholu Indianom, lecz ci ostro protestowali. {dali, żeby wreszcie skończy z traktowaniem ich jak dzieci. Wic zakaz zniesiono. Jedynie na terenie rezerwatu nie wolno sprzedawa.

- Larry, powiedz nam jeszcze, czy oni szybko otrząsną się z amoku? Czy jutro będziemy mogli wyjść do nich, porozmawiać z nimi?

- Obawiam się, że to potrwa dłużej. Dziś mamy czwartek. W piątek i sobotę samoloty nadal będą przylatywały. Na dobre spraw dopiero w poniedziałek wioska oprzytomnieje.

Spadło to na nas jak cios. Czuliśmy się parszywie - cóż innego mogłoby powiedzieć? Nie tylko nie chciani przez Indian, ale wbażeni osaczeni, zmuszeni kryć się przed nimi jak przed wrogami. Ile zmieniło się od tamtych pamiętnych czasów prawdziwej przyjaźni z Johnem Iserhoffem!

Zapieczona wień przez całą noc nie ustawała w tłumencie. Mało co spaliśmy. Kilkakrotnie dobijano się do naszych drzwi, rbić w nie pięćciami i zburzyć na czym wiat stoi. Oczywiście milczeliśmy.

Rano potworny rozgardiasz ucichł. Ulica przed domem opustoszała. Po [niadaniu więc postanowiliśmy wyjść i odetchnąć [wielkim powietrzem. Odprowadzający nas do drzwi Larry bynajmniej nie był zachwycony naszym tożmystwem. Na dworze ujrzeliśmy w oddali kilkana[cioro

121

dzieci zabawiających się strzelaniem z proc; dorosłych nie widzieliśmy. Ale oto zniemacka na ganku mijanego domu pojawiła się stara wstawiona Indianka i chociaż przyspieszyli[my kroku, jej jazgot [cigał nas jeszcze dłużej. Potem za nami z bocznej ulicy wyboni[si duży, czarny chevrolet starszego typu. Kilka takich wozów Indianie sprowadzili sobie bark, która co jakiś czas dowoziła do magazynu HBC żywno[ i inne artykuły.

Czarny chevrolet powoli sunął naszym tropem, o kilkana[ci kroków z tyłu. Scena jakby z amerykańskiego kryminału, dla nas wcale nie zabawna. Wojna nerwów przecigała się, a w końcu maszyna ryknęła i z piskiem opon stanęła obok nas. Wewnątrz rozwała się kilkoro pijaniutek Indian i Indianek. Napchnięte, zapuchnięte oczy zezowały na nas wrogo, spodobały. Kierowca, zwalisty typ, bez wątpienia ich herszt, opuścił szybko i warknął, żeby[my się zatrzymali. A następnie bluznął potokiem bełkotliwych słów.

Mieszkańcy Obidjuanu posługują się szczególnie archaiczną francuszczyzną, mielibyśmy dla ucha dzielnego coureur de bois, zdobywcy kontynentu sprzed kilkuset lat, lecz dla nas trudną do rozgryzienia. Zakłopotani, bezradnie rozkładali[my ręce. Wszelako napastliwy ton Indianina i poszczególne, Bowione przez nas jego słowa - nie pozostawiały żadnych złudzeń. Byli[my tu intruzami, natrętami, których oni nie chcieli widzieć na oczy. Zatem radzili nam, co mówić - daj! aby[my zabierali się stąd czym prędzej i nigdy więcej już tu nie wracali.

W tej godnej polubowania dla nas chwili nastąpiła zupełnie niesłychana, zadziwiająca zmiana nastrojów. Oto mój ojciec, wiedziony szczliwym impulsem rasowego podróżnika, co to z niejednej biedy wychodził obronnie - dobył ze swej torby egzemplarz Kanady pachnącej żywic. I bez słowa

podsunął rozindyczonemu kierowcy książkę otwartą na stronie, gdzie widniała fotografia Johna Iserhoffa.

Ten spojrzawszy na zdjęcie i zaniemówił, zrobił okręgi oczu. Więcej: twarz jego, skurczona wrogim grymasem, jakby tajała, rozjaśniała się. Czary!

- Ty znałeś Johna Iserhoffa?! - zdumiony wykrztusił po dłuższej chwili.

- Znałem. I przyjaźniłem się z nim - odparł ojciec.

- A ta książka... Ty ją pisałeś?...

- Owszem, ja. Byłem tutaj w Obiduanie dwukrotnie i zawsze przyjaźnie mnie tu przyjmowano! Wic napisałem o tym serdeczną książkę.

122

Wtedy przed laty nikt mnie stąd nie wyrzucał! - rzekł ojciec dobitnie.

Indianin zmieszał się widocznie i jak gdyby otrzewiał. Przyglądał raz i drugi niesforne w Bosa, poruszył niespokojnie grdykę i zaczął się tłumaczyć głosem całkiem zmienionym:

- Mylieliśmy, że wy obcy, że chcecie tu szpiegować - mówił spokojnie, wręcz pogodnie, przeto lepiej go rozumieliśmy. - Ale tak, to co innego! Możecie u nas zostać, jak długo tylko zechcecie. W Bosa wam z głową nie spadnie! - zapewniał. W jego oczach pojawiły się przyjazne migoty. Na koniec huknął w języku algonkińskim: - Bywajcie nam, nechi, przyjaciele!

Ostrożnie, z rzetelnym szacunkiem wziął od ojca książkę i pokazał ją poruszonemu towarzyszom. To, co nastąpiło potem, było chyba jeszcze jednym snem, lecz teraz snem radosnym. Wkrótce cała wioska grzmiała o książce białych ludzi i o Johnie Iserhoffie. To nieprawda, że on, szlachetny i mdry Indianin, ich przodek, nie żył od wielu lat. Oto powrócił do życia dzięki książce, która wskrzesiła pamięć o nim. W dymących głowach wyzwoliły się rzewne emocje, na łagodnych twarzach malowało się wzruszenie. Podchmieleni Indianie otoczyli nas z wylewną serdecznością, ciskali do niego, zapewniali o swej życzliwości.

A kiedy zmiarkowali, że chcielibyśmy spotkać kogoś z rodziny Johna Iserhoffa, nagle niemal wszyscy zapragnęli być jego krewniakami, choćby najdalszymi, choćby dziesiątą wodę po kisielu - nieważne! - wszak szło o to, żeby sprawiło nam przyjemność. Bogiem a prawdą w Obiduanie Iserhoffów już wielu nie było, większo ich bowiem wyprowadziła się. Wnukowie Johna powdrowali na północ nad potężne jezioro Mistassini, gdzie obfitość zwierzyny futerkowej pozwalała im nadal utrzymywać się z łowów, natomiast jego syn, Joseph, nie żył już od kilku lat.

Tkliwie spoglądaliśmy na Kanadę pachnącą żywem. Ona stała się naszym glejtem i kluczem do serc Algonkinów. W tej wiosce zniewolonych Indian, których przez chwilę podejrzewaliśmy o to, że alkohol zmył z nich objawy ciemności - ona wyzwoliła proste, ludzkie uczucia. Było niemal coś symbolicznego w tym, że Kanada wzięła tutaj, u swego źródła - w miejscu swych narodzin, odniosła taki sukces. Sukces najsympatyczniejszy bodaj z wielu, jakie stały się jej

udziaBem. (Owa ksi|ka, peBna entuzjazmu, rozeszBa si w Polsce i za granic dotychczas w dwudziestu sze[ciu wydaniach w ró|nych jzykach!)

123

Kanada pachnca |ywic, zrodzona z wielkiej przyjazni ojca do le[nych ludzi, do Johna Iserhoffa - nie zawiodBa nas. Bo czy| zawodz prawdziwie gorze uczucia?

## 21. INDIACSKA ODNOWA W OBID{UANIE

Sposobno[ odwiedzenia Obid|uanu nastrczyBa si nam ponownie latem 1980 roku. Wówczas jechaBo nas czworo: BolesBaw Sroka, bliski nam Polak kanadyjski, mój ojciec, jego sekretarka Krystyna, oraz ja, Marek. Uzbrojeni-w Kanad pachnc |ywic byli[my dobrej my[li, spokojni i ufni, |e Algonkinowie i tym razem nie poskpi nam serdeczno[ci i |e pomy[lnie zbierzemy u nich materiaB do nowej ksi|ki.

Niemniej nurtowaBa nas troska i niepokój, co tu wiele mówi, o t wiosk Indian zatrutych alkoholem, nad którymi zawisB ponury cieD klski. A mo|e jednak w por przebudziB si ich instynkt samozachowawczy i znalezi w sobie do[ siBy woli, by wyrwa si z pt zgubnego naBogu?

Tymczasem w le[nej mie[cinie Clova, do której przybyli[my kolej z Montrealu - cierpka konsternacja. W Clovie spodziewali[my si, |e jak przed picioma laty, wynajmiemy hydroplan do Obid|uanu, lecz na nasz pro[b jedyny obecny tam wówczas pilot wzdrygnB si z odraz:

- Do Obid|uanu? Wykluczone! Za |adne skarby tam nie polec! -parsknB gniewnie.

- Ej|e, dlaczego nie? - pytali[my zasKoczeni.

- Bo z nich opilcy jakich maBo i zbóje! - pilot zmierzyB nas ostrym spojrzeniem, jakby chcial si upewni, czy jeste[my przy zdrowych zmysBach, |e tam si pchamy.

- Zatem mieli[cie j akie[ przykre zaj [cie w Obid|uanie ? - próbowali[my wycign z niego co[ wiecej.

- Zaj[cie? To maBo powiedziane! Kiedy byBem u nich ostatni raz przed dwoma laty, ciskali we mnie kamieniami i chcieli rozwali mi maszyn! - pilot stBamsiB w ustach przekleDstwo. - W duszach tych opojów zbudziBy si bestie!

Zle! Wedle sBów naszego zaperzonego rozmówcy Algonkinowie szli na udry z caBym [wiatem, a ju| zwBaszcza ostrzyli topór wojenny

124

przeciwko biaBym ludziom. Dawniej nie zdarzaBo si, |eby napastowali pilotów, teraz i oni nie byli bezpieczni. Zatem do tego ju| przywiodBo Indian pijaDstwo?

NiewesoBe byBy to wie[ci, ani my[leli[my jednak dawa za wygran. Zbyt wiele po[wicili[my naszego zapaBu, [rodków, czasu, by[my tutaj, o krok niemal od celu podró|y, pozwolili obla si zimn

wod. Kilka denerwujących godzin trwaBy nasze targi z pilotem. Gdy[my wszystkimi możliwymi sposobami tBumaczyli mu, że Algonkinowie to nasi przyjaciele, nic przeto mu z nami nie grozi od nich, on spogląda na nas z zimną ironią i twardo stał okoniem: nie i nie! Mie[li[my jednak But szc[cia. Pilot owego dnia nie otrzymał żadnych innych zamówień na loty, spadał czas bezczynnie, więc koniec kołców napierany ci[łko westchnął i skapitulował.

- Ale p[anie z góry! - warknął. - U tych drabów tylko wysadzam was i zaraz si[ę stamtąd zabieram! Wy za[róbcie sobie, co wam si[ę tylko podoba!

Istotnie, gdy[my w godzin później wysiedli na przystani obid[łuańskiej, z miejsca dał gaz i wystartował w drogę powrotną. Choć bynajmniej nie miał powodu do po[piesznej rejterady: w wiosce panował spokój, a w pobli[żu przystani nie było żywej duszy.

Zamieszkali[my jak poprzednio w domu agenta HBC, z tym że naszym gospodarzem nie był obecnie Larry Buersey, lecz jego następcą, Michel Gagne, niewiele starszy od tamtego i równie dla nas go[cinny. Podczas wieczornej pogawki z Michelem opowiedzieli[my mu o naszych tarapatach z pilotem i jego niechęci do mieszkańców wioski.

- Owszem, wiem co[ś nieco[ o tym - kiwnął głową agent. - Zresztą wtedy, przed dwoma laty, Algonkinowie nie jemu jednemu dopiekli. Wszystkim bli[ższym tutaj zalali tego sadza za skórę. Czy uwierzycie, że ich wszystkich, a więc pi[ęciu nauczycielek, dwie pielęgniarki, Larry'ego, a nawet księdza, wyrzucili wtenczas na Bieb z Obid[łuanu? %

Sbuchali[my zaintrygowani, a Michel snuł dalej opowie[ć o burzliwych wypadkach, które tu si[ę rozgrywały:

- Algonkinowie pili w owych miesiącach coraz więcej, bez opamiętania, jak zatraceni. Nierzadko te[ż urządzali eskapady do pobliskich miasteczek, głównie Clovy, gdzie przesiadywali w knajpach i opró[żniali butelki na potęgę. Miejscowi spojrzeli na nich niechętnie, potem z[łoczyli okiem. Mnogi[by si[ę burdy, a którego[ś dnia w barze w Clovie pewien

125

białoby zastrzelił s[iebie, b[iegnąc na nogach Algonkina. Na to Obid[łuan zapadł srogim gniewem, tym bardziej że s[ie uniewinnił zabójcą, utrzymując, iż działał on w obronie w[siadanej.

- A jak było naprawdę? - zagadnął Bolesław.

- Ró[żnie o tym mówiono. Inaczej zeznawali miejscowi [wiadkowie, co innego twierdzili Indianie... W każdym razie rozsierdzeni do żywego Algonkinowie w odwecie kazali wszystkim bli[ższym wynie[ść si[ę do diabła z ich wioski. Odje[dających [egnali zaci[ętymi pi[ęściami i okrzykami, by więcej nie w[alili si[ę wraca. Naonczas dostał si[ę te[ż owemu pilotowi, który nie w por do nich przyjechał.

Gdy Michel na chwilę zamilkł, spytałem go:

- Czy d[ługo trwa ich bunt?

- Dbugo? - w głosie agenta zabrzmiała artobliwa nuta. - Kiedy zostali sami, ochBonli z wojowniczego ferworu jakby rk odjB. Skoro tylko zaczął brakować chleba, za którym przepadają, i innej |ywno[ci, przekonali się, |e bez biaBych ani rusz! Nie minB więc tydzieD i wszyscy wyrzuceni wrócili, z wyjątkiem Larry'ego, którego ja zastąpiBem. Larry objB na swój pro[b inn placówk.

- Co najwa|niejsze jednak - koDczyB opowie[ Michel - w siole doszBo do nieoczekiwanego i nader pomy[lonego przeBomu. Po owych wstrząsach gór wziBa grupa Indian rozumnych, trzeźwo my[lcych. A notoryczni hulacy, którzy tu rej wodzili, wreszcie znaleźli się w defensywie, spu[cili z tonu.

Prawd mówiB agent: w Obid|uanie zaszBy krzepice zmiany na lepsze. Opilcom rzetelnie przytarto rogów. Wielce pomocn w ukróceniu ich gorszych zapdów okazaBa się policja indiaDska. Dzięki porozumieniu międzyplemiennemu kilku rosBych junaków w imponujących mundurach obje|dłaBo okoliczne rezerwy w taki sposób, |eby by zawsze tam, gdzie ich najbardziej potrzebowano. Spotkali[my ich akurat w Obid|uanie. Doznali[my niemaBej przyjemno[ci, gdy jeden z nich, dwudziestopięcioletni Johnny o ujmującym wyglądem wyjawilB nam, |e jest wnukiem Johna Iserhoffa. Johnny |yB od lat z rodzin nad jeziorem Mistassini, a ostatnio zgBosiB swój akces do policji indiaDskiej. W pogawdce z nim zagadnili[my go z humorem:

- Policjanci noszą zazwyczaj rewolwery u pasa, budźcie respekt, wy za[ macie tylko goBe rce?...

- Bo te| my nie potrzebujemy broni, |eby przywoBywa niesfornych do porzdku - odparB z bByskiem dumy w oczach. - Zwykle wystarcza

126

samo nasze pojawienie się w wiosce. A strzelby u nas sBu| tylko na losie, niedzwiedzie... - dodaB z pewnym naciskiem.

- Chyba nie ka|dy mo|e u was być policjantem?

- Pewnie, |e nie! - oczy JoBmniego bBysnBy jeszcze ja[niej. - Kandydat nie przejdzie, je[li nie cieszy się ogólnym zaufaniem.

jakkolwiek w wiosce moczygby i awanturnicy byli na cenzurowanym i zdecydowanie w odwrocie, to jednak niektórzy zatwardziałcy jeszcze cigle próbowali wierzga. Pech chciał, |e huncwoci urządzili sobie melin w chaBupie stojącej opoda! - nie dalej jak o pięć kroków od domu agenta, w którym my nocowali[my. W owej chaBupie wszystkie okna byBy powybijane i przesBonite Bachmanami. Drugiego dnia po naszym przejeździe jBa tam dudni muzyka z magnetofonu, przeboje z Bat sze[dziesiątych i siedemdziesiątych puszczone na caBy regulator, ogBuszajco. Widać szelmy mieli niebyle jaki wzmacniacz i masywne gBo[niki, bo grzmienie niosBo się zaiste piekielne. Tak przez caBe popoBudnie i wieczór, i dalej przez caB noc. Maltretujący uszy, ogBupiający Boskot Takle następnego dnia ani chwili wytchnienia w maniackim

koncercie". A potem jeszcze jedna koszmarna noc i kolejny dzieD. GBo[niki charczaBy, rzziBy i zdawa się mogBo, |e lada chwila pójd w drzazgi - leci nic z tego, wytrzymywaBy.

ByBa to zajadBa, warcholska demonstracja, szydercze wyzwanie rzucone wiosce, policjantom, mBodemu, rzutkiemu wodzowi Marcelowi Czajczaj, wszystkim stronnikom rozsdku. Marcel Czajczaj. wybrany wodzem w ostatnich wyborach, z powodzeniem pocignB za sob wielu mBodych, nie daB im gnu[nie, zachcaB, by podejmowali prac w miejscowym tartaku, dostarcza! po[lytecznych zaj. WBa[nie gromadka mBodzie|y uwijaBa si przy budowie wioskowej [wietlicy, pierwszej w Obid|uanie - wznoszonej akurat naprzeciwko huczcej w[ciekle chaBupy, tu| po drugiej stronie ulicy. Tu zatem przykBadna praca, tam za[ urgajce wszem wobec rozpasanie.

Okrutny jazgot nielicho smagaB nam nerwy. Najwiecej zniecierpliwienia okazywali agent Michel i jego ho|a |ona, Pierrette, bo mieli ku temu szczególny powód. Ich maleDka córeczka rozchorowaBa si ci|ko i wiele pBakaBa. Najtrudniej byBo nocami, gdy| maBa co rusz budziBa si od haBasu. Wic pod koniec trzeciego dnia Michel warknB gniewnie:

- Sacrebleu! Bodaj ich zabito. Id przemówi im do rozumu!

I poszedB. Niewtpliwie okazaB [miaBo[, lecz doprawdy trudno byBo wró|y mu powodzenie. Tamci hoBdowali dewizie, |e wolno Tomku

127

biaBy zastrzeliB sBaniajcego si na nogach Algonkina. Na to Obid|uan zapaBaB srogim gniewem, tym bardziej |e sd uniewinniB zabójc, utrzymujc, i| dziaBaB on w obronie wBasnej.

- A jak byBo naprawd? - zagadnB BolesBaw.

- Ró|nie o tym mówiono. Inaczej zeznawali miejscowi [wiadkowie, co innego twierdzili Indianie... W ka|dym razie rozsierzdzeni do |ywego Algonkinowie w odwecie kazali wszystkim biaBym wynie[ si do diabBa z ich wioski. Odje|dajcych |egnali zaci[nitymi pi[ciami i okrzykami, by wiecej nie waj|y si wraca. Naonczas dostaBo si te| owemu pilotowi, który nie w por do nich przyleciaB.

Gdy Michel na chwil zamilkB, spytaBem go:

- Czy dBugu trwaB ich bunt?

- DBugu? - w gBosie agenta zabrzmiaBa |artobliwa nuta. - Kiedy zostali sami, ochBonli z wojowniczego ferworu jakby rk odjB. Skoro tylko zaczBo brakowa chleba, za którym przepadaj, i innej |ywno[ci, przekonali si, |e bez biaBych ani rusz! Nie minB wic tydzieD i wszyscy wyrzuceni wrócili, z wytkiem Larry'ego, którego ja zastpiBem. Larry objB na swoj pro[b inn placówk.

- Co najwa|niejsze jednak - koDczyB opowie[ Michel - w siole doszBo do nieoczekiwanego i nader pomy[lnego przeBomu. Po owych wstrzsach gór wziBa grupa Indian rozumnych, trzezwomych. A notoryczni hulacy, którzy tu rej wodzili, wreszcie znalezi si w defensywie, spu[cili % tonu.

Prawd mówiB agent: w Obid|uanie zaszBy krzepice zmiany na lepsze. Opilcom rzetelnie przytarto rogów. Wielce pomocn w ukróceniu ich gorszych zapdów okazaBa si policja indiaDska. Dziki porozumieniu midzyplemiennemu kilku rosBych junaków w imponujcych mundurach obje|d|aBo okoliczne rezerwaty w taki sposób, |eby by zawsze tam, gdzie ich najbardziej potrzebowano.

Spotkali[my ich akurat w Obid|uanie. Doznali[my niemaBej przyjemno[ci, gdy jeden z nich, dwudziestopięcioletni Johnny o ujmującym wyglądzie wyjawia nam, że jest wnukiem Johna Iserhoffa. Johnny był od lat z rodzin nad jeziorem Mistassini, a ostatnio zgłosił swój akces do policji indiańskiej. W pogawędce z nim zagadaliśmy go z humorem:

- Policjanci noszą zazwyczaj rewolwery u pasa, budzą respekt, wyście macie tylko goście rce?...

- Bo te[my nie potrzebujemy broni, żeby przywoływać niesfornych do porządku - odparł z bieskim dumy w oczach. - Zwykle wystarcza

126

samo nasze pojawienie się w wiosce. A strzelby u nas są tylko na Bosie, niedzwiedzie... - dodał z pewnym naciskiem.

- Chyba nie każdy może u was być policjantem?

- Pewnie, że nie! - oczy Johnniego blesnęły jeszcze jaśniej. - Kandydat nie przejdzie, jeżeli nie cieszy się ogólnym zaufaniem.

Jakkolwiek w wiosce moczogby i awanturnicy byli na cenzurowanym i zdecydowanie w odwrocie, to jednak niektórzy zatwardziałcy jeszcze cię próbowali wierzga. Pech chciał, że huncwoci urządzili sobie melin w chałupie stojącej opodal - nie dalej jak o pięć kroków od domu agenta, w którym my nocowaliśmy. W owej chałupie wszystkie okna były powybijane i przezbonite Bachmanami. Drugiego dnia po naszym przejeździe ją tam dudni muzyka z magnetofonu, przeboje z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych puszczone na cały regulator, ogłuszająco. Widać szelmy mieli niebyle jaki wzmacniacz i masywne głośniki, bo grzmienie niosło się zaiste piekielne. Tak przez całą popołudnie i wieczór, i dalej przez całą noc. Maltretujący uszy, ogłupiający Boskot. Takiego następnego dnia ani chwili wytchnienia w maniackim

koncercie". A potem jeszcze jedna koszmarne noc i kolejny dzień. Głośniki charczą, rżną i zdawa się mogło, że lada chwila pójdą w drzazgi - lecz nic z tego, wytrzymują.

Była to zajadła, warcholska demonstracja, szydercze wyzwanie rzucone wiosce, policjantom, mBodemu, rzutkiemu wodzowi Marcelowi Czajczaj, wszystkim stronnikom rozkładu. Marcel Czajczaj, wybrany wodzem w ostatnich wyborach, z powodzeniem pocignął za sobą wielu mBodych, nie dał im gnu[nie, zachcał, by podejmowali pracę w miejscowym tartaku, dostarczał politycznych zaj. WBA[nie gromadka mBodzie[ły uwijała się przy budowie wioskowej [wielicy, pierwszej w Obid|uanie - wznoszonej akurat naprzeciwko huczcej w[ciekle chałupy, tuż po drugiej stronie ulicy. Tu zatem przykładała praca, tam zaś urgał weszem wobec rozpasanie.

Okrutny jazgot nielecho smagał nam nerwy. Najwiecej zniecierpliwienia okazywali agent Michel i jego ho[ła [ona, Pierrette, bo mieli ku temu szczególny powód. Ich mała córka rozchorowała się ci[ko i wiele p[akała. Najtrudniej było nocami, gdy miała co rusz budziła się od haBasu. Wic pod koniec trzeciego dnia Michel warknął gniewnie:

- Sacrebleu! Bodaj ich zabito. Id przemówi im do rozumu!

I poszedł. Niewtpliwie okazał się [miał], lecz doprawdy trudno byłoby mu powodzenie. Tamci hołdownicy dewizie, że wolno Tomku

127

w swoim domku - wobec której bezradni byli nawet policjanci, którzy omijali z daleka przekłócił się, zachowując pozór, jakby nic zgoła nie docierało do ich uszu. I rzeczywiście, Michel wrócił bez słowa do nas, a harmider trwa dalej w najlepsze.

Lecz oto w godzinę później, o zmierzchu, niespodzianie nastała cisza. Jak zwykle po przewlekłej burzy - cisza głęboka, niemal uroczysta. Wic jednak Michel poskromił optatów! Gdyśmy przed nim z dumienia pytali go, jak tego dokonał, był ku nam szelmowskim okiem:

- Wam ciwie nic takiego im nie powieźdźdźdźdź, tyle tylko, że moja petite Natalie budzi się w nocy i pęca.

- I to wystarczy?

- Wystarczy! - uśmiechnął się figlarnie.

Istotnie, wystarczy. Odtąd w wiosce zapanował spokój. Zaiste nie przypadkiem byłscy dyrektorzy Kompanii przysłali tutaj w owych gorczych dniach Michela Gagne na miejsce Larry'ego Buerseya. W łóżkach Michela pulsowała krew Francuza - i to chyba rozstrzygnęło.

Kiedy Larry Buersey był tu pośród Algonkinów, dostrzegał w nich tylko klientów w sklepie HBC, poza tym trzymał się z dala od nich. Zasklepiony w wąskim kręgu swych spraw, Larry nie odczuwał najmniejszej potrzeby zbliżenia się do Indian, dopomożenia im. Cóż, nieodrodny Anglik.

Natomiast Michel - jakże różny od Larry'ego. Tu rzuci Indianom wesołe pozdrowienie, ówdzie zamieni z nimi kilka serdecznych słów, nawet naburmuszonych rozbraja niewinnym żartem. Drobiazgi, a ważne. Algonkinowie nie tylko liczą się z nim jako agentem, również lubi go tutaj. Jego słowo czy próba znaczenia. Także dla

koncertujących” zagorzalców.

Któregoś popołudnia zadzwonił do nas ze swego domu wódz Marcel Czajczaj (tak, tak, cywilizacja techniczna wtargnęła do tego puszczańskiego zakątka z ich amerykańskim rozmachem: Algonkinowie mają teraz telefony, elektryczność z generatorów, kolorowe telewizory satelitarne... Z tej ostatniej czerpią Indianie dodatkową korzyść, gdy wieczorami odciąga ich od butelki). Wódz proponował nam wspólną wycieczkę motorówką na ryby. Skwapliwie przyjęliśmy zaproszenie.

Marcel Czajczaj jest niezmołonym ordownikiem odnowy życia indiańskiego w Obiduanie. W trudnej działalności skutecznie wspiera go energiczna i wielce mu pomocna jego żona Marie, wnuczka samego Johna Iserhoffa. Kłiwcy mówi wprawdzie z przeksem, że wódz



(4)

w każdej ważniejszej sprawie sBucha jej rady - co istotnie nieczsto si zdarza u Algonkinów - lecz jemu to bynajmniej w niczym na zBe nie wychodzi. Rzeteln prac jedna sobie coraz szersze uznanie w wiosce -i nawet niechtni musz mu to w duchu przyzna.

## 22. ICH NAJWIERNIEJSZY SPRZYMIERZENIEC

I oto mknli[my po jeziorze Marmette, roziskrzonym w promieniach kBonicego si ku zachodowi sBoDca. Powietrze byBo krysztaBowe jak w bajce, a obrazy przyrody jakby z nieprawdziwego zdarzenia. Lesisty ld to uciekaB od nas, odsBanajc kolejne przestwory wodne napeBnione zBotym blaskiem, to zbli|aB si, gdy[my przecinali cie[niny, by nas owion aromatem |ywicy i tchnieniem indiaDskiej legendy.

Kiedy, urzeczony, cokolwiek ochBonBem, rzuciBem pilnucemu steru wodzowi pytanie, czy wiele poluje, czy tutejsza knieja nadal opBywa w dary natury. Wódz byB pow[cigliwy w sBowach, ale nam |yczliwy.

- Dawniej chtnie zapuszczaBem si w chaszczce ze strzelb, teraz jednak brakuje czasu - odparB. - Lecz inni poluj, choby mój brat: ostatniej zimy zdobyB dwa okazaBe rysie, za których skóry dostaB od agenta po piset dolarów od sztuki.

- Szcz[ciarz! Wic zwierza nie brakuje?

- ZeszBej jesieni nasi my[liwcy ubili tutaj sze[dziesit Bosi i kilka niedzwiedzi...

Doprawdy hojno[ tych ostpów niezmiennie rozpBomienia fantazj!

Niebawem wódz wyBczyB motor i gdy motorówka znieruchomiaBa, signli[my po spinningi. Bezwzgdna cisza spowijaBa przyrod. Byli[my w niewielkiej zatoce, do której wpBywaBa le[na rzeczka. Spogldaj c na osobliwie czarn toD zatoki, domy[lali[my si tutaj obiecujcego zapadliska o chBodnej wodzie.

Pierwsze próby nie zi[ciBy naszych nadziei. Bóstwa wodne przelotnie u[miechnBy si tylko do Indianina, który wycignB [rednich rozmiarów walleya, ryb z rodu okoni bielmowatych, smaczni i cenion. Ku naszemu zdziwieniu, wódz pogardziB zdobycz i zdjwszy j z haka, zwróciB wodzie. - Miernota - rzekB jakby na usprawiedliwienie.

- Czy dostaniemy tu lepsze? - powtpiewaB BolesBaw po kilkunastu kolejnych daremnych próbach.

179

9-Ród Indian ±^J

Indianin u[miechnB si tylko zagaalcowo.

Wytrwale rzucali[my spinningami, lecz bez powodzenia. Cichy zmi^ch z Wolna opadaB na zatok i czarna czelu[ pod nami jakby d^tnaBa. - A| raptem doleciaBo do naszych uszu gBo[ne plu[nicie i w chwil potem zaczBo si: oto tgi walleye uderzyB na bBystk Bol«sBawa i niemal|e równocze[nie inna sztuka szarpnBa wdk India-(^ Nim si obejrzelil[my, wycigalil[my spore zdobycze i my pozostali Olciec, Krystyna, ja. I znowu BolesBaw, i Indianin... Okonie bielmowate braBy jak optane, jak na wy[cigi. Woda wokóB nas kipiaBa. To ju| nie\vieie miaBo wspólnego ze zwykBym Bowieniem, to

byBo rozpasanie, gorczka!

Pfeez kilkana[cie zwariowanych minut, owBadnici drapie|no[ci w§Qkarzy, zwijali[my si jak w ukropie. A potem z nagBa nastpiB przemyt i przyszBo opamitanie, a mo|e rozterka, mo|e nawet za|enowania Okonie bielmowate nie umiaBy walczy o |yacie! Owszem, po wziciu raz, dwa razy szarpnBy si - lecz na tym najcz[ciej koDczyB si ich Opór; nader szybko poddawaBy si losowi, jak gdyby wiedziaBy, |e na Aic wszelka ich walka z czBowikiem i jego wdk.

Ogonie bielmowate w owej zatoce-mateczniku byBy wówczas szalo-ne w swym szaleDstwie bezbronne. I chyba nie wolno nam byBo na°li|ywa naszej przewagi nad nimi - przecie| stanowiBy szlachetn czstk tej wielkiej puszczy. Pierwszy odBo|yB spinning ojciec. Niebawem ja te| poszedBem w jego [lady. Aowili jeszcze cigBe wódz, Krystyna i BoIesjaw> ale i ich zapaB dogasaB. Po minucie bezczynnego siedzenia lichomme podkusiBo, |eby machn spinningiem jeszcze ostatni raz. W skryto[ci liczyBem, |e ryba tym razem nie wezmie! Jednak gdy tylko bBystka pacnBa w wod o trzydzie[ci kroków od motorówki, poczuBem znaJQme szarpnicie: kolejny spa[ny walleye trzepotaB si na haku. A niccrize to szlag! dosy tego! Spiesznie wycignBem ofiar, uwolni-em i wpu[ciBem do wody. Na dobre ju| odBo|yBem wdk.

Zatoka pogr|yBa si w cichym [nie nocy; nikt z naszych wiecej nie BowiB. Tafla jeziora wygBadziBa si jak kurtyna zakrywajca tajemny [wiat z jego najpierwotniejszymi zagadkami, i niemal wierzy si nie

chciB0

|e dopiero co uczestniczyli[my tutaj w wybuchu hojno[ci tej

:30IC—

O niebywaBej szczodro[ci kanadyjskich wód przekonali[my si tak|e inne^0 raz. Obozowali[my wówczas w cieniu jodeB przy wschodnim kraDcu Lak Marmette, o dwadzie[cia mil od Obid|uanu. Przywiezli

130

nas w to ustronie Algonkinowie i zostawili samych, by[my sycili si^ do woli gorcym sBoDcem i woni le[nej gstry. Apetyty dopisywa nam wilcze i wnet powstaBa bieda: niepokojo skurczyBy si nas^ zapasy |ywno[ci. A Bowienie, niestety, nie wchodziBo w rachub, 3F^ mieli[my bowiem koniecznego do tego kanu. Próbowana za[ z brzegu x to daremny trud, gdy| jezioro wszdzie tutaj ja[niaBo rozlegB mielizn W owe gorce dni ryby zaszyBy si w gBbinie i byBy dla nas niedosi|ne Mimo wszystko spróbowawaBem. WszedBem na piaszczyst Bach po p' do wody i tgo machnBem wdziskiem. Naraz opór! Pomy[laBern sobie, |e to jaki[ zatopiony konar, których w wodzie walaBo si sporo Lecz, do licha, có| to? {yBka, napita jak struna, ostro ucieka w boi>J Z wysiBkiem nawijam. Dalibóg, to jdrny, chwacki szczupak!

- Dobrze trzy kilogramy, a mo|e i wiecej! - huknB najbli[szy >1G sBaw, gdy Bup dostaB si na piasek.

Doskoczyli[my wszyscy peBni zapaBu, a najwiecej rado[ci miaBa Kry

styna, bo ona najbardziej trapiBa si nasz karlejc spi|arni. Krótk chwila, a oczy[ciBa ryb i pociBa na kilkana[cie sBusznych porcji, j^ na patelni tryskaBo masBo i byBa sól. A gdy caBa nasza czwórka jk wcina smakowite ksy, w naszym obozie nigdy nie byBo tyle 8AV5A,, i zachwytu.

I pomy[le, le ten jeden szczupak z mielizny Lak Marmette zgotowi nam o cale niebo wiecej szcz[cia ni owych kilkadziesit walleyó^ zBowionych przez nas tydzieD wczesniej, w wodach tego jeziora. Wat leye byBy zbyt Batw zdobycz, wprawiajc nas w zakBopotanie, szcz^ pak za[ z mielizny stanowiB jakle radosn niespodziank - i znakomita wy|erk, le palce liza!

W naszym obozie, w którym ochoczo gawdzili[my przy ogniska wraz z powiewem kniei przepojonym mocn, |ywiczn woni, napByD waBy przejmujce wspomnienia dawnych chwil i zdarzeD. Przecie ongi[ tutaj wBa[nie, w tym zaktku nad jeziorem Marmette obozowali i polowali razem w okolicznych ostpach” mój ojciec i John Iserhoff Tutaj, w sercu [wietnych terenów my[liwskich stary Indianin wyja wiaB ojcu tajemnic Bosi i niedzwiedzi, tu takle wyjawiB przed E\I frapujce szczegóBy ze swego bogatego |ycia.

Wiele si zmieniBo od tamtych pamitnych lat. Stary przyjaciel Job\* oszedB dawno do krainy cieniów. A byB on ostatnim wybitnym IC^ liwcem z rodu Iserhoffów w Obid|uanie. Jego [mier zbiegBa si w czasj z kresem ery wolnego, traperskiego |ycia Algonkinów obid|uaDskic^

13!

Niemal wszy AC oni zmuszeni byli, jak wiadomo, zda si na Bask i pomoc rzdu kanadyjskiego. Otdt zaczBo si dla nich bytowanie wprawdzie uBatwione, ale jakle smtne. Odchodzc od dawnych zaj, które stanowiBy istot ich |ycia, zgubili sw [cie|k, grzzli nieuchronnie w szarzyźnie ponurej codzienno[ci. Coraz dotkliwiej nkaBa ich nuda, któr próbowali zabija alkoholem wlewanych strumieniami w gardBo. Z tego bDnego koBa jednak chyba potrafili si wyrwa w por.

W swej walce o odzyskanie zachwianej równowagi duchowej Algonkinowie maj pot|nego i najwierniejszego sprzymierzeDca. Jest nim otaczajca ich puszcza. Niewzruszona i zuchwaBa. Puszcza roz-szemrana chlubn legend indiaDsk. Legend o sBynnych my[liwcach tych ostpów.

Dzisiejsi mieszkaDcy Obid|uanu, wsBuchujcy si z uwag w pie[D smukBych jodeB i [wierków i tajemne odgBosy nieposkromionej kniei, nabieraj na nowo ufno[ci we wBasne siBy, [mieiej spogldaj w przyszBo[. Mówi, le dopóki puszcza tu bdzie, dopóty oni bd. A wierz, le puszcza jest wieczna.

## SPIS ROZDZIAAÓW

1. CHAOPAK ZWANY RUSK..... 5
2. PIERWSZE KROKI WZRÓD INDIAN..... 9
3. IROKEZI..... 15
4. DWIE {ONY..... 20
- .5. BITWA W ZATOCE HUDSONA..... 25

|  |           |
|--|-----------|
| 6. WODA OGNISTA.....   | 30        |
| 7. PUSZCZA HOJNA - I GROyNA .....                                | 39        |
| 8. GAÓD.....   | 43        |
| 9. SMIERC IWANA ISERHOFFA .....                                  | 50        |
| 10. WA{ SI LOSY KONTYNENTU.....                                  | 54        |
| 11. OSTATECZNY TRIUMF ANGLIKÓW.....                              | 60        |
| 12. NIEPOKOJE PO ZAWIERUSZE WOJENNEJ.....                        | 69        |
| 13. RZEy BOBRÓW.....   | 73        |
| 14. WIEK KLSKI.....  | 78        |
| 15. JOHN ISERHOFF. PIERWSZE WSPOMNIENIE JOHNA ISERHOFFA.....     | 88        |
| 16. ROSOMAKI. DRUGIE WSPOMNIENIE JOHNA ISERHOFFA .....           | e..... 98 |
| 17. GDY BUDOWANO KOLEJ. TRZECIE WSPOMNIENIE JOHNA ISERHOFFA..... | 105       |
| 18. REZERWUAR GOUIN. CZWARTE WSPOMNIENIE JOHNA ISERHOFFA .....   | 111       |
| 19. OSTATNIA WALKA JOHNA ISERHOFFA.....                          | 114       |
| 20. WYBAWIAA NAS KANADA PACHNCA {FWIC4 .                         | 118       |
| 21. INDIACSKA ODNOWA W OBID{UANDS.....                           | 124       |
| 22. ICH NAJWIERNIEJSZY SPRZYMIERZENIEC.....                      | 129       |

Redaktor: Aleksandra Karska-Zagórska

Redaktor techniczny: Zbigniew No|yDski

Korektor: MaBgorzata Oleszak

Printed in Poland

WYDAWNICTWO POZNACSKIE - POZNAC 1984

Wydanie I. NakBad 79 650 + 350 egz. Ark. wyd. 9,2: ark. druk. 9.25. Oddano do skBadania 2611983

r.

Podpisano do druku 10% 1983 r. Druk ukończono w październiku 1984 r. Papier offsetowy ki. IV,  
71 g,

rola 84 cm Zam. nr 9/396-397 E-9/782

Skład fotograficzny

Monophoto 400/8"

WYDAWNICTWA SZKOLNE i PEDAGOGICZNE - ZAKŁADY GRAFICZNE

Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 1